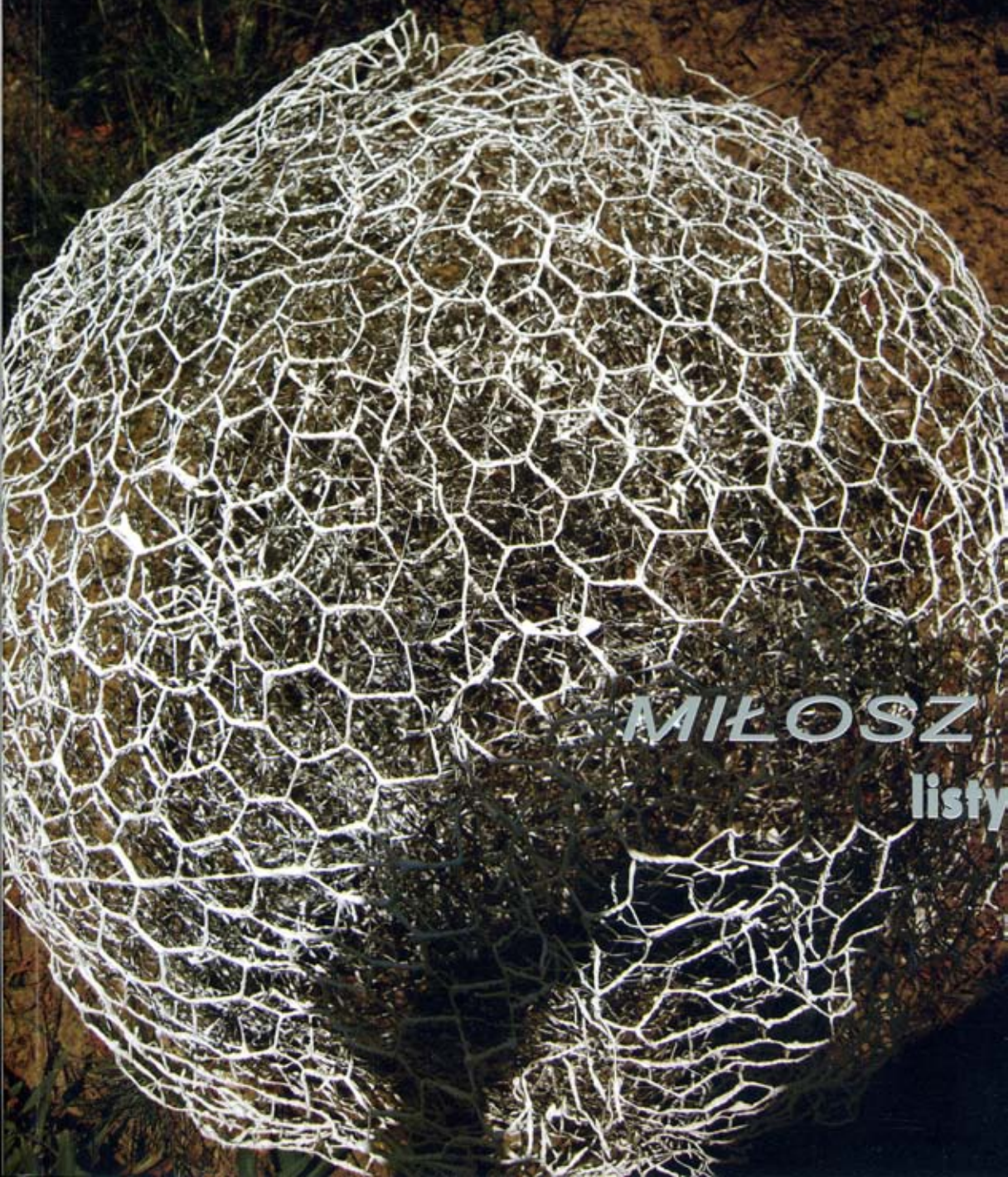


KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

kujawy i pomorze 2008 nr 3 (59)



MIŁOSZ

listy

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

kujawy i pomorze 2008

nr 3 (59)
Rok XV

Spis rzeczy

- WISŁAWA SZYMBORSKA Myśli nawiedzające mnie na ruchliwych ulicach / 3
- CZESŁAW MIŁOSZ Listy do rodziny / 5
- CZESŁAW MIŁOSZ Z albumu rodzinnego (wkładka) / 57
- JULIA HARTWIG Lament / 69 Pamiętliwi / 70 Przemówi / 70
- TADEUSZ RÓŻEWICZ Poeci, pasztet i katedra / 73 Pochwała tłumaczy
i Billa Johnstona / 75
- JACQUES ANCET Czyny, nie słowa / 77
- WILLIAM CARLOS WILLIAMS Między ścianami / 82
Późna letnia pogoda / 83 Wielka cyfra / 83 Kelnerka / 84
Czas, kat który wiesza / 86
- KAZIMIERZ ORŁOŚ Letnik z Mierzei / 88
- DAVID SCHUBERT Midston House / 97
- JACEK BOLEWSKI SJ Wyzwanie powieści teologicznej. Rzecz o Szatańskich
wersetach Salmana Rushdiego / 101
- NORMAN MACCAIG Przerwa w podróży / 134 Brechtowski blues / 135
Mówi syn Laokoona / 136 Na przystani w Kinlochbervie / 136
Dwóch naraz / 137
- List PEN Clubu na 15-lecie „Kwartalnika Artystycznego” / 138

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI Małe szkice / 139
ALEKSANDER JUREWICZ Samotnia (7) / 142
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Addenda (10) / 145
LESZEK SZARUGA Jazda (7) / 153
PIOTR SZEWC Z powodu i bez powodu (12) / 159

Recenzje

- LESZEK SZARUGA Wor(e)k in Progress / 163
ZOFIA KRÓL Miseczka dla kota / 166
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Portret Miłosza z Giedroyciem
i z „Kulturą” w tle / 169

Noty o ksi¹żkach / 176

Korespondencja / 204

TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ STAŁE OTRZYMYWANIE
„KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Warunki prenumeraty:

Prenumerata roczna:

– krajowa 35 z³ – zagraniczna 30 USD

Cena za egzemplarz archiwalny (wraz z wysy³k¹)

– krajowa 9 z³ – zagraniczna 8 USD

Prenumeratę prosimy wp³acaæ na konto:

Wojewódzki Oeeroдек Kultury PKO SA II Oddzia³ Bydgoszcz
68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”



Fot. Elżbieta Lempp

Wisława Szymborska

Myśli nawiedzające mnie na ruchliwych ulicach

Twarze.

Miliardy twarzy na powierzchni świata.

Podobno każda inna

od tych, co były i będą.

Ale Natura – bo kto ją tam wie –

może zmęczona bezustanną pracą

powtarza swoje dawniejsze pomysły

i nakłada nam twarze

kiedyś już noszone.

Może cię mija Archimedes w dżinsach,

caryca Katarzyna w ciuchu z wyprzedaży,

któryś faraon z teczką, w okularach.

Wdowa po bosym szewcu
z malutkiej jeszcze Warszawy,
mistrz z grotty Altamiry
z wnuczkami do ZOO,
kudłaty Wandal w drodze do muzeum
pozachwycać się trochę.

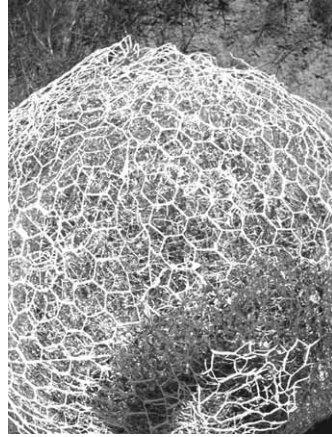
Jacyś polegli dwieście wieków temu,
pięć wieków temu
i pół wieku temu.

Ktoś przewożony tędy złoconą karetą,
ktoś wagonem zagłady,

Montezuma, Konfucjusz, Nabuchodonozor,
ich piastunki, ich praczki i Semiramida,
rozmawiająca tylko po angielsku.

Miliardy twarzy na powierzchni świata.
Twarz twoja, moja, czyja –
nigdy się nie dowiesz.
Może Natura oszukiwać musi,
i żeby zdążyć, i żeby nastarczyć
zaczyna łowić to, co zatopione
w zwierciadle niepamięci.

Wisława Szymborska



Czesław Miłosz

Listy do rodziny

1.

Wwa 6.VIII.45

Moi najdrożsi,

Mimo że przesyłam listy przez wszelkie możliwe okazje od szeregu miesięcy nie mam od was wiadomości. Nie mogę pojąć jak możecie siedzieć tak długo w Wilnie, jeżeli były okazje przyjazdu. Zastanawiam się z góry dokąd jechać jest nonsensem. Nonsensem również plany ojca¹⁾ osiedlenia się w Suwałkach, jest to wysoce niewskazane i niepotrzebne. Rytuję się niezmiernie brakiem wiadomości od was i tem że nie przyjeżdżacie. Im później tem trudniej się urządzić. Ja chcę wam pomóc się urządzić i zdać Andrzejowi²⁾ chodzenie koło moich honorariów, bo nie jest wykluczone że wyjadę na jakiś czas zagranicę w służbie dyplomatycznej. Andrzej powinien pracować w handlu zamorskim, administracji portów i.t.d. odpowiednia szkoła wkrótce otwiera się w Gdyni. Ojciec chyba też urządzi się na Pomorzu lub gdzieś na terenach zachodnich. Mnie wiedzie się na ogół nieźle, mamy mieszkanie

Oryginalna pisownia i interpunkcja autora.
[...] – słowo lub fragment nieczytelny.

w Krakowie, ale często bywamy w Warszawie i Łodzi. Błagam was piszcie czy depeszujcie i przyspieszajcie natychmiast swój przyjazd, bo sprawy są wielce pilne, po prostu paznokcie ogryzam z niecierpliwości. Adres nasz Kraków, ul. św. Tomasza 26-11. Adres rodziców Janki³⁾ Wołomin, Sosnówka, Niecała 1, dom Dłuskich – tam ewent. można się zatrzymać, choć meble tam wszystkie zniszczone, ale to nic, jest lato. Ściskam was wszystkich i czekam

Wasz Czesław

Depeszujcie zaraz w razie przyjazdu.

1) Aleksander Miłosz (ur. 1883 w Rydze – zm. 1959 w Krakowie) – ojciec Czesława Miłosza, inżynier, absolwent Wydziału Budowy Dróg i Mostów Politechniki Ryskiej; brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, major Wojska Polskiego, należał do Armii Krajowej; w 1945 roku transportem repatriacyjnym wyjechał do Polski i zamieszkał w Drewnicy koło Gdańska; od 1946 w Sopocie, a od 1949 w Krakowie; pochowany jest na cmentarzu Rakowickim.

2) Andrzej Miłosz (ur. 1917 w Rżewie nad Wołgą, w guberni Tobolskiej – zm. 2002 w Warszawie) – brat Czesława Miłosza; w latach wojny i okupacji żołnierz ZWZ-AK, od 1946 w Warszawie, pracował w Polskim Radiu i w Studiu Opracowań Filmów, dziennikarz i reżyser.

3) Janina Miłosz, z domu Dłuska, primo voto Cękańska (1909–1986) – pierwsza żona Czesława Miłosza (od 1944–1986).

2.

List bez daty – tuż po śmierci matki

Kochany, drogi Tatusiu,

depeszę Andrzeja o stanie Matki¹⁾ otrzymałem 26 listopada. Treść jej nie pozostawiała wątpliwości, za późno było nawet jechać. Depeszę Tatusia otrzymałem 30 listopada. Myślę tyleż o Matce, co i o was. Robię sobie wyrzuty sumienia, że wtedy, w niedzielę sprzeciwiłem się sprowadzeniu księdza – ale temperatura nie była wysoka i nic przecie nie wiedzieliśmy, że to tyfus. Bardzo mi ciężko. Ten lekarz, który powiedział, że niebezpieczeństwo minęło – to niewybaczalne. Czuję się winien, że bagatelizowałem chorobę Matki. Teraz wydaje mi się, że była w apatii i w niezwykłej u niej niechęci do życia. Co dalej – nie wiem. Ten fakt zmienia całkowicie losy naszej rodziny. Bardzo mi żal Lisi²⁾. Chciałbym wiedzieć jak to się stało – domyślałem się przebiegu sądząc że zaraz po naszym wyjeździe temperatura musiała skoczyć do góry i to był w tyfusie punkt zwrotny pomiędzy życiem i śmiercią. Chcę mieć dokładną listowną relację, czy zdążono sprowadzić księdza i czy Mamusia była wtedy

Wysyłam natomiast list do Jamesa Urbanińskiego, Wojewody Łęgi kultury i sztuki
śląskiej, prosiąc o ewaluację pomocy w różnych sprawach. Byłoby fajnie wiedzieć, mógłby
starać się o sfinansowanie Tatuśka de Ameriki, wtedy mi jednakże idzie o stworzenie samego
Andrzejka i d'isig. Mam nadzieję, że Józia z wami zostanie i będzie z wami opiekować
Oby mi nie uszło i dobrane listy z informacjami o występie, poście będzie
funkcjonować coraz lepiej, jeszcze list Lotnicy idzie z Warszawy parę tygodni.
Jakiś wniosek, zamierzamy wysyłać razem, na Wykucie albo w Warszawie.
Andrzej może pojąć o stworzeniu o niemożności na Wykucie na moje warunki
- mi nie chodzi do Urbanińskiego, przedstawić mi i razem może mi uradzić.

Do wiadomości Andrzejka podaję, że potrzebna misja wina na t. zw. listy
zakładanych co w najbliższym jest form komisijnego zastitku państwowego 3000 zł. -
zostanie wprowadzone do stanu Janki, ale dowiódz się o to, jakie będzie,
dostanie po połowie Janki będą wypłacone. ~~...~~ - do porozumienia, 10000 będzie
mógł potrzebować. Kartki obudylan cenz na 7000, ale dotychczas nie spudowa,
kierunek zostanie u Henryki. Janko podobno ma być lecać.
Jestem zmęczony. Ten fakt śmierci Matki pozwoli dopiero przedstawić się do mojej działalności.
Niż powiem, żeby było coraz lepiej, raczej gorzej. Janki punkt oparcia w życiu
związków i wopole to może jest istotnym. Jedno mam prognozę - spać mi nie będzie
ma 36 godzin pragnęcej.

Carliż Janki, miły dzień, kochany, history
Kwinty 74 74 Carliż

jeszcze przytomna. Popelniliśmy wszyscy błąd, mówienie o śmierci – a Matka ciągle o tem mówiła – kładąc na karb imaginacji, podczas gdy naprawdę Matka była bardzo źle nastrojona i życiu niechętna.

Nie wiem gdzie będziecie mieszkać, czy zostanieie w Drewnicy, czy przeniesiecie się gdzie indziej. Wysłałam równocześnie list do Janusza Urbańskiego, Wojewódzki Urząd Kultury i Sztuki Gdańsk, prosząc o ewentualną pomoc w różnych sprawach. Gdyby Tatuś chciał, mógłbym starać się o ściągnięcie Tatusia do Ameryki, trochę mi jednak żal zostawić samego Andrzeja i Lisię. Mam nadzieję, że Józia³⁾ z wami zostanie i będzie się wami opiekować. Chcę mieć częste i dokładne listy z informacjami o wszystkim, poczta będzie funkcjonować coraz lepiej, na razie list lotniczy idzie z Warszawy parę tygodni. Jak wrócimy, zamieszkamy wszyscy razem, na Wybrzeżu albo w Warszawie. Andrzej może poczynić starania o nieruchomości na Wybrzeżu na moje nazwisko – niech pojedzie do Urbańskiego, przedstawi się i razem może coś uradzą. Do wiadomości Andrzeja podaję poza tem, że podobno zamieszczono mnie na t.zw. liście zasłużonych co w rzeczywistości jest formą co miesięcznego zasiłku państwowego 3.000 zł. – zostawię upoważnienie siostrze Janki, ale dowiedz się o to, jak będziesz, dzielcie po połowie jeżeli będą wypłacać – do porozumienia, komu będzie zresztą potrzeba. Kurtkę obniżyłem cenę na 7.000, ale dotychczas nie sprzedana, kwit zostawiłem u Henryki⁴⁾ jutro podobno mamy lecieć.

Jestem znużony. Ten fakt śmierci Matki powoli dopiero przedostaje się do mojej świadomości. Nie powiem, żeby było coraz lżej, raczej gorzej. Jakiś punkt oparcia w życiu zniknął i w ogóle to życie jest idiotyczne. Jedno mam pragnienie – spać nic nie czując przez 36 godzin przynajmniej.

Całuję Tatusia, mój drogi, kochany, biedny

Kochający syn Czesiek

Dopisek na pierwszej stronie: Proszę o wszystkie szczegóły, czy cierpiała bardzo

List bez daty, na oddartej u góry kartce, z zielonym paskiem z boku jednej strony

Kochana Jozie,

Wiem jak Jozia jest wybitna dla naszej rodziny. Mam do Jozie
w tej chwili dwie listy, proszę. Niech Jozia opublikuje się
ojcem, balem i Andrzejem jako własną rodzinę i prowadzi
gospodarstwo jako zawsze - pod Jozie opieką i oszczędzi.
Jest mi ciężko oddać w takiej chwili, ale nie jest mi
zadowolony z tego co się stało. Jedyną, co chcę wiedzieć, to to, czy
Matka miała kiedykolwiek była jemu przytomna +

Podziwiam Jozie serdecznie

Czesław Jędrzej

Kochana, uwielbiam cię moja Jozie!

W tym całym naszym smutku niech sobie pamięta, że ma jeszcze wnuka,
który jest Kocha, który zawsze będzie o niej myśleć, a po moim powrocie
zamierzam razem. Niech Bóg się błogosławi za wszystkie dobre
które wysłał na moją Matkę.

Kochający
Czesław

Drogi Andrzej, jesteśmy sami. Właśnie dla mnie to jest koniec nadziei. Bóg
rozstrzygnął moją drogę, nie jest szewcem. Jakoś za pięć dni dojeżdżamy
- ponieważ wszyscy już mi mówią, że nie ma już o mnie. Bardzo
jakoś mało prędko. Wyjazd, który normalnie spowodowałby mi radość, jest mi
całkowicie obojętny. Jakiś to się mógł stać z Matką? Co się stało? Czy
serce? Nie trzymaj się tam i spróbujcie Matkę do Schmidta wbrew jej woli.
Dzięki. Wskazanie listy by do synów. Listy albo bezpośrednio - adres
podam, dopóki nie, to Polish Embassy, Washington, U.S.A., albo Władysław
Nizewski, M.S.Z. Wydział Anglo-Amerykański ul. Cr. Motosa, Chicago,
konsulat generalny R.P. Czesław Jędrzej

Kochana Józio,

Wiem jak Józia jest życzliwa dla naszej rodziny. Mam do Józki w tej ciężkiej chwili wielką prośbę. Niech Józka opiekuje się ojcem, babką i Andrzejem jak własną rodziną i prowadzi gospodarstwo jak zawsze – pod Józki opiekę ich oddaję. Jest mi ciężko odjeżdżać w takiej chwili, ale nic już nie zdołam zmienić z tego co się stało. Jedyne, co chcę wiedzieć, to to, czy Matka miała księżdzę dopóki była jeszcze przytomna.

Pozdrawiam Józki serdecznie
Czesław Miłosz

Druga strona listu

Kochana, najukochańsza moja Lisiu!

W tym wielkim naszym smutku niech Lisia pamięta, że ma jeszcze wnuka, który ją kocha, który zawsze będzie o niej myśleć, a po moim powrocie zamieszkamy razem. Niech Bóg Lisie błogosławi za wszystko dobre które wyświadczyła mojej Matce.

Kochający Pun
Czesław

Drogi Andrzeju, jesteście sami. Właściwie dla mnie to jest koniec młodości. Bądź rozsądny mój drogi, też nie jesteś szczeniakiem. Jakoś za późno dojrzejemy – powinieneś właściwie już mieć kilkoro dzieci, nie mówiąc o mnie. Bardzo jakoś nagle pusto. Wyjazd, który normalnie sprawiałby mi radość jest mi całkowicie obojętny. Jak to się mogło stać z Matką? Co się stało? Czy serce? Nie trap się tem że sprowadziłeś matkę do Gdańska wbrew jej woli. Trudno. Widocznie tak było sądzone. Listy albo bezpośrednio – adres podam, dopóki nie, to Polish Embassy, Washington, U.S.A., albo Władysław Niziński, M.S.Z. Wydz. Anglo-Amerykański dla Cz. Miłosza, Chicago, Konsulat Generalny R.P.

Czesław Miłosz

1) Weronika Miłosz, z domu Kunat (ur. 1887 w Szetejniach – zm. 1945 w Drewnicy koło Gdańska) – matka Czesława Miłosza; zajmowała się wychowaniem synów i nauką w szkołach w powiecie kiejdańskim; po repatriacji z Wilna wraz z mężem i młodszym synem przybyła do Drewnicy koło Gdańska, gdzie zmarła na tyfus; pochowana jest na cmentarzu w Sopocie we wspólnym grobie Kunatów i Lipskich.

2) Józefa z Symciów Kunatowa – żona Zygmunta Kunata, babcia Czesława Miłosza.

3) Józka – gospodyni Miłoszów.

4) Siostra Janiny, żony Czesława Miłosza.

3.

Fragment listu pisanego na kartce A5 po śmierci matki

upoważnienie na podejmowanie należności z tytułu umieszczenia mnie na t.zw. „liście zasłużonych” t.j. pisarzy, mających prawo do pomocy ze strony Min. Kultury i Sztuki. Jest to zdaje się 3000 zł. miesięcznie. Zostawiłem upoważnienie Henryce, bo jest w Warszawie, zastrzegłem jednak że ta suma ma być przelewana mojej rodzinie i rodzinie Janki w miarę potrzeby – jeżeli więc brak wam gotówki, to czerpcie z tego.

Do Józi zwracam się z gorącą prośbą, aby zajmowała się gospodarstwem jak zawsze, aby była tak dobra dla was, jakby gospodarzyła dla siebie.

Żal mi Lisi. Bardzo mi żal. Rozumiem, czym to jest dla niej. Tulę ją do serca i bardzo kocham.

Tatusiu, proszę, niech Tatuś zachowa spokój i równowagę, nie trzeba się opuszczać ani załamywać, ta śmierć jest częścią tragedii ogólnej i jako taką trzeba ją przyjąć.

Dużo spada na barki Andrzeja. Wiem Andrzejowi, że jesteś zaradny i przedsiębiorczy – brak ci tylko umiaru i spokoju. Musisz coś zrobić żeby się jakoś unormować. Pisz do mnie często. Zanim podam dokładny swój adres, pisz Władysław Niziński, Min. Spraw Zagr. Warszawa, Wydz. Anglo-Amerykański, z prośbą o przesłanie Cz. Miłoszowi, Londyn, Ambasada, albo pisz bezpośrednio Stefan Themerson, 49, Randolph avenue, London W.9., dla mnie.

Ściskam najserdeczniej moi najdrożsi

Czesław

4.

Londyn, 7.XII.45

Kochany Tatusiu,

Wysłałem przed wyjazdem obszerny list adresowany na Drewnicę – nie wiem czy doszedł. Bardzo mi smutno i boleśnie, że Matka moja musiała właśnie umrzeć teraz, w Drewnicy – a mogła żyć jeszcze 20 lat. Wyrzucam sobie ciągle, że bagatelizowałem Jej chorobę i że wtedy nie chciałem aby sprowadzić księdza – ale ktoś mógł przewidzieć, że to tyfus – a potem lekarz wprowadził nas w błąd, mówiąc że niebezpieczeństwo minęło. Jakkolwiek ciężko byłoby Tatusiowi czy Andrzejowi o tem pisać – chcę wiedzieć wszystkie szczegóły jej ostatnich chwil.

Myślę o was, moi kochani jak musi wam być ciężko, ile moralnego wysiłku los od was wymaga, aby na nowo ułożyć życie rodziny i zachować równowagę po tym nieszczęściu. Całuję Tatusia najserdeczniej, mój drogi, kochany, myślę o Tatusiu ciągle – myślę o tem, jak wielka była miłość Matki do mnie i czym się za to wszystko mogę wypłacić. Będziemy w ciągłym listownym kontakcie, łączność z krajem jest ciągła i częste okazje. W Londynie zabawimy prawdopodobnie kilka tygodni. Podróż mieliśmy dość dobrą – 6 godzin, Janka tylko chorowała bo samolot b. rzucił. Mamy tu wielu znajomych i na ogół odczuwam pobyt tutaj jako odprężenie po smutnych przeżyciach ostatnich tygodni. Przed wyjazdem otrzymałem trochę pieniędzy – Henryka prześle 2000 zł. na adres gdański. Kwit na kurtkę u Henryki. Henryce też zostawiłem

Brak dalszego ciągu

New York 6.IV.1946

Czesław Miłosz

Polish Consulate

149–151 East 67 street

New York 21

5.

List bez daty, pisany w Londynie na kartce A5 niebieskim atramentem po śmierci matki

Kochany Tatusiu,

dotychczas jesteście jeszcze w Londynie. Nie miałem żadnego listu od Tatusia. Przesyłam paczkę dla Tatusia do Warszawy – proszę skomunikujcie się z Henryką w tej sprawie, bo mnie jest znacznie łatwiej przesłać coś do Warszawy niż na prowincję. W paczce jest: 4 paczki tytoniu fajkowego i blaszane pudełko herbaty. Przedtem posłałem w innej paczce do Heńki 1 pakiecik tytoniu.

Henryka ma nasze pieniądze, przeznaczone dla zaopatrzenia rodziny Janki, ale zastrzeżone jest, że to są pieniądze do podziału – jeśli więc Tatusiu cierpicie na brak gotówki – to proszę abyście wzięli stamtąd ile trzeba, a ja postaram się zaopatrzyć w więcej. W ogóle te sprawy muszą być omówione między Henryką i wami, bo ja przesyłać coś czy komunikować się mogę z Warszawą, dokąd są okazje.

Nic nie wiem jakie są plany i zamierzenia Tatusia i Andrzeja po śmierci Matki.

Proszę, abyście mi o tem napisali. Nie jest wykluczone, że udałoby mi się po pewnym czasie ojca ściągnąć do siebie – oczywiście jeżeli to wchodziłoby w jakiś plan życia ogólny i ojciec miałby ochotę. Nic oczywiście teraz nie mogę obiecać, bo nie wiem jakie będą warunki na miejscu, jak to wygląda. Jakie są zamiary Andrzeja?

Piszcie przez Władysława Nizińskiego M.S.Z. albo bezpośrednio próbujcie Chicago, Polish Consulate, 49, East Cedar street, USA. Koniecznie proszę abyśmy nawiązali korespondencję stałą. Bardzo mi ciężko było wyjeżdżać w takiej chwili ale nie miałem wyboru.

Całuję
Czesiek

6.

H. Goszczyńska przesyła do Aleksandra Miłosza kartkę następującej treści:

Dn. 31/I.46 r.

Szanowny Panie!

Przesyłam list Czesława, który dziś otrzymałam.

Po paczkę wybieram się do Min. Spr. Zagr. w poniedziałek i będę starała się dostarczyć ją Sz. Panu przez okazję do Gdańska, jak pisałam poprzednio.

List pisany na kartce A4 w formie 4-stronicowej dostarczony wraz z kartką Goszczyńskiej

Londyn 10.I.1946

Kochany Tatusiu,

Dziś otrzymałem list adresowany na M.S.Z. z 29.XII. Listu przez pocztę dotychczas nie otrzymałem. Równocześnie przyszedł list Henryki (pocztą) z 29.XII w którym pisze, że rzeczywiście jestem na t.zw. liście zasłużonych pisarzy, co wynosi 3000 zł. miesięcznie. Na podstawie upoważnienia mojego Henryka zainkasowała w Warszawie w Ministerstwie 9.000 zł. to zn. za 3 miesiące, z tego 6.000 wydała Tatusiowi (pewno na okres gdański?) a 3.000 zł. rodzicom Janki. Równocześnie postaraliśmy się, aby na ręce Henryki wpłynęła suma ok. 25.000 do podziału pomiędzy obie rodziny, w miarę potrzeby, (nie wiemy jeszcze, czy podjęła) W następnych miesiącach Henryka będzie dzie-

liła 3.000 z listy na 2 części, jeżeli będą i deputaty to powinna je oczywiście zatrzymywać dla siebie. Pamiętajcie o moim Szekspirze¹⁾ w Teatrze Wojska w Łodzi, ale myślę, że to będzie aktualne dopiero za parę miesięcy, bo sztuka która pobudza t.j. „Elektra” Giraudoux, jak się dowiaduję, dopiero wchodzi na afisz. Niemniej, będziemy myśleć jak Wam pomóc. Przez Ambasadę posyłam do Henryki parę drobnych paczek – jest tam dla Tatusia pudełko świetnej herbaty i kilka paczek tytoniu do fajki. Specjalną paczkę z tytoniem przygotuję i mam nadzieję, że jakoś dotrze do Henryki – wszystko znacznie łatwiej przesłać do Warszawy, bo są okazje – a jak wydobyć z Warszawy, to już musicie się postarać. Fajkę spróbuję kupić, choć to trudno – dostaje się za protekcją, bo na ogół są wszystkie wyprzedane. W Polsce nie wie się na ogół jak duże są ograniczenia swobody kupowania w Anglii – albo nie ma wcale towaru, albo jest ale na kupony i punkty, ten system racjonalizacji jest nadzwyczaj ściśle przestrzegany. Płace w Anglii są b. niskie, ale system rozdziału sprawny i ludność dostaje swoją żywność na punkty za grosze. Marzę o kupieniu czegoś z ubrania ale na próżno. Zdobyłem z trudem potrzebną ilość kuponów, ale w całym Londynie nie można dostać porządnych spodni. A jestem bardzo wydarty. Zrobić coś u krawca też mi się nie udało, bo 1° kupony a 2° trzeba czekać na swoją kolejkę kilka miesięcy. Ale za kilka dni już wyjeżdżamy t.j. ściśle w niedzielę jedziemy do Glasgow, a w poniedziałek 14.I odpływamy do New Yorku.

Bardzo czekam listu Ojca ze szczegółami o śmierci Matki. Sprawilo mi pewną ulgę te kilka słów które Ojciec napisał. Ja Matkę ceniłem b. wysoko za wielkie zalety jej serca i dużą intuicję w jej sądzie o ludziach i zjawiskach. Bardzo źle dla nas wszystkich że Jej nie ma a źle, pomijając uczuciowe więzy nas wszystkich, dla Andrzeja, bo brak mu tej ostrożności i rozwagi, którą miała Matka. Myślę, że w tej śmierci zaważyły silnie motywy psychologiczne. Matka po prostu nie chciała żyć i to było widoczne. Zaważyło w tem również oderwanie od stron rodzinnych. Tak czy inaczej, to sprawa bardzo głęboko zapadła mi w serce i nieraz do niej jeszcze będę powracać. Dla mnie jest to zakończenie jednego cyklu życia i dziwnie się zbiegło z całkowitą zmianą moich życiowych warunków. Nie wiem, co Wam doradzać. Obawiam się trochę, że wobec wielkich trudności komunikacyjnych Andrzejowi trudno będzie się kształcić.

Ja czuję się raczej zdrowszy, chociaż piekielny klimat pełen wilgoci nie jest dobry na mój reumatyzm. Moje sprawy układają się raczej pomyślnie. Znajomość języka jest nieocenionym skarbem, dzięki temu mam tu spore stosunki i czuję się jakby to nie była obczyzna. Spokój Londynu dobrze wpłynął

na moje dość rozdygotane nerwy. Jestem zdania, że Andrzej nie powinien zaniedbywać nauki języków. To ważne. A nigdy na to nie jest za późno – ja kiedy się zabierałem, byłem starszy niż on.

Podobno wyszła moja książka wierszy w „Czytelniku” w Krakowie p.t. „Ocalenie”²⁾. Pisałem, żeby Wam ją przysłali, jeżeli nie otrzymaliście, piszcie dr. Sluksman, „Czytelnik”, Wielopole 1, Kraków.

Całuję najczulej Tatusia, Lisię i Andrzeja, Józi i [...]
 pozdrowienia
 Czesław

1) Przekład Czesława Miłosza Jak wam się podoba Shakespeare'a.

2) Ocalenie, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1945.

7.

New York, 6.IV.1946

Kochany Tatusiu, kochany Andrzeju,

od chwili wyjazdu z Londynu nie miałem żadnego listu, ani od was ani od siostry Janki. Nic nie wiem co się u was dzieje. Liczyłem na to, że otrzymam list ze szczegółami o śmierci mamusi. Bardzo tego chciałem i będę nadal czekać na taki list. Pragnę też wiedzieć, jak wygląda wasza sytuacja materialna i jakie są plany – czy pozostania nadal w Drewnicy, czy też przeniesienia się gdzieś do miasta. Chcę też wiedzieć, czy te możliwości finansowe, które starałem się wam zostawić i za pośrednictwem Henryki i bezpośrednio są dla was jakąś pomocą i w jakim stopniu. O ile się orientuję, sztuka jeszcze nie idzie, ale idzie „Elektra”, po której zaraz wejdzie na afisz mój Szekspir, a może już wszedł.

Andrzeju kochany, czy robisz coś w zakresie swoich studiów. Radzę ci potraktować to poważnie – sądzę, że siedzenie na wsi i tylko dojeżdżanie mało temu sprzyja. W tej chwili są już przygotowane np. stypendia na uniwersytetach amerykańskich dla dwustu studentów z Polski. Wkrótce w Polsce będzie utworzona Komisja złożona z przedstawicieli uniwersytetów, która te stypendia będzie przyznawała – ale warunkiem jest znajomość angielskiego i źle, że zaniedbałeś ten język. Powinieneś być ze mną w stałym kontakcie. Poinformuj mnie jak idą ci studia w Szkole Nauk Politycznych i jakie tam masz [...] i opinię. Tu są idealne dla ciebie działy studiów – właśnie t.zw. home economics (HOME ECONOMICS) które obejmują ekonomię, organizację społeczną, nauki polityczne. Ale tak czy owak musisz znać angielski – to będzie na pewno kryterium przydziału stypendiów. Ze

swojej strony dołożyłbym wszelkich starań, aby ci to ułatwić i napisałbym szereg listów do Polski do różnych wpływowych osób. Oczywiście ważne w tym wypadku będzie jaką kto ma opinię polityczną – przynależność do P.P.R. niepotrzebna, zbyt wielka jaskrawość może być raczej przeszkodą, ale związanie z prawicą szkodliwe. Najlepiej apolityczność. Te stypendia zostaną przyznane tej wiosny, a studenci pojadą do U.S.A. latem. W każdym razie ucz się angielskiego, bo czy tak czy owak to ci się przyda, jeżeli nie w pierwszej turze, to porobię starania abyś mógł na studia wyjechać potem. Jak ty teraz stoisz z angielskim? Gdybyś wziął się do kucia jak koń, w kilka miesięcy mógłbyś już bałakać. Napisz mi jak będziesz wiedział o składzie tej komisji, a nie puszczaj zanadto farby, poproś o to któregoś z profesorów, z którym jesteś dobrze.

Musisz pisać do mnie często. Nie rozumiem, inni ludzie dostają listy z kraju, a ja nic. Żeby tak czy owak wam pomóc trzeba być w kontakcie listowym. My czujemy się nieźle, choć ja osobiście wolę Europę i nie chciałbym tu zapuszczać korzeni. B. źle mieszkamy – zdobycie mieszkania w New Yorku jest zadaniem ponad siły – b. ostry głód mieszkaniowy. Twoje obiekcje co do mego wyjazdu nie były słuszne – widzę to z perspektywy i w ogóle wiele spraw widzi się z perspektywy lepiej. Mam dużo pracy, ale piszę pozatem i choć nie opływamy w pieniądzu (wszystko jest b. drogie) to jednak ten pobyt przyniesie mi wiele korzyści. Chcielibyśmy posłać wam pieniądze, ale dużo nie możemy, bo tylko wiążemy koniec z końcem. – w tej chwili nie mamy niestety okazji.

Czy otrzymaliście drobne przesyłki z Londynu, gdzie trudno coś dostać, bo wszystko na kartki? Proszę o podanie dokładnego adresu, pod który mógłbym wysłać paczki, bo na Drewnicę boję się że nie dojdzie. List z Polski (lotniczy) idzie 2–3 tygodnie, stąd do Polski 10 dni.

Ściskam was najmiej
Lisię całuję jako zawsze kochający Pun
Czesiek

Dopisek: Moi kochani, bardzo serdecznie wszystkich całuję i bardzo popieram projekty Czesława i jego zachęty do nauki angielskiego dla Andrzeja. Prosimy o listy. Lisię, ojca i ciebie Andrzeju pozdrawiam Janka

Dopisek: Fajka jest do odebrania u portiera Hotel Central na nazwisko pani Goszczyńskiej (podpis nieczytelny)

Dopisek na stronie pierwszej listu: Mieszkamy stale w New Yorku. Zamiast w Chicago, zostałem radcą konsulatu w New Yorku.

8.

List bez daty, pisany na urlopie w Rehoboth nad Atlantykiem

Kochany Tatusiu,

Od dawna nie miałem już listu z domu. Zaczynam się niepokoić. Może list przyszedł do New Yorku, teraz jesteśmy z Janką nad morzem – mam wolne 2 tygodnie. Jesteśmy w Rehoboth w stanie Delaware nad Atlantykiem. Ciekaw jestem czy doszła fajka. Jedną posłałem przez okazję, ale Henryka pisała że jej nie dostała: po prostu ta osoba zostawiła fajkę u portiera w hotelu Centralnym w Warszawie, sama wyjechała do Czechosłowacji, a portier powiedział Henryce że fajki nie dostał – pewno ukradł. Drugą fajkę posłałem przez kogoś, kto 10 dni temu poleciał samolotem prosto z New Yorku do Londynu i Warszawy. Obie fajki były w dobrym gatunku, ta druga kalifornijska, z prawdziwego [...] – jeżeli żadna nie dojdzie to będę próbować wysłać po prostu w paczce – ale chciałem żeby prędkiej i pewniej. W paczce, którą wysłałem stąd kilka dni temu było: 5 puszek czystego cytrynowego soku, kakao, kawa, pudełko herbaty i puszka z szynką, rodzynki i dwa pudełka fajkowego tytoniu, oraz pudełko daktyli. Zaadresowane na Gdańsk – Wrzeszcz. Ta paczka jest do rozróżnienia po tem, że wysłana w lipcu, i choć nadawcy adres jest New York, powinna mieć stempel Rehoboth, Delaware.

My czujemy się dobrze, szczególnie tu nad oceanem. Lato w New Yorku jest ciężkie – klimat chyba jak w Singapore – mokry upał, tak że ciągle ocieka się potem. Przytem nasze kłopoty mieszkaniowe osiągnęły apogeum. Dusiliśmy się zupełnie w naszym pokoiku, nic tam nie można było pracować, wreszcie przenieśliśmy się do znajomych i wynajęliśmy mieszkanie – 2 nieduże nieumeblowane pokoje za fantastyczną sumę dolarów. Ale nie można nie mieszkać. Doszliśmy już do nerwowego rozstroju. Jak tam będzie, nie wiem, bo to jest top-floor, czyli góra i słońce prosto wali i musimy sprokurować jakieś meble. Plus ten, że jest kuchnia, łazienka i elektryczna lodownia, bez której przy tym klimacie nie można egzystować – poza tem że mleko jest podstawą odżywiania, żłopie się ciągle chłodzące napoje, zawsze z lodem. Tu w Rehoboth mieliśmy przez tydzień do naszej dyspozycji cały cottage w lesie, kompletnie urządzone, należący do znajomych naszych znajomych. Teraz przenieśliśmy się do wynajętego pokoju – zaczynam mieć obsesję ciasnej przestrzeni, dobrze że przeważnie siedzimy na plaży albo pławimy się w morzu. Upał jest dobrą

rzeczą, ale przytępia – napisałem szkic o Hemingway’u do polskich pism i to wszystko co mogę z siebie wydusić w tym Rehoboth Beach.

Bardzo mnie interesuje amerykańska przyroda. Inne gatunki ptaków, zwierząt, ryb. I obfitość tego wszystkiego.

Chciałbym żeby Tatuś napisał, co wam z ubrania potrzebne. Tutaj jest dużo obuwia, które jest względnie tanie. Oczywiście wysokich butów nie ma, ale sznurowane trzewiki typu roboczo-wojskowego są dobre. Ubrania zimowe są choć drogie – tak że waham się – bo jednak jest ryzyko przesyłki. Wdzięczny będę za wiadomość z domu. Od czasu wiosennych listów nic nie wiem co się dzieje, co z Andrzejem. Boję się, żeby się nie wplątał w jakąś kabałę. My tu dostaliśmy szereg stypendiów dla polskich studentów, ale przysłano nam podania kandydatów o tak słabych kwalifikacjach naukowych, że nie przeszły przeważnie przez surowe tutejsze komisje uniwersyteckie. Andrzej musi nauczyć się jakiegoś zawodu – czy zostanie kowalem czy pójdzie na uniwersytet – to wszystko jedno, ale coś musi umieć. Myślę że zgadza się Tatuś ze mną, że taki stan jak w ciągu ubiegłego sezonu nie może dłużej trwać – bo jest to demoralizujące objanie się. Teraz jest pora, aby przed jesienią to rozstrzygnąć. Trudno mi z odległości coś zdecydować doradzać, ale pisałem do Andrzeja, że jest to ostatnia pora. Myślę, że nie docenia powagi sytuacji, jak w ogóle ludzie w kraju mało jej doceniają. Należy wziąć pod uwagę, że w pewnych okresach historycznych tylko bardzo wyćwiczony umysł daje sobie radę – jeżeli komuś się wydaje że jest dość mądry bez zrobienia wysiłku, to nie wiedząc o tym, ulega atmosferze, idzie po linii przyjętych od kogo innego nastrojów i przekonań.

Ogromnie trudno mówić tak na odległość i nie za dobrze czuję się w skórze mentora. W każdym razie obawiam się o teraźniejszość i przyszłość Andrzeja, bo wszelki upadek przychodzi stopniowo, rzadko gwałtownie i ofiara się ani spostrzega.

Może mówię to dlatego, że sam dostałem w czasie wojny lekcje inteligencji od pary moich przyjaciół¹⁾, którzy z pewnością są najbardziej rozważnymi ludźmi jakich znam. Właśnie niedawno, choć sądziłem że zginęli, dowiedziałem się że żyją. Andrzej wydaje się być dokładnym przeciwieństwem ich zaleceń – ale oni czytają greckich klasyków w oryginale, Anglików w oryginale, Niemców w oryginale i z wiedzy historycznej pochodzi ich praktyczna mądrość. Dochodzę do wniosku, że jedynym ratunkiem dla Andrzeja byłoby uczipienie się jakiegoś bardzo konkretnego zawodu, w którym nie byłoby miejsca na dowolność i gadanie. Tym bardziej że ma pociąg do studiów i zawodów bliżej nie określonych – jak szkoła nauk politycznych czy szkoła

handlowa, czy dziennikarska. Podejrzewam, że są to przeżytki minionego okresu, które w szybkim czasie uwiędną. Ale niechby chociaż coś z tego zrobił. Szkoła nauk politycznych = zero. Co to są nauki polityczne? Ja nie wiem. Małpowanie Ecole des sciences politiques w Paryżu, która była dobra dopóki w świecie istniała suwerenność państw.

Chciałbym utrzymać z wami żywszy kontakt. Czy nie mógłby Tatuś napisać do mnie obszernie, w spokojnej chwili? Listy Tatusia, pisane w podnieceniu nerwowym, nie dały mi jasnego obrazu. Co się dzieje z Ela²⁾, Nina³⁾ i Władziem⁴⁾? Gdzie się osiedlili? Gdzie są Jurewiczowie⁵⁾? Czy Marysia⁶⁾ wie o śmierci Matki? Józię serdecznie pozdrawiam.

Lisi kochanej jak zdrowie? Czy doszła moja fotografia którą włożyłem w list? Nie jest wykluczone że przylecę na parę tygodni do Polski.

Ściskam i całuję Tatusia i Andrzeja

Czesław

1) Tadeusz Juliusz Kroński (1907–1958), historyk, filozof i jego żona Irena Krońska (1915–1974), filolog klasyczny.

2) Gabriela (Ela) z Kunatów Lipska (1888–1962), kuzynka matki Czesława Miłosza.

3) Janina (Nina) z Kunatów Niementowska (1898–1977), kuzynka matki Czesława Miłosza.

4) Władysław Lipski (1885–1978), inżynier, mąż Gabrieli (Elżbiety) z Kunatów, od 1931 roku wraz z żoną właściciel Krasnogrody.

5) Maria i Zdzisław Jurewiczowie, właściciele dworu Pogonie obok Bobt, Łobunowa i Wędzia-goły nad Niewiażą.

6) Maria Jurewicz, siostra matki Czesława Miłosza.

9.

List bez daty, pisany w New Yorku na papierze A4 niebieskim atramentem (przebijające się strony) tuż po mianowaniu na attaché kulturalnego w Waszyngtonie

Kochany Andrzeju,

napisałem do Ciebie duży list, został wysłany już dawno, ale nie mam odpowiedzi. Czy otrzymałeś? Poruszyłem w nim wszystkie sprawy naszego nieporozumienia, przeprosiłem cię za moją choleryczność i prosiłem, abyś nie brał jej do serca. Był to list b. serdeczny i sądziłem że wystarczy, aby rozproszyć wszelkie chmury i dać ci do zrozumienia że jestem b. do ciebie przywiązany i że nie chcę żadnych między nami zdrażeń. U mnie zaszły pewne zmiany, choć dla nas uciążliwe. Zostałem mianowany attaché kultu-

ralnym przy ambasadzie w Waszyngtonie, co pociąga za sobą nową przeprowadzkę, a to uciążliwe w kraju w którym nie ma mieszkań. Tu w New Yorku łupili z nas dziesiątą skórę, ale inaczej mieszkania się nie znajdzie, bandyci wynajmują tylko tym, którzy zgodzą się milcząco na oszukiwanie urzędu kontroli cen. Co znajdę w Waszyngtonie, nie wiem. Waszyngton jest czemś w rodzaju dużego Mokotowa, klimat równie zły jak w New Yorku, gorętszy, bo 400 km. na południe. Jednak do New Yorku przywykliśmy już, mamy tu sporo znajomych i nie bardzo uśmiecha się nam ta podróż. Właściwie całe życie jak na popasie. W dodatku Janka pracowała tu w New Yorku przejściowo, będzie musiała to zlikwidować. Narazie jadę do Waszyngtonu sam i szukam jakiejś bazy. Tu miałem dobre warunki pracy, myślę, że tam tego nie będzie, kariera dyplomatyczna absolutnie mnie nie obchodzi i pocieszam się myślą, że przyjdzie dzień, kiedy cisnę to w diabły. Ze smutkiem patrzę na Amerykę. Jest to kraj o nieograniczonych możliwościach, ale analiza ostatnich wydarzeń polityki wewnętrznej nie prowadzi do różowych wniosków. Dużo by zresztą o tem mówić. Obecnie jesteśmy tu w okresie wyborczym. Republikanie szykują się do zwycięstwa, a ich zwycięstwo oznacza zwycięstwo monopolistycznego kapitału, który próbuje się odkuć za wszystkie lata, kiedy Roosevelt nałożył im uzdę. Demokraci po śmierci Roosevelta są słabi i rozbici na obozy. Polityka zagraniczna jest tylko dodatkiem do wewnętrznych rozgrywek, a w tych rozgrywkach chodzi o dochody wielkich koncernów, z których niejeden ma w rękach bogactwo dwa i trzy razy większe niż cały majątek narodowy Polski. Uzda Roosevelta polegała na kontroli cen i zabezpieczeniu stawek robotniczych. To wszystko pęka. Od chwili mego przyjazdu dolar stracił na wartości jakie 25%. A przy tem wszystkim niebotyczny poziom techniki, samoloty transoceaniczne z barami, kinami itp., samoloty rakietowe, atomowe kuchnie (woda gotuje się w 5 sekund), wynalazek goni za wynalazkiem – i wzbogaca producenta. Cóż z tego, kiedy ni rąk ni głowy. Niezmiernie mało kupiliśmy sobie tu rzeczy z ubrania itp. Kupowanie jest tu męką. Jest wszystko, tylko nie to co potrzebne, praktyczne a nie – fantazyjne, a w ogóle system Nalewek – masy świństwa. Tak że jedyna rzecz co do której można sobie nie pluć w brodę kupiwszy – to książki. Jeżeli tak niewiele paczek wysyłamy, to nie dlatego, żebyśmy na to sobie nie mogli pozwolić. To jest sprawa znalezienia na to czasu. Męczące miasto i męczące sklepy, trzeba wiele obejść aby skompletować paczkę a tu dzień idzie za dniem wśród pilnych zajęć. Mój drogi, czy ty się uczysz? Głupstwo reszta, chodzi o języki. Czy zrobiłeś jakieś postępy w angielskim?

Pisałem do kraju z prośbą o przekazanie Tobie różnych honorariów. Czy i co otrzymałeś?

Jak wyglądają twoje plany finansowe, o których pisałeś? Jak zdrowie ojca i Lisi? Czy ojciec dostał wreszcie fajkę, bo posłałem już 2.

No, ściskam Cię serdecznie, a pisz do mnie, bo tamte rzeczy podzielimy po powrocie: połowę winy za moją złość biorę na siebie, połowę Ty weź. O żadne pieniądze nie mam cienia pretensji, przecież one nie dla mnie! Złość moja spowodował tylko ton Twoich listów. C'est le ton qui fait la chanson?!¹⁾

Całuję Ciebie i ojca i Lisię, Józię pozdrawiam. Władka, Elę i Ninę uściskaj
Czesław Miłosz

Pisz do mnie

Czesław Miłosz, Polish Embassy, 16 th street

Washington, D.C.

Drogi Andrzeju, przykre było to wasze nieporozumienie. Zapomnijcie o tym, trudno, zdarza się, ale nie warto przywiązywać do tego wagi. Czesław ma rację przynaglając cię do nauki angielskiego. Podobno otwarto szkołę Nauk politycznych w Sopotach. Czy to prawda i czy to ci coś ułatwia? Nie wiadomo jeszcze jak długo tu zostaniemy, może to się stać zbyt męczące dla Czesława. Ja coś teraz zarabiam, ale ten wyjazd wszystko pokręcił. Robimy nowe paczki do wysłania, ale zabiera to dużo czasu. Ceny fantastycznie poszły w górę. Nie mamy sumienia wydawać kilkadziesiąt dolarów na byle co. Jak zdrowie ojca i Lisi? Prosimy o listy. Moje najlepsze pozdrowienia i ucałowania dla Lisi, ojca i Ciebie

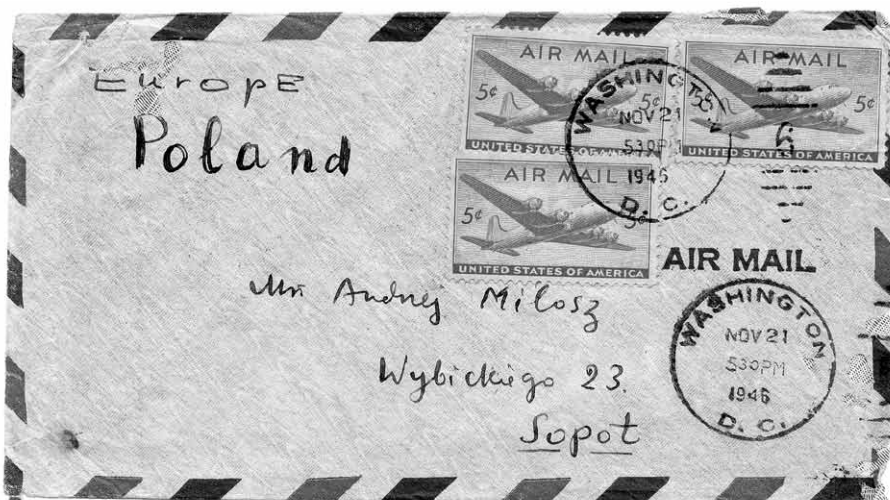
Janka

Dopiski Czesława Miłosa

P.S. Moje awantury uważaj za niebyłe. Postaram się poprawić.

P.S. II. Jeden z moich listów, zaadresowanych na Karłowicza 61 b skrupulatna poczta zwróciła mi do New Yorku z Gdańska, z dopiskiem: adresat przeniósł się na Wybickiego 23, Sopot!!! I narzekać tu na brak gorliwych urzędników!!

1) Wszystko zależy od tonu powiedzenia.



10.

C. Miłosz
 Polish Embassy
 2640 16th street
 Washington D.C.
 Bez daty

Kochany Andrzeju,

Dostałem twój list, który mnie ucieszył. Będę rzeczowy, mam dużo spraw.

1) Bądź łaskaw podać mi jak najszybciej rok urodzenia Mamusi, nie pamiętam czy to był 1889 czy 1891. Piszę pewną rzecz, z okazji rocznicy jej śmierci i chciałbym ją zadedykować jej pamięci, ale nie pamiętam tej daty która jest mi potrzebna.

2) Wysłałem w paczce długie czarne buty dla ojca i t.zw. combat boots (wojskowe buty amerykańskie) dla ciebie, oraz trochę łaszków i drobiazgów. Paczka jest ubezpieczona, wysłana linią Gdynia – Ameryka, statkiem „Bałtyk”, który zawinąć ma do Gdyni przed samymi świętami. Wskazane byłoby, abyś dowiedział się o tą paczkę, kiedy „Bałtyk” przyjdzie to będziesz ją miał na święta. Jeżeli buty będą dla ciebie za duże, albo zbyt mało miejskie, to je sprzedaj, przyślę ci inne, ale muszę wiedzieć który numer nosisz 29 czy

30? Chcę też wiedzieć co z ubrania jest wam potrzebne. Dla ciebie mam też buty miejskie, pantofle, na zupełnie żelaznej skórzanej podeszwie. Mogę też wam przysłać skórę jeżeli to praktyczne. Takie zelówki, jakie znajdziesz w paczce, kosztują dolara, a więc tanio. Napisz koniecznie, czego wam z ubrania brakuje.

3) Dotychczas drukowałem następujące rzeczy za które należą się pieniądze: w [...] 1. koresp. z Londynu – to w zimie ubiegłej, pieniądze zdaje się poszły do Wołomina. 3 korespondencje latem i jesienią b. roku, porozum się osobiście z Heńką czy Matka jej dostała 3 razy pieniądze, ale delikatnie! i otwarcie – bo chodzi o porządek tylko. Zresztą Heńka może nie wiedzieć, bo pieniądze [...] mógł przekazać prosto do Wołomina, miał ten adres.

W „Odrodzeniu” – 1 korespondencja.

W „Kuźnicy” – 2 artykuły.

W „Twórczości” – 1 długi wiersz,

1 przekład dużego poematu T.S. Eliota,

1 essey literacki.

Podaję to do twojej wiadomości. Myślę że najlepiej jeżeli zaniechasz jakichkolwiek kroków w redakcjach, bo to robi złą krew. Przesyłając teraz materiały do kraju, zawsze piszę komu przekazać pieniądze. Natomiast możesz upewnić się czy Wołomin pieniądze dostał.

Gdybyś pisał do redakcyj, użyj takiej formuły: „Proszę o uprzejme zbadanie czy honoraria za utwory mego brata Czesława zostały wypłacone. Jeżeli nie, proszę o łaskawe ich przesłanie albo pod moim adresem, albo pod adresem Wołmin, Niecała I, Czesława Dłuska, stosownie do dyspozycji mego brata.”

4) Co do mieszkania w Wwie, to w tej chwili nie mam żadnych planów i dlatego nic na ten temat poradzić nie mogę, zgłaszając na razie desinteresment.

5) Co do przekazania pieniędzy. Primo, po jaką cholerę mam od ciebie zabierać pieniądze, które ci się w kraju przydadzą. Secundo absolutnie nie wierzę w możliwość uzyskania zezwolenia komisji dewizowej. Powiedzą że zarabiam tutaj dosyć i że na takie hopki nie pozwolą. Powiedzą też że moje podróże służbowe pokrywa Ambasada. Mój drogi, życie byłoby proste, gdyby takie zezwolenia dawano. Faktem jest, że ja bym znacznie wolał być w Stanach jako dziennikarz, niż jako urzędnik Ambasady. Takiego dziennikarza tutaj b. potrzeba, bo ma znacznie większą swobodę działania i pisania co mu się podoba niż dyplomata. Omawiałem tę sprawę z jedną z najwyższych figur

rządowych tutaj w czasie jej bytności w Stanach. Nie wątpię, że kilka pism w Polsce złożyłoby się na takiego korespondenta, zwłaszcza że orientuję się już dobrze w polityce wewnętrznej i zagranicznej tego kraju. Ale to w tej chwili jest b. trudne ze względu na komisję Dewizową właśnie.

6) Zostałem mianowany attache kulturalnym przy Ambasadzie, a więc robić będę to, co dotychczas robił Pruszyński¹⁾ który odszedł do United Nations. Jest to dla mnie t.zw. awans i chyba więcej pieniędzy. To jest b. ładnie, ale są i ale. Na pracę urzędową i dyplomatyczną mam pogląd b. wyrobiony, człowiek jest cały dzień zajęty telefonami, listami i.t.p. a g. z tego zostaje w wyniku. Mimo mojej dzikości i nieśmiałości w latach młodzieńczych stosunki towarzyskie nie sprawiają mi trudu, zresztą w Ameryce są b. uproszczone, ale co z tego? Po wtóre tzw. obcowanie z personelem i trzymanie w pewnych wypadkach za mordę jest przeciwne mojej naturze, bo mogę być ostry, ale potem mnie to znudzi i wleżą mi na głowę, nie żeby brak mi było energii, ale chęci, mam ważniejsze rzeczy do roboty. Po trzecie, te wszystkie stanowiska są krótkotrwałe bo o takie kąski, które są przedmiotem powszechnej zazdrości, wszyscy biją się i gryzą jak psy. Najważniejsze jednak że do tzw. kariery nie mam żadnej ochoty i ucieknę z tego prędzej czy później. Chcę jednak sezon 1946/1947 spędzić w Waszyngtonie, skoro już tu się znalazłem, a co dalej, zobaczymy.

7) Oceniam twoją dzielność i zaradność. Myślę, że powinieś uregulować sprawy majątkowe, nie brnąć w nowe, z których ojciec sam się nie wyplącze i obkuwać angielski + dyplom. Zdobycie dla ciebie stypendium tutaj nie będzie trudne. Sytuacja tak wygląda, że stypendia techniczne i medyczne są niemal niemożliwe, bo wszyscy weterani pchają się na to. Natomiast socjologia, antropologia, ekonomia są względnie łatwe. Gdyby oficjalna droga zawiodła, mógłbym może to tak załatwić, że po prostu ściągnąłbym ciebie tutaj, gwarantując pokrycie twego pobytu a ewent. stypendium dostałbyś tu na miejscu gdybyś tu był do tego czasu. Droga oficjalna tak wygląda, że my stąd dajemy zapotrzebowanie na pewną ilość stypendiów, a kandydaci składają podania w kraju, które są rozpatrywane przez Rady Rektorów przy Ministerstwie Oświaty w Wwie. Czy w Polsce można opłacić przejazd statkiem w złotych? Tego nie wiem. Istotne jest czy będziesz gotów z dyplomem na koniec tego roku akademickiego? Bo w ciągu tego sezonu sukcesywnie będziemy załatwiać stypendia na następny. Napisz też, co ciebie by interesowało: socjologia? administracja? organizacja? antropologia? ekonomia? Ale najważniejszy w tem jest angielski, musisz go załatwić w ciągu tego roku, bo bez niego ani rusz.

W Ameryce można nauczyć się masę. Nie znaczy to, abym był zachwycony tym krajem. Dzieją się tu rzeczy nie-praw-do-po-do-bne i stają się tu czerwony jak piwonie. Cała bieda, że nasi entuzjaści Ameryki w Polsce nic o Ameryce nie wiedzą. Jest to kraj w żelaznym uścisku wielkiego kapitału, który karmi przeciętnego obywatela zupełnie ogłupiającą prasą, ogłupiającym filmem i ogłupiającym radiem. Nie znaczy to aby nie stała tu niezwykle wysoko nauka i aby nie ukazywało się mnóstwo znakomitych książek. Cała jednak moja sympatia zwraca się w stronę Europy, pomijając inne względy także dlatego że w Europie nawet bez pieniędzy można żyć, a tutaj żyje się świetnie, ale tylko dopóki ma się pieniądze, a zasadą jest że w tym kraju uczciwą drogą nie da się zrobić pieniędzy. Kombinacją w stylu europejskim też nie – najdzielniejsi europejscy cwaniacy pokonczyli tu na lichych posadkach. Pułap, od którego zaczynają się możliwości jest b. wysoki, bo koncentracja kapitału zaszła tu niezwykle daleko, a „free enterprise” i „równe szanse” są oczywiście w takim stanie rzeczy bluffem. Mówię o tem naturalnie teoretycznie, bo jak wiesz nie mam żadnych pociągów do interesów, ale to wytwarza szczególną atmosferę zbiorową. Na sprawy polityki międzynarodowej, ogłędając to z bliska patrzę inaczej niż wielu ludzi w kraju a zabicie U.N.N.Ry przez sprzeciw rządu U.S.A. mimo wysiłków la Buerdii aby ją ratować jest dobrym symbolem. Stany są potęgą, ale co z tego dla świata? Kiedy reszta kuli ziemskiej głoduje zniosły u siebie wszelkie ograniczenia, zniosły [...] cen, każąc nabywcy, którego pensja pozostała na tym samym poziomie, płacić za ten sam produkt o 25%, 50% więcej. Ta polityka podwyższyła dochody wielkich koncernów o 40–60%, ale nosi znamiona samobójstwa. A zważ, że Republikanie, którzy uzyskali większość w wyborach, nie pokazali jeszcze co potrafią. A są po prostu ekspozyturą wielkiego businessu. Całe dzieło społeczne Roosewelta leży w ruinie, Stany są w okresie jak przed r. 1929, kiedy to straszliwy kryzys, wywołany właśnie gospodarką bez hamulców doprowadził ten kraj do klęski. Syty głodnego nie zrozumie, Stany w tej chwili są syte, a reszta świata głodna i zrozpaczona i Stany nie rozumieją świata. The hell with the world i jedzą torty z białego kremu w kształcie wybuchu bomby na Bikini (autentyczne). Może jestem rozgoryczony, ale myślę że za takie rzeczy się płaci, kiedyś. Kłamstwem jest że ich znakomite i demoniczne bronie mają służyć obronie wartości cywilizacji. Mają służyć obronie ich koryta. [...] Nie daj się nabierać.

Kocham cię i całuję. Odpisz zaraz

Czesław

Dopisek na lewym marginesie str. numerowanej jako 7 (ostatnia): Co do moich spraw literackich, to następnym razem.

Dopisek na prawym marginesie strony jw.: Oskar Miłosz nazywał Amerykę: Bête [...] de la mer²⁾ (de l'Apocalypse). Oczywiście że Anglia jest perfidna ale spartańska, żylasta i umiejąca zaciskać zębów i pasa. A ci trzęsą się o swoje auta i elektryczne lodownie i nic ich poza tem nie obchodzi.

1) Ksawery Pruszyński (1907–1950) – pisarz, publicysta, po 1939 roku pracował w służbie dyplomatycznej rządu gen. Władysława Sikorskiego, a następnie rządu warszawskiego.

2) „«Bestia wychodząca z morza», której smok daje władzę to Ameryka jako światowa stolica technologii i materializmu” (zob. Ziemia Ulro, Kraków 2000).

11.

Czesław Miłosz
Polish Embassy
2640 sixteenth str.
Washington D.C.

Kochany Tatusiu!

otrzymałem list Tatusia, ale z niego nie wiem czy Andrzej otrzymał moje listy. Prosiłem w nich o odpowiedź i aby się na mnie nie gniewał. Prosiłem go o wybaczenie i o zapomnienie uraz, ale nie miałem od Niego wiadomości – czy się obraził? Jest to dla mnie przykre, bo jestem do niego przywiązany i nie chcę żadnych nieporozumień. Nikt nie jest bez winy, a ja sam najmniej. Ostatnio żyliśmy w rozgardiaszu. Sytuacja tak wygląda, że po wielu trudach zdobyliśmy mieszkanie w New Yorku, co jest tak trudne jak w Warszawie. Zaledwo zaczęliśmy się jako tako urządzać, kupując niezbędne do mieszkania graty, zostałem przeniesiony do ambasady do Waszyngtonu. Teraz ja jestem w Waszyngtonie, szukam tu mieszkania, a Janka, która pracuje chwilowo w agencji prasowej w Nowym Jorku jest w New Yorku i próbuje załatwić tam odstąpienie połowy mieszkania, bo nie możemy utrzymać dwóch, a pozbywać się z trudem zdobytej bazy w New Yorku nie warto, zwłaszcza że jeżdżę i będę tam jeździć co tydzień. New York od Waszyngtonu jest jak Głębokie od Warszawy, ale pociągiem jedzie się ok. 4 godzin i pociągi są co godzina. Nie jestem w żadnym stopniu zachwycony tą przeprowadzką, bo przywykłem

do trochę wariackiego New Yorku. Waszyngton jest czymś w rodzaju wsi o 600.000 mieszkańców. Aleje, ogrody, wielkie gmachy w ogrodach, cisza, o 7 wieczór wszystko już pozamykane – dość dziwna stolica. Była z powodów tych rozgardiaszów luka w paczkach – martwię się czy dojdą przed Bożym Narodzeniem. Teraz wysyłamy 1) paczkę żywnościową 2) paczkę z butami, latarką elektryczną, woreczkiem na tytoń i tytoniem. Uważam że potrzeba abyśmy wiedzieli jakie rzeczy codziennego użytku są Tatusiowi, Andrzejowi albo Lisi potrzebne. Dziś kupiłem długie buty (t.zw. inżynierskie) czarne, jedyne co mogłem znaleźć w tym rodzaju w tutejszych sklepach ekwipunku wojskowego. Do nich dołączam dwa pudełka smaru na wodoodporność. Gdyby Tatuś albo Andrzej chcieli butów sznurowanych do pół łydki, b. grubych, t.zw. marynarskich to mogę to załatwić. Nie wiem jaki rozmiar najlepszy. Te buty wziąłem nieco większe niż dla mnie, bo pamiętam, że Tatuś ma trochę [...] stopę, zresztą na wełniane skarpetki powinien być większy numer. W ogóle jak stoicie z ubraniami, paltami i.t.p., chcę to wiedzieć i chcę odtąd zacząć jakoś bardziej systematycznie i obficie posyłać paczki. Tatusiu drogi, niech się Tatuś nie krępuje, ale ja naprawdę chcę wiedzieć co wam się przyda najbardziej. Chcę też się orjentować czy pisma przysyłają honorarja i ile, żeby w razie potrzeby zrobić im wymówkę że albo nie przysyłają nic, albo za mało. Zegarek kieszonkowy na pewno dostanę. Na ogół zegarki tutejsze są niezbyt dobre, za jakość więc nie ręczę. Okropnie mi przykro, że Tatuś do mnie pisze w tych sprawach jakbym nie był Tatusia synem, tylko obcym człowiekiem. Pisałem do Andrzeja aby uczył się języków. Chcę aby skończył swoje studia w Szkole Nauk Politycznych i uzupełnił je zagranicą. Ja teraz mógłbym mu zrobić stypendjum – ale przed jego przyznaniem kandydat musi w Warszawie przed komisją uniwersytecką wykazać się biegłą znajomością angielskiego. Jako przedmioty które powinien obrać do studjów najlepsza jest socjologia i antropologia, bo na to są stypendia – lub ekonomia. Nie wiem czy on się angielskiego uczy. Bez języków trudno coś zrobić. Gdyby wziął się b. energicznie i codziennie poświęcił przynajmniej godzinę czasu, to na wiosnę mówiłby już dobrze. Ponieważ teraz mamy mieszkanie, przyjazd kogoś z was nie byłby [...] – trudność polega na koszcie przejazdu – jest to bądź co bądź 600–700 dolarów tam i z powrotem, ale gdyby np. Andrzej dostał stypendjum, dostałby zniżkę na przejazd na linii Gdynia – Ameryka i prawo wpłacenia w złotych. Ja mogę jakieś 70.000 dostarczyć czy 35.000 na jednostronny przyjazd. Właśnie ja teraz załatwiam tu sprawy stypendjów m.inn., więc jestem poinformowany gdzie są. Wkrótce

jest rocznica śmierci Mamusi. Jestem sercem z wami, moi najdrożsi. Myślę że zrobicie nabożeństwo w rocznicę. Jak długo zostaniemy tu, nie wiemy, w każdym razie prawdopodobnie przez zimę, wiosnę i lato, jeżeli nie zajdą nagle zmiany. Chcę aby Andrzej zdążył skończyć studia i aby mu pomóc w ich uzupełnieniu.

Całuję serdecznie i ściskam
kochający
Czesiek

P.S. Chcę dostać list od Lisi i dowiedzieć się jak się ona kochana czuje, jak żyje i czy jej dobrze w Drewnicy.

Józię pozdrawiam. Co robi?

CM

P.S. List przeleżał, bo naturalnie musiałem lecieć do New Yorku i do Lake Luccess (United Nations) i nie miałem czasu listu wrzucić. W New Yorku nadałem paczkę, w której oprócz innych rzeczy są też buty dla Andrzeja (t.zw. combat boots). Paczka wysłana linią Gdynia – Ameryka pójdzie statkiem „Bałtyk” który zawinie do Gdyni pewno przed samym Bożem Narodzeniem. Dobrze gdyby Andrzej, na którego wysłana nazwisko, dowiedział się w Gdyni jak tylko przyjedzie „Bałtyk”, w ten sposób paczka trafi do was na święta. Inną, żywnościową, wysyłamy pocztą. Na ogół zdaje mi się że skóra i buty najbardziej się opłacają. Buty drugie dla Ojca nie mają grubej podeszwy, ale posyłam parę najgrubszych zelówek. Buty wojskowe amerykańskie dla Andrzeja są podobno żelazne i trudne do znoszenia.

Dopisek z boku ostatniej strony: Jeżeli buty Andrzeja są za duże, to niech sprzeda, przyślę mu inne!

12.

30.VI.1961 (data poprawiana)

Drogi Andrzeju,

Właśnie skarżyłem się na ciebie w moim liście do Lipskich a tutaj wreszcie przychodzi list od ciebie. Ja się w ogóle dziwię, że przeżyłeś te historie z Hanką¹⁾ cały okres maksymalnie nieunormowanego życia. Ostatecznie nie żyjemy po to żeby się zdzierać bez pamięci, zwłaszcza że nie mamy po lat dwadzieścia. Dość trudno mi byłoby przedstawić naszą egzystencję tutaj. Z okna olbrzymi widok na zatokę Pacyfiku, ale dom drewniany i pachnący

żywicą, w rodzaju dworców nad Niewiażą czy Niemnem, przy tym zapadnięty w zieleń i b. swojski. Wszystkie domy są tu zresztą drewniane, ze względu na wielkie bogactwa leśne kontynentu i na trzęsienia ziemi – tych od mego przyjazdu było coś 7 ale lekkich, tylko jakieś trzaski w pułapie etc. No i słońce przez cały rok, tak że Toni i Piotruś latają na basen pływacki już od kwietnia. Przyjechaliśmy tutaj ubiegłej jesieni na 1 rok akademicki, tak że niczego we Francji nie polikwidowałem, ale złożyło się inaczej, bo zostałem mianowany tutaj profesorem zwyczajnym literatur słowiańskich, przeskakując kilka stopni t.zw. naukowej kariery. Podobno ujawniłem duże talenty pedagogiczne, czego dotychczas w sobie nie podejrzewałem. Co zabawniejsze, dwóch moich kolegów z tej samej klasy gimnazjum sprawuje w Stanach te godności profesorskie, i oczywiście jestem z nimi w kontakcie (jeden też slawistyka, drugi matematyka). Z tego wniosek, że nie bardzo kwapi mi się do Europy, gdzie przez wiele lat wszystko było dla mnie nieprawdopodobną finansową ekwilibrystką i czekaniem na rachunki wydawców. W Paryżu więc w tym roku nie będę. Mnie wymyślali za te wszystkie powikłania jakie wynikły stąd, że pieniądze posłane tobie z Paryża wróciły bo adres był zły. Może masz swoje powody żeby w ogóle nie prowadzić korespondencji z zagranicą, ale jak nie podziękujesz za zabiegi, bardzo uprzejme, p. A. i [...] to robi jakąś złą krew, zważywszy, że wielu ludzi koresponduje. Jeżeli będę w Paryżu, może to zdarzyć się tylko podczas następnych wakacji. Co jest prawdopodobne, choć za wcześniej jeszcze robić na następne lato plany.

Bardzo cieszę się, że się żenisz, nareszcie się ustatkujesz. Mówię to ponieważ lubię życie rodzinne, bez tego nie mógłbym w ogóle pracować. Dzieci czują się tutaj bardziej w domu i lepiej niż we Francji, choć po Francji został u nas w domu francusko-polski żargon. Oczywiście z tutejszej perspektywy Francja jest b. staroświecka, taki kraj z Balzaka, a młode pokolenie (chyba wszędzie) kocha się w nowoczesności. Co prawda zaakceptowano nasz samochód, który myje i czyści z upodobaniem. Mamy starego Dodge'a, olbrzymią maszynę kupioną za dolarów dokładnie 100, ale nie licowałoby z moją togą i biretem gdybym jeździł nowym Cadillakiem jak Murzyn. Teraz aż do drugiej połowy września mam wakacje t.zn. wykańczam nową książkę. Studium o Brzozowskim²). Uniwersytet nasz jest b. piękny (budynki jego rzecz jasna nie z drewna, ale z użyciem techniki specjalnej przeciwko trzęsieniom ziemi), studentów mamy 22.000. Z moich pupilów, przynajmniej w ubiegłym roku akademickim, byłem całkiem zadowolony, procent osłów stosunkowo niski, a dobre wyniki nie ustępują, myślę, dobrym wynikiem na polonistycę

w Polsce. W następnym semestrze mam prowadzić m.in. seminarium przekładu poetyckiego (polski-rosyjski-angielski). Żebyś orientował się trochę co do miejsca, uzupełniam, z okna widać, daleko, po drugiej stronie zatoki, drapacze San Francisco.

Chciałbym żeby ten list doszedł na czas przed Twoim ślubem i choć Twojej żony nie znam, składam wam obojgu serdeczne – nie wiem co się mówi w takich okazjach. Ponieważ jesteś bardzo dobry chłopak, tylko wariat (obciążenia rodzinne), są wszelkie szanse że życie sobie wreszcie ułożysz. Ucałuj ode mnie Joasię³⁾. Wiem że jesteś do niej b. przywiązany i na pewno teraz będzie jej lepiej.

Całuję cię mocno Twój Czesław.

Dopisek z boku strony drugiej: Piszę to w dzień moich urodzin, 30.VI, wypij za moje zdrowie.

1) Hanna Miłosz z domu Goliszewska – pierwsza żona Andrzeja Miłosza.

2) Człowiek wśród skorpionów. Studium o Stanisławie Brzozowskim, biblioteka „Kultury”, tom LXXVII, Instytut Literacki, Paryż 1962.

3) Joanna Miłosz – córka Andrzeja Miłosza z pierwszego małżeństwa.



13.

Pocztówka z Berkeley

13.I.62

Kochany Andrzeju!

Nie znalazłem twego nowego adresu. Winszuję ci małżeństwa i nową stabilizacji. Świat jest mały, bo o was opowiadali mi Westowie (ona Mary McCarthy)¹⁾.

Życie upływa mi na pracy. Jest to jedno z dziwniejszych miejsc, mam nadzieję że je kiedyś opiszę. Dzieci – Toni²⁾ jest wielki dryblas, science i muzyka, uwielbia swoją tutejszą szkołę. Młodszego, Piotrusia³⁾, urodziny właśnie obchodzimy – 11 lat. Mieliśmy na uniwersytecie pokaz krótkometr. polskich filmów – duży sukces u publiczności. Pisma polskie przychodzą lotniczo, więc śledzę. Cieszę się, że Joasia ma teraz dobrą opiekę. Pozostaje uściśnąć mi Grażynę⁴⁾ na niewidzianego i na odległość!! Literatura polska chyba jedna z trudniejszych do wykładania bo dziwaczna.

Ściskam was troje

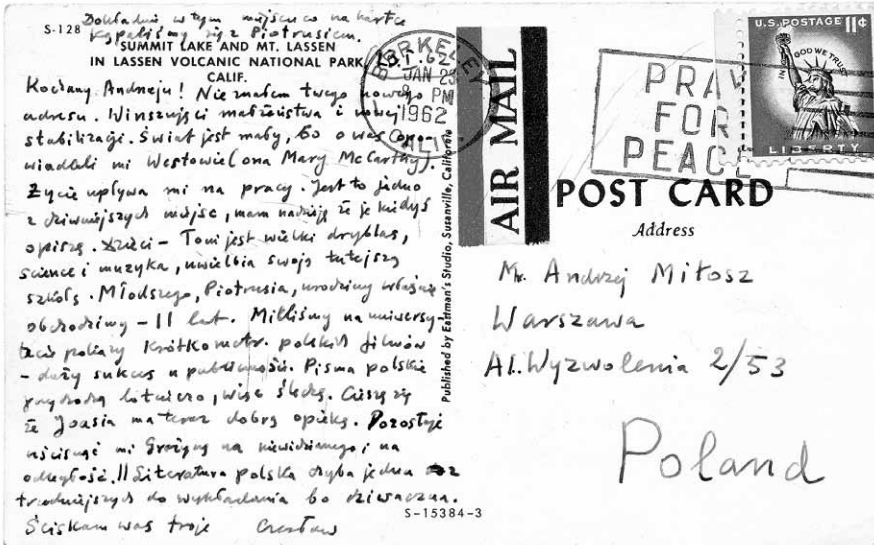
Czesław

1) Mary McCarthy (ur. 1912) – powieściopisarka amerykańska, żona Edmunda Wilsona, jej ostatni mąż – James West był radcą ambasady amerykańskiej w Warszawie.

2) Antoni (ur. 1947) – starszy syn Czesława Miłosza.

3) Piotr (ur. 1951) – młodszy syn Czesława Miłosza.

4) Grażyna Strumiłło-Miłosz, druga żona Andrzeja Miłosza.



14.

24.V.63 piątek

Mój adres od roku jest: 978 Grizzly Peak Blvd. (co znaczy bulwar Niedźwiedziego Szczytu) Berkeley 8, California

Drogi Andrzeju,

Cieszę się z listu od Ciebie i irytuję się, bo list pisany 19.V (w niedzielę) został wrzucony 20.V (poniedziałek) i dostałem go w czwartek 23.V. po południu. Skoro piszesz że zostaniesz w Paryżu do przyszłej niedzieli, to jakim sposobem mój list może Ciebie osiągnąć? Próbuję więc na ślepo, z małą nadzieją. Książeczkę Bronka mam. Kiedy ją dostałem, wydało mi się to zupełnie księżycowym pomysłem, ale książeczkę przechowałem. Nie myślę żeby udało ci się wygzekwować od Tonietiego etc. jakieś pieniądze. Od takich drobnych żulików się roi i stowarzyszenie się z nimi musi nieść takie efekty.

My wyjeżdżamy stąd prawdopodobnie 22 czerwca, samolotem prosto do Londynu i mamy zamiar po krótkim pobycie w Anglii być w Montgeron ok. 1 lipca.

W Europie zostaniemy prawdopodobnie do stycznia. Czy cały czas we Francji, nie wiem, możliwe że jakiś spędzimy we Włoszech. Tyle co do planów. Ale osiadłość na stałe tutaj, w Berkeley. Zawód profesora najzupełniej mi odpowiada i wykonuję ten zawód z powodzeniem. Myślę, że ze wszystkich dodatkowych zawodów literata ten jest najlepszy. Mamy tu także urzędową siedzibę, między starymi drzewami, z widokiem na zatokę San Francisco. I oceniam korzyści profesury, zresztą na gigantycznym i wysoko renomowanym uniwersytecie. Dzieci rosną, Toni ma już 16 lat i jest wyższy ode mnie. Co z niego będzie, nie wiem, jest 3-języczny, intelektualista, z wybitnymi zdolnościami do science. Pasje jego do różnych dziedzin zmieniają się zresztą ciągle. Szkołę skończy w przyszłym roku. Piotruś skończył 12 lat, spokojny i dobronczny. Mam nadzieję, że literatem żaden z nich nie będzie. Z tego co mi napisałeś, wnioskuję, że grozi to Joannie, ale może to jej przejdzie. Zaczerniaczy papieru jest na świecie za dużo, sceptyczny jestem co do wyników.

Byłbym rad gdyby udało się tobie i Grażynie wpaść do Paryża, ale powinienś uprzedzić zawczasu, żeby nie przyjeżdżać pod naszą nieobecność.

Ściskam cię i całuję mocno

Czesław

UNIVERSITY OF CALIFORNIA

DEPARTMENT OF SLAVIC LANGUAGES AND LITERATURES
BERKELEY 4, CALIFORNIA

24.V.63
piątek

Mój adres od teraz jest:

978 Grizzly Peak Blvd. (co między Buksem, Niskowskiego i Szczytu)
Berkeley 8, California

Przepraszam,

Ciebie nie z listem od Ciebie i wrócić ci, bo list pierwszy
19.V (w formie) został wysłany 20.V (po publikacji) i dostal-
go w niedzielę 23.V. propozycja. Skoro jednak ci zostanie
w Paryżu do przyszłej wakacji, to jakim sposobem mij
list może Ciebie dotrzeć? Proszę więc nie śpieszyć, a
mały, niedługi.

Książki Banku mam. Kiedy by dostatek, wysłać mi się
to zapobieżi książki co w tym momencie, ale książeczki
przedstawiam.

Nie mogę cię wcale nie wyjechać od Niemców
etc. jakieś przedsięwzięcie. Od czasu do czasu 22 kwietnia się
rodzi i stwarzaniem się z nimi musi mieć teni
efektu.

Mój najbliższy stąd prawdopodobnie 22 czerwca,
samolotem jechać do Londynu i w tym czasie po
kontynuacji podróży w Anglii być w Moutzerson

ok. 1 lipca. W Europie wstrząsamy powstaniem
de Styeni. Czy cały czas we Francji, nie wiem, możliwe
że jedni są tam we Włoszech. Tytuł co do Plandi.

Ale osiedlił się w statek tutaj, w Baskach. Zamiast profesora
najbardziej mi odpowiada i wyjaśnia ten temat z
perspektyw. Myślę, że w następnych dedukcyjach możemy znaleźć
ten jest najlepszy. Mam tu Parvi umysłowy siły, między
starymi dniami, z Włochem na raty San Francisco. Z ocenami
tytuł profesury, między na gigantycznym i wysoko renomowanym
uniwersytecie. Zamiast wosku, Tomi ma już 16 lat i jest
wzrostem ule wie. Co z niego byłby, nie wiem, jest 3-tytułowy,
intelektualista, z wybitnymi zdolnościami do sukcesu. Pasje jego
do różnych dziedzin nauki jest między innymi. Szkoła się wycina
w języcznym polu. Pięć sekund 12 lat, spóźniony i dostrzeżony.
Mam nadzieję, że literaturę widać z wst i wst. Z tego
co mi napisał, wniósł, że prosi to Joannie, ale może
to jest języczny. Zamiast papieru jest na ścianie na dnie,
scryptany jest co do wyznika.
Byłbym rad gdyby udało się Tobie i Joannie wyjechać do
Grecji, ale prawdopodobnie uprzedzić za wst, żeby mi powiedzieć
pod wst i o bawie.

Ściskam ci i całego mojego

Czesław

15.

22.XI.64

Kochani Andrzeju i Grażyno,

Jednak korespondencja to nie to co osobisty kontakt, więc żal. Mógłbym wam wiele opowiedzieć o zachodniej części świata, a więc przede wszystkim o Ameryce i Francji, porównawczo. Oczywiście jak się człowiek obją w tym świecie przez kilkanaście lat, perspektywa jest inna niż kiedy się przyjeżdża na krótko. Moja perspektywa jest zresztą szczególna, bo i Kalifornia nie jest tym samym co inne części Ameryki. Krótko: jeżeli wszędzie dziś odbywa się industrializacja, technicyzacja, amerykańizacja – i alienacja – w Ameryce to bardziej zaakcentowane, a w Kalifornii do kwadratu. Czyli naj – naj – ze wszystkimi mrocznymi zjawiskami pod lukrowaną powierzchnią. Mógłbym o tym dużo pisać, całe książki, ale nawet nie to że mi się nie chce, ta rzeczywistość jest wyjątkowo oporna, trudna do przetłumaczenia na słowa. Choćby to że nie ma tu ani miasta ani wsi. Dekoracja na ziemi o naturze wspaniałej, monstrualnej i raczej księżycowej, dzicz z neonami, kontrast na kontraście, tak będzie wyglądać Syberia za 100 lat, zresztą zawsze pamiętam te pocztówki które u nas w domu pętały się, jeszcze przywiezione przez ojca z Krasnojarska – i brzegi Jenisieju to całkiem kalifornijskie krajobrazy, choć pewnie wyobrażacie sobie ten kraj inaczej. Ocean dziki, drapieźny, zimny, góry – potrzaskane kamienne zwaliska, gołe niżej, porośnięte niebotycznymi iglastymi lasami wyżej, tylko że nie bardzo to są lasy, raczej coś jak setki mil katedralnych kolumn, tylko w stanie Washington prawdziwe, zielone, z paprociami wyższymi od człowieka, bo tam padają ciągle deszcze, które tutaj są tylko późną jesienią i w zimie (dopisek na marginesie: w zimie góry pod wieloma warstwami śniegu, latem susza), a od kwietnia do października ani jednej kropli, za to mgła kapiąca u nas w ogrodzie z wielkich sekwoi i sosen (stąd u nas w ogrodzie krzaki potrzebujące wilgoci dobrze prosperują – rododendrony i kamelie). Zważywszy na moje miejsce urodzenia i całe dzieciństwo w okolicach jak z XV wieku, dziwię się nieraz że mnie tak a nie inaczej wypadło. Ale akceptuję. Może na zasadzie, że skoro cywilizacja jest jaka jest, lepiej jest tkwić w jej zaawansowanym stadium, w jej chorobie dosięgającej jakiejś pełni, czy raczej braku w stadium klinicznym. W rezultacie nie chciałbym mieszkać w Europie Zachodniej, która zmierza do tego samego plus jej wdzięki co prawda ale także plus jej smród i świństwo. Na całe dęcie się uroczego kraju do którego zawinęliście patrzę z szyderczym uśmiechem, niestety nieuniknionym kiedy jest się tutaj i nie tylko moim własnym. Z czym

do gościa – jak się mówi. Odkąd to pchły przebierają się w napoleońskie kapelusze? Mnie nie chodzi o siłę, o łaski boga bitw itd. Nie, wcale, chodzi mi o niezmienność kapitalizmu jak z Balzaka, o drapieżność, przegryzanie sobie gardeł, niemożność zarobienia kilkudziesięciu franków bez poniżeń, kontrast pomiędzy bogactwem i nędzą. Pewnie że należę tu do wyższych kręgów ale Murzyni którzy wywożą śmieci zarabiają niewiele mniej a już plumber czyli taki od rur wodociągowych więcej. Praca fizyczna jest dobrze płatna, nikt łapy po napiwki nie wyciąga, ludzie mijają się obojętnie – co źle i przyczynia się do powszechnej „alienacji” ale i dobrze, bo nie ma intensywnego wczepiania się psychicznego w drugiego człowieka – ze strachu czy z nadziei zysku. Stąd ten fenomen który miałem okazję nieraz obserwować:

(Brak tekstu)

Cieszę się, że jestem profesorem Literatur Słowiańskich, a nie np. political science czy socjologii, do czego mnie raczej zapędzałyby mój prawniczy dyplom, a tak to zawdzięczam swój tytuł mojemu poetyckiemu zawodowi. Tutejszy system uniwersytecki poznaję nie tylko od góry, jako profesor, także od dołu, przez studentów i między nimi przez Toniego, który wstąpił na uniwersytet tej jesieni. Ten system jest twardy, wyciska jak wyżymaczka, w porównaniu z nim moje lata studenckie były obijaniem się przez rok akademicki aż do wiosny, Toniego tak męczą że co tydzień, poza laboratorium z chemii i niemal obowiązkowym chodzeniem na wykłady (wykłady studenci opuszczają tylko wyjątkowo) musi co tydzień pisać „paper” z klasyków literatury jak „Iliada” czy „Moby Dick”, a wcale jeszcze się nie zdecydował co do kierunku studiów, są to ogólne „requirements” dla wszystkich freshmanów. Oczywiście taki system ma na celu kompensowanie dość nędznej nauki w szkole średniej. Ta szkoła jest czasem zmartwieniem np. kiedy chodzi o Piotrusia. Ale dość trudno sobie wyobrazić żeby mogła być o wiele lepsza, skoro jest o wiele bardziej demokratyczna niż w Europie, nie ma podziału w wieku lat 10 jak we Francji na tych co idą do liceum i zmiierzają do matury i innych, wszyscy przez nią przechodzą i żadnej matury, żadnego przełomu celebrowanego pijaństwem na oznaczenie progu dojrzałości. Technika polega na tzw. twardych przedmiotach (angielski, matematyka, science) z których trzeba mieć dobre stopnie żeby dostać się na uniwersytet, tępi przechodzą szkołę łatwo, nikt ich nie ciśnie ale i dalej się nie kształcą. Piszę to bo może Grażyna, jako że jest ciągle jeszcze w uniwersyteckim drylu tak czy owak, tym się interesuje. A egzaminy wszystkie pisemne, jak w Chinach za mandarynatu, dopiero przy Master i Doctor także ustne. Teraz mieliśmy porcję

takich doktorskich, sześć – z literatury rosyjskiej i polskiej, obcieliśmy jednego. Mam opinię bardzo łagodnego i przyjacielskiego profesora, nie stawiam podstępnych pytań, zresztą z reguły, z rzadkimi wyjątkami, jako główny przedmiot biorą tu literaturę rosyjską jako drugą polską, rzadziej czeską albo serbokroacką. Choć znają mnie że mam swoje koniki – arianizm, z teologią włącznie, czy też potrafię zapytać o „Listy z Rosji” z 1839 roku markiza de Custine. Na ogół ten fach lubię i wygląda na to że sporo potrafię nauczyć.

Zrobiłem antologię poezji polskiej w swoich przekładach, w tych dniach mam dostać korekty. Były długie boje o tytuł, codzień przez pewien czas telefonowali do mnie z New Yorku, bo wydawca komercyjny, więc gonił za tytułem efektownym, metaforycznym, ale stałem twardo przy jak najskromniejszym i ustąpił, więc ma się książka nazywać „Post-war Polish poetry”. Tylko poeci żyjący, mało skamandrytów, bo tłumaczą się źle, sporo Ważyka, Jastruna, Herberta, Grochowiaka, Białoszewskiego, nawet Bryll i Urszula Koziół. Książka nie będzie polityczna, zachowuję obiektywizm, nie chodzi mi o podkreślenie jakichś rewizjonizmów, zaraz po 1956 była tendencja w tym kierunku, ale moim celem jest pokazanie polskiej poezji w jej różnych aspektach. Jako hobby zrobię też pewnie historię literatury polskiej po angielsku, dobrych podręczników po angielsku (a także i po polsku!) nie ma.

Tego lata jeździliśmy sporo samochodem po tutejszym brzegu – tzn. stany California, Oregon i Washigton – ten ostatni trochę jak Litwa, tylko że lasy większe i starsze, plus szczyty górskie z wiecznym śniegiem. Jeździłem też na Middle West na zjazd intelektualistów litewskich na takiej farmie o parę godzin od Chicago, w stanie Michigan. Mieszkałem tam w jednym pokoju z twoim kolegą Ryngiewiczem z WSH. Skończył medycynę, pracuje w szpitalu w Chicago i nazywa się teraz Ryngus. Wszyscy ci Litwini, z twojego pokolenia albo młodszego, mają pokończone tu studia albo specjalizacje, są zaczepieni o uniwersytety, szpitale, laboratoria.

(Brak tekstu)

Nędzne, kudy im do Jugosławii, która w ciągu ostatnich paru lat zrobiła ogromne postępy. Ale może nie powinienem pisać o tym co znacie. Moje życie było serią cudów i w pełni doceniam cudowność wielu wydarzeń. Jak przeżyłem te 10 lat we Francji, sam nie pojmuję [...]

Kiedy w 1960 przyjąłem zaproszenie Uniwersytetu Kalifornijskiego (drugie, bo na pierwsze rok przed tym odpowiedziałem odmownie, były różne powody które wtedy wyjazd z Francji robiły trudnym), zaraz przewąchali i podnieśli piekło w Waszyngtonie żeby nie dawali mi wizy. Że jeden przy-

zwoity Amerykanin wychylił się i wizę podpisał, to też cud. A kiedy jestem tu profesorem, ci sami będą łasić się, nazywać mnie „naszym wielkim”, zapraszać do udziału w różnych komitetach honorowych (co z reguły odrzucam) i akademiach. Jeżeli ktoś jest Polak, to dla mnie jest okoliczność obciążająca i mam z góry stosunek niechętny, chyba że mam dowody przeciwne t.zn. że p o m i m o swojej narodowości jest to przyzwoity człowiek. Toteż pośród naszych przyjaciół tutaj nie ma Polaków, są polscy Żydzi, ale to trochę co innego. Polska inteligencja na emigracji daje miarę jakim nonsensem i jaką purchawką była Polska przedwojenna gdzie ludzie o tej mentalności byli na wierzchu, rządili. Ci czytelnicy londyńskich „Wiadomości” wydawanych przez faceta który na starość jest myszygine i wypisywał niedawno hymny na cześć Goldwatera. Warto zresztą to pismo czytać żeby zapoznać się z tą mentalnością. Zważywszy na procent głupców albo facetów na różnych podejrzanych żołodach za granicą zważywszy procent łapsów i serwilistów w Polsce, niewesoły razem otrzymuje się obraz. Ze dwieście lat sarmatyzmu, potem niemal dwieście już lat takiej właśnie zaprawy w pełzaniu i kłapaniu ukradkiem – czy taki naród może mieć jakieś widoki, to naprawdę nie wiem.

Ale kończę, bo późno. Lepiej napisać inny list niż odkładać ten i uzupełniać.

Ściskam was.
Czesław

16.

Widokówka z Berkeley z wieżowcami w większym formacie

13.XII.66

Kochani Andrzeju i Grażyno!

Jestem tak zavalony robotą, że nie mogę nawet widzieć upływu czasu. Wykłady, artykuły po angielsku (o Witkacym np.), teraz egzaminy, wykańczam historię literatury polskiej. Plus strajk studentów, nie bez ważkich powodów, posiedzenia Senatu akademickiego etc. Toni kuje do egzaminów, jego kurs w Niemczech pewnie będzie zaliczony. Piotruś ma b. dobre stopnie. Od Nowego Roku mam czas wolny, ale prawdopodobnie wyjadę z Janką do Francji w końcu lutego. Zostawiając na gospodarstwie kłębiące się młode pokolenie (Toni + jego dziewczyna + Piotruś). Pozdrów Władka. Miałem od niego długi list. Obawiam się pewnych kwasów. Postaraj się te

kwasy jakoś serdecznym kontaktem zażegnać. Starzy ludzie są wrażliwi. Janka z kamery rezygnuje. Jak pewno wiesz, umarł Tadek, jej brat, pisała Heńka? Napiszcie co chcecie żeby wam przysłać! Spostrzegam się, że Święta tuż, to zdumiewające. Pewnie ta kartka tylko dojdzie w porę, więc przesyłam wam serdeczne życzenia.

Wasz Czesław

Dopisek: serdeczności – Janka

Drugi dopisek u góry kartki częściowo zalany: Pejzaż na kartce (którą kupiłem za ostatnią bytnością w Chicago) [...] tam gdzie trzeba. Na szczęście [...] znost' Kalifornii jest nieco innego rodzaju.

17.

5.VII.67

Kochany Andrzej,

Piszę to w Londynie w szybkiej drodze powrotnej do domu spowodowanej przez wiadomość o wypadku samochodowym Toniego. Jechał w mieście i wpadła na niego ogromnym Buickiem stara Murzynka, w rezultacie Volkswagen rozpadł się w kawałki i Toni cudem uniknął śmierci, wyrzuciło go przez przednią szybę. Nie ma złamań kości, ale przesunięcie całej miednicy i długą kurację przed sobą. Od Piotrusia są wieści z północy Alaski dokąd dojechał autostopem i wyruszył dalej, tam gdzie można dojechać tylko małymi pocztowymi samolotami. Obecność nasza w domu jest konieczna żeby zająć się kuracją Toniego. Życzę wam dobrych wakacji nadmorskich i jeżeli nie możemy się zobaczyć, to przynajmniej będę czekał listu, na który zaraz odpowiem. M.inn. trzeba omówić sprawy rodzinno-finansowe, Nina mi pisała o terminie postawionym przez magistrat na kupno tego domku i chciałbym, jeżeli to będzie w granicach moich możliwości, posyłać im coś na ten cel przez PKO. Pisz na stały adres domowy, będę tam poczynając od 7.VII. Ja dużo pracowałem podczas tych ostatnich miesięcy, co u mnie równa się paleniu mnóstwa mocnych papierosów, więc wcale nie wakacje, dostałem dokuczliwych bólów w plecach, zwężenia naczyń krwionośnych czy czegoś w tym rodzaju i dylemat palić – nie palić nabrał wyjątkowej ostrości. Mam nadzieję, że Ty lekarstwa dostałaś zamówiłem je przesyłką lotniczą. Całuję Cię mocno, serdecznie całuję Grażynę

Czesław

5. VII. 67

Kochany Andryś,

Piszę to w łodzi w szybkiej drodze powrotnej do domu spowodowanej
już wiadomości o wypadku samochodowym Tomka. Jednak w niedzielę
i wpołte na jego ogniwym Buickiem stara Maryśka, u szulcwie
Volksvagen razwał się w kawale i Tomi cudem unikł śmierci,
wymieło go przez przedni szybę. Miał na rękach krwi, ale przeszedł
cały niedzielną i obłąkany kursował przez sokół. Od Piotrusia się wie,
z jakichy Blatki dojechał dojechał autostradą i wyprzedził długi,
tam gdzie można dojechać tymi wsielami powiatowymi samo lotami.
Obecnie wona w domu jak kandyda żeby wyjechać z kuracji
Tomka. Byleż wona dojechała walegi niedzielną i jechał

nie wiodący się wsielami, to przynajmniej były całkiem lotne,
na który raz odpowiedni. M. Inna Julia odwiedzi sprawę
rodzinną - Jasiuś, Nina mi jechała o terminie postawionym przez
Magistrat na koniec tego dnia i dojechała, jechał to być
w powiat wsielami wsielami, przesyłać im coś na ten cel
już P.K.O. Pan na stary adres domowy, były tam paragrafy
od 7. VII. Ja dużo pracowałem podczas tych ostatnich niedzieli,
co u mnie robem się palem u siebie moim paragrafem, więc
wcale nie walegi, dostać dojechał białe w płaszczyźnie, wsielami u siebie
krowoskiy ay u siebie w tym momencie i dojechał jechał - mi jechał
niebros wyjechał ostro. Mnie wsielami i jechał dojechał,
zamówić je przesyłać lotnie. Całkiem tak wsielami, wsielami
całkiem przesyłać

Andryś

18.

List 4-stonicowy na przebitkach formatu A5

Czesław Miłosz

978 Grizzly Peak Blvd.

Berkeley, California 94708

21.VII.67

Kochany Andrzeju,

Napisałem Ci kartkę już po powrocie tutaj, ale nie wiem czy doszła przed waszym wyjazdem. Powtarzam więc główne informacje. Wróciliśmy wcześniej niż zamierzaliśmy z powodu wiadomości o wypadku samochodowym Toniego. Przez pewien czas był w szpitalu, skąd już wyszedł. Jechał w Berkeley Volkswagenem, napierała na niego Buickiem stara Murzynka i rozbiła Volkswagena na kawałki a Toni wyszedł z pęknięciem kości w miednicy. Ale już porusza się jako tako, choć na zrośnięcie się kości trzeba będzie poczekać jeszcze z miesiąc. Szalony Piotruś przejechał autostopem z Seattle do Fairbanks na Alasce po t.zw. Alaska Highway (2000 mil żwirowej drogi) stamtąd dalej, samolotem pocztowym i jest tam 85 mil na północ od koła polarnego, gdzie pracuje u pewnego trapera jako packer czyli nosi mięso na plecach, co tam jest jedynym sposobem transportu, i poluje z nim na łosie. Większość zwierząt nie widziała tam nigdy człowieka – wilki, niedźwiedzie, łosie, bobry, rosomaki, rysie etc. Kiedy Piotruś prał w jeziorze bieliznę, podszedł do niego wilk, ogromnie zdziwiony i zaciekawiony. Boimy się trochę, że Piotrusia zje niedźwiedź, bo oprócz czarnych niedźwiedzi są tam także grizzly, a te są niebezpieczne, natomiast strzelbę Piotruś ma zdaje się nieosobliwą. Jeżeli przeżyje te aż nazbyt romantyczne przygody, wróci na początku roku szkolnego. Komunikację utrzymują tam pocztowe samoloty, które lądują na jeziorze, bo dróg nie ma. Z tego co pisze Piotruś wynika, że jest to pogranicze lasów i tundry + wysokie, gołe góry. Jest teraz tam ciepło.

Cieszę się, że operacja Władka się udała. Ta kombinacja pieniężna jest właściwie dla mnie niewygodna, bo wolałbym wysyłać coś wtedy kiedy mogę i mam, a tak to narasta dług, ani się człowiek nie spostrzeże. Napisz mi, co ci jestem winien dotychczas – prawdopodobnie jest to więcej niż 200 dol. które zapłaciłem za lekarstwa. Tobie też niezbyt łatwo jest wysupływać coś z twoich nieznaczących zarobków. Proszę ciebie, napisz zaraz w tej sprawie, musimy to wyjaśnić podczas waszego pobytu na wakacjach.

Zjazd w marcu był dziwaczny, ale szczegóły wiesz od Artura. Zjazd zresztą nie miał żadnych skutków i ta mała stabilizacja będzie trwała, nie mam co

do tego złudzeń. Nie wybieram się tam wcale, a co do chłopców – jak widzisz Piotrusia ciągnie co innego, dziewicza przyroda, której jeszcze sporo na tym kontynencie, tak że woli to niż Alpy etc, Toni natomiast odnosi się do Europy z dużą obojętnością. Zresztą Toni zarabia tu dając lekcje francuskiego. W ciągu pobytu na południu Francji co drugi dzień widywaliśmy się z Gombrowiczem i bardzo kordialne stosunki, poza tym jest on jednym z niewielu literatów z którymi Janka się zgadza. Cały pobyt w Europie nie był jednak zbyt udany – w Paryżu oboje chorowaliśmy na przewlekłą gripę, uciekliśmy do Prowansji przed chłodem ale tam Janka chorowała ciężko na infekcję kiszek dopiero w czerwcu przyszła do siebie. Ja pisałem cały czas ale za to paliłem tyle gauloise'ów, że dostałem bólu w płucach i teraz od prawie 4 tygodni nie palę, ale też nie bardzo mogę robić cokolwiek.

Życzę wam dużo słońca i przyjemnego morza!

Ściskam was oboje

i czekam na list

wasz

Czesław

Dopisek na końcu listu: Dużo serdeczności przesyłam wam obojgu

Janka

19.

List pisany na maszynie na zielonej kartce A5

(ręcznie) Czesław

978 Grizzly Peak Blvd

Berkeley, California 94708

5.VIII.67

Kochani Andrzeju i Grażyno,

Jest to już drugi list jaki wysyłam pod wasz jugosłowiański adres. Dostałem wasz list z 28.VII. Toni rzeczywiście wyszedł z wypadku nieźle, x-ray wykazał w jednym miejscu pęknięcie kości miedniczej ale po miesiącu kość już zrosła się niemal całkowicie. VW został uznany za całkowicie zniszczony i zapłaciło za niego ubezpieczenie, Toni ugania już nowym autem t.j. starym gratem kupionym okazji, my natomiast korzystając z pobytu w Europie zamówiliśmy tam Volvo, które tak sprowadzone jest znacznie tańsze. Ma przyjeść 15.VIII. Wygląda to okropnie jak my tutaj piszemy takie rzeczy ale podróże etc. doprowadziły nas do stanu kompletnego splukania. 95 procent mojej pensji

idzie na różne należności regulowane czekami. Tyle że wakacje mam długie. Właśnie wróciłem z tygodniowego campingu nad Eagle Lake. Na 5000 stóp, w wielkich iglastych lasach, namiot, kajak składany, rano prosto ze śpiwora do wody. Bardzo zabawne, bo towarzyszem moim był Staś Kownacki,¹⁾ z którym chodziłem do tej samej klasy w gimn. im. Króla Zygmunta w Wilnie, razem zdawałem maturę i będąc w szkole razem robiłem podobne jak teraz wycieczki. Pracuje w Kalifornii jako inżynier i mieszka o godzinę drogi samochodem od Berkeley. Z wielką siwiejącą brodą, wygląda jak Robinson Cruzoe z ilustracji a bardziej jeszcze jak rosyjski chłop, ale ciąg w wiosłowaniu i włożeniu na góry ma niesłychany, tak że nasz tydzień był forsowny. Przekonałem się zresztą, że moja wytrzymałość jest duża, mogę wiosłować godzinami bez przerwy albo wspinać się bez śladu zadyszki. Ostatniego dnia wdrapaliśmy się na najbliższy szczyt skąd wspaniała panorama na śnieżny wierzchołek wulkanicznej góry Lassen, zesłiliśmy, wykąпалиśmy się w jeziorze i jeszcze zrobiliśmy 300 mil cz. ok. 450 km. samochodem tak że wieczorem byliśmy w Berkeley. Na jeziorze dużo białych pelikanów, które oglądaliśmy i w locie i na ich legowiskach, także mnóstwo perkozów, sporo nurków (loons) i kaczek – no i wodnych narciarzy, przy czym prawie wszyscy używają jednej narty zamiast jak to było w zwyczaju dotychczas, dwóch. Gdyby ktoś słuchał języka jakim ze Stasiem mówiliśmy nie bardzo mógłby się połapać – bo jest to gwara wileńska, z wplatanymi wyrażeniami rosyjskimi i słowami technicznymi angielskimi. Zepsuł się nam pedał od gazu, ale Staś ma dar improwizacji, jak twierdzi niezrozumiały i niedostępny dla Amerykanów, więc przywiązał do pedała sznurek i żeby zwolnić, pociągało się za sznurek – całkiem niezłe jechaliśmy. Takie były zabawy spory w one lata, a od czytania gazet robi się nikczemnie na sercu, tam u was niezbyt może zdaje się sprawę z dramatycznych rozdarć tutejszych i z poczucia absurdu jakie dręczy coraz większą ilość ludzi. Tak że ucieczka na Eagle Lake czy inne takie jezioro jest jedynie wskazanym środkiem.

Od 5 tygodni nie palę, mogę funkcjonować doskonale, szczególnie jeżeli prowadzę życie aktywne, pracuję w ogrodzie, prowadzę samochód, etc., ale nawet list trudno mi sklecić, nie mówiąc o jakimś pisaniu, więc chyba po prostu to się nie opłaca. I nie wierzę żeby, jak twierdzą doświadczeni, po 6 miesiącach to się zmieniło.

Od Piotrusia dostajemy listy z Alaski, spodziewamy się że wróci za kilka tygodni, bo w sierpniu tam tylko patrzeć zimy. Radzi sobie tam zdaje się dzielnie, poluje ze swoim traperem na łosie, ale to tylko dla mięsa, poza tym jest przeciw zabijaniu i napisał że do niedźwiedzia grizzly nigdy strzelać nie będzie.

Najbardziej ze wszystkich stworzeń tam („łącznie ze mną”) podobają mu się wilki. Przyroda tam jest nieskażona, większość zwierząt nigdy nie widziała człowieka. Mnóstwo łosi, karibu, bobrów, wilków, niedźwiedzi, rosomaków. W tej chwili wygląda, że więcej niebezpieczeństw grozi Piotrusiowi ze strony ludzi, bo traper – chlebo- czy raczej mięso-dawca – jest trochę wariat i ma ochotę strzelać do każdego myśliwego który nawiedzi (jedynym tam środkiem komunikacji t.j. awionetką), „jego” terytorium. A Piotruś jest pacyfista integralny i nie zgadza się na strzelanie zarówno do zwierząt jak do ludzi.

Nina pisała do mnie w sprawie domu i z jej listu, który otrzymałem we Francji, wyglądało, że kupno domu, na b. wygodne spłaty i tanio, jest nieodzowne, że w przeciwnym wypadku minęłaby ostatnia okazja zabezpieczenia jej i Władkowi własnego locum.* No cóż, odpisałem, że zgoda, że postaram się to sfinansować. Może źle zrobiłem. Trudno mi odmawiać czegoś na czym im zależy – choć i tak bardzo nie rozumiem czemu zależy. Tylko jak dam radę finansowo? To nie jest żadna przesada z tym życiem z dnia na dzień. Byłoby zupełną nieprzystojnością uskarżać się bo jest to b. wygodne życie, ale przy 4 osobach rodziny, przy wysokich podatkach które teraz zarówno na poziomie federalnym jak stanowym b. wzrosną, stanowe podwójnie, przy braku zdolności do odkładania i inwestycji, naprawdę bogatym wujaszkiem z Ameryki nie jestem.

Co do wpłacania Władkowi i Ninie miesięcznych sum, to przecie ja chcę pójść Tobie Andrzejku na rękę, a równocześnie boję się wpaść w długi – bo, wiesz jak to jest z automatycznie wpisywaną kreską – np. w sklepiku – ani się nie spostrzeżesz, a suma należna jest wysoka. Kiedy ja sam stąd wysyłam, to wiem, że wysyłam kiedy pieniądze mam. Prosiłem ciebie o opinię w tej sprawie i chciałbym wiedzieć co ci jestem winien jeszcze po zapłaceniu 200 dol., za te lotniczo przesłane chemikalia.

Mam zaproszenie do Montrealu na wzięcie udziału w Rencontres Mondiales de Poésie, miasto Montreal opłaca podróż i pobyt. Pewnie pojedę. Co do naszego pobytu w Europie, to miał on niekoniecznie charakter przyjemnościowy. Był ten zjazd w Paryżu, na który właściwie powinienem był pojechać i po tygodniu wrócić, ale siedząc tutaj od różnych rzeczy – telefonów, zobowiązań etc. trudno się uchronić, nie chciałem natomiast na dłużej zostawiać Janki samej, no i tak wyszło, że z pozoru występowaliśmy jako turyści.

W Paryżu umarł Aleksander Wat, po kilkunastu latach ciężkiej choroby, w którą umysły propagandowe jak Przyboś i Sandauer nie chciały wierzyć, podając ją za symulanctwo.

Miałem list od Zygmunta²⁾ – właśnie wrócili z Zosią z wakacji na Capri.

Będę czekać waszego listu a tymczasem
całuję was oboje

Czesław

Dopisek odręczny na stronie 3 listu: * To jak w okupacyjnej anegdocie o Solskim: Skarżył się na widmo głodu, więc ktoś powiedział: „No, mistrzunio pewnie ma tam trochę koralików”, a Solski: „Tak, ale to najwyżej na 15 lat, a co dalej?”

1) Stanisław Kownacki (1910–1996) – kolega Czesława Miłosza z Gimnazjum Zygmunta Augusta w Wilnie, inżynier, absolwent Politechniki Warszawskiej; od 1939 roku na emigracji.

2) Zygmunt Hertz (1908–1979) – współzałożyciel Instytutu Literackiego w Paryżu, współpracownik redakcji „Kultury”, wieloletni przyjaciel Czesława Miłosza (patrz: Zygmunt Hertz, Listy do Czesława Miłosza 1952–1979, Biblioteka „Kultury”, tom 474, Instytut Literacki, Paryż 1992). Zofia Hertz (1911–2003) współzałożycielka Instytutu Literackiego, żona Zygmunta Hertza, redaktorka „Kultury”, bliska współpracowniczką Jerzego Gedroycia.

20.

Kochany Andrzeju,

otrzymałeś pewnie moją kartkę z odpowiedzią na Twoje obawy o moje fizyczne i psychiczne zdrowie. Bardzo mnie zaskoczyła ta nowo kolportowana wersja, będąca zresztą pewnie ucieleśnieniem czyichś marzeń? Przez całą wiosnę tego roku jeżeli piłem, to trochę wina, a nawet od niego się odrzekłem po pewnym czasie, bo np. w la Messuynie're, domu dla pisarzy w Prowansji, dawali do stołu tak okropne, że brzuch mnie stale bolał. We Francji w ogóle nie miałem co pić, wino mi szkodzi, ale prawdziwy problem mego zdrowia to były Gauloises. Tutaj przeszedłem na fajkę i w ogóle już dotychczas, nikotyna to moja dolegliwość. Z alkoholu mogę tylko Bourbon, który nie zostawia katza ale od lipca do dziś byłem nieźle wypiwszy tylko raz, co nie jest dużo. Wypadek Toniego, który spowodował nagły powrót w lipcu, mógł być dramatyczny, ale na szczęście żadnych śladów nie zostawił. Toni uczy się zaciekle i zdaje się że znalazł „swoją drogę” przez powrót do chemii, którą studiuje równocześnie z robieniem BA w antropologii. Piotruś ciągnie ostatni rok swojej szkoły i nawet zastanawia się czy nie pojechać potem na Alaskę na zimę. Tutaj przyjechał jego pryncypał, traper stamtąd, b. miły brodac, z żoną, przywieźli też 10-letniego syna po raz pierwszy w życiu do szkoły. Tam t.j. 85 mil na północ od koła polarnego, znakomity spokój, a już tym bardziej w zimie. Ludzi tam nie ma, latem funkcjonuje dużo niedźwiedzi – brunatnych (łagodnych) i grizzly – raczej niebezpiecznych. Ale zimę spędza się przeważnie na czytaniu, bo w jesieni przeciągają olbrzymie stada karibou (reniferów), tak że zapas mięsa wystarcza aż do wiosny. Ostatnie miesiące upłynęły mi pracowicie, bo 1) wiersze wybrane

ukazują się po polsku w Londynie 2) korekty tomu Herberta w moim przekładzie dla Penguin 3) ostatnie poprawki przekładu „Rodzinnej Europy” dla [...] w New Yorku 4) 900 stron mojej „Historii literatury polskiej” dla Macmillana na termin 1.1.1968. 5) odwaliłem bibliografię dla mego wydawnictwa 6) artykuły po angielsku 7) wykłady i seminarium. Nie mówiąc o wierszach – jestem w weni, i prozie po polsku. W początku września byłem w Montrealu, na Rencontres Mondiales de Poësis, spęd poetów z całego świata, ale tylko 3 ze świata słowiańskiego – Kirsanow z Moskwy (b. polubiliśmy się i czule mnie do Moskwy zapraszał), Ważyk i ja. Expo nie przereklamowana, nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem. Potem byłem w Vancouver – British Columbia dech zapiera swoją pięknnością – fiordy i olbrzymie, b. zielone lasy. A tu główne moje lekarstwo na chandry i wyładowanie, to zapychanie nowym samochodem, Volvo, b. silny motor, tak że 130 km wyciąga jak nic.

Co u was? Z tego co piszesz o domu w Sopocie niewiele zrozumiałem. Co do bieżącej pomocy Władkowi, to czy to trochę modelować, żeby i wilk był syty i koza cała.

Do licha, to już połowa listopada, kto może połapać się w tym upływie czasu jeżeli wir różnych zajęć? Tu jest Tatariewicz¹⁾, czym on nie był profesorem, też moim (chodziłem na jego seminarium w latach okupacji), jak też i Janka Kotta²⁾. Ma 82 lata, bystry, świeży, wyklada tutaj w tym kwartale. A Kott jest tu na ten cały rok akademicki, mieszkają tuż koło nas. A Najder³⁾ uczy filozofii w sąsiednim D [...]. Jeżeli jeszcze dodać „Einsteina Zachodniego Brzegu” t.j. Tarskiego (logika matematyczna), niezła kolonia. Natomiast umarł nasz profesor emeritus, Wacław Lednicki⁴⁾, akurat po powrocie z Francji i Polski, na atak serca. Ty od dawna nie pisałeś co się dzieje z Joasią – jedyne co wiem, to o przyjęciu jej do tej szkoły, ale to było prawie 1½ roku temu. Ile ona ma teraz lat, bo mi się daty pomyliły. Posyłam jej prezencik przez PKO, na twój adres, bo na jaki inny? Kiedy będziecie czytać ten list, pewnie już będziemy zbliżali się ku Gwiazdce. Ściskam was oboje czule. Nie wierz w moją decrepitude, bo fizycznie, jak na razie kładę na rękę wszystkich młodzików, a mentalnie chyba też. No, oby nam

Wasz

Czesław

1) Władysław Tatariewicz (1886–1980) – historyk filozofii i historyk sztuki, profesor filozofii na Uniwersytecie Warszawskim w latach 1930–1951, od 1956 roku członek Polskiej Akademii Nauk.

2) Jan Kott (1914–2001) – eseista, tłumacz, krytyk i teoretyk teatru, od 1966 w USA.

3) Zdzisław Najder (ur. 1930) – historyk literatury, tłumacz, edytor, conradysta.

4) Wacław Lednicki (1891–1967) – historyk literatury, od 1928 roku profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1940 w USA, profesor slawistyki na uniwersytetach w Chicago i Berkeley.

na drzewy i wylądowanie, to wyglądać mogły podobnie, tylko, że s. bym w tym, bo to 130 km. wyjechać już nie.

Co u was? 2 tygodnie co miesiąc o domu w Sopotcie właśnie rozmawiam. Co do brzozy, pewnie wstąpił, to czy to były podobnie, tylko i może być tylko i być może.

Do licha, to już pewnie kłopoty, kto wie, dlaczego i w tym czasie czasu, jeśli widać, czy widać? Tu jest Północ, więc on nie był profesorem, to może (chociaż na jego temat nie ma żadnych danych), jest też i Janek Kott. Ma 82 lata, byłby, świąt, wylądował tutaj w tym czasie. A kto jest tu na ten czas, może odwiedzić, niechaj, to było was. A Najdy w tym czasie w Sopotcie. Janek, jego dzieło "Ernstine Zdzisława Brzoz" i. i. T. Skrzypka (była w tym czasie), widać to. Natomiast w tym czasie profesor ewentualnie walczył, ale nie po prostu Francji i Polacji, nie było serca.

Ty od razu mi powiedz, co to jest i Janek - jakiego to było, to o tym, że, do tego czasu, ale to było pewnie 1/2 roku temu. To on ma ten lat, bo mi to było pewnie. Po prostu, to pewnie pewnie, na ten czas, bo na ten czas?

Kiedy byłeś w tym czasie, to pewnie już byłby pewnie w tym czasie. Janek, to pewnie pewnie, ale to było pewnie w tym czasie. Nie wiem, w tym czasie, bo pewnie, że pewnie, kiedy na tym czasie, a pewnie pewnie, to, o by nam.

Wm
Ciebie

Może zle ~~z~~ samopowścią, to stany w Polsce
 na nasz okoliczności, przynależą do niego przemianami
 i z Polakami nie są przyczynowo powiązane,
 w ich związku jest świadomości moralnej i
 umysłowej kulturalnej, sytuacji ludzkiej, tak
 że możemy w porównaniu z tym ~~przyczyn~~ ^{przyczyn}
 najwyższego imperium a co do Polaków etc.
 to nie mamy również różnicy jakichś rzeczy,
 tak ten fakt na woję "strasz" w Polsce
 i to co tam z nią wynika.

To co jednak o młodych Polakach
 uważa mieć, że mi ich. Ale chyba
 więcej historyków. Odkrywców niegłosu i kulturalny
 granicy, tak że w stosunkach wojny

po Wierzbickim iustai. Zreals fantasty mie
cietkuy język i język wozyt się u miar
z rokiem zys dowaga und gocty.

Jaasi: dozadkum rity jęzank wozyt ondotowca
wina Dostalic albo na jęzicko lwico
kraj jęzicko Dostaj o stygundia i studium
studia. O psychologię wie pisać, pisać
wiedzieć, psychologię, psychologię etc.
to dla nauki.

Spisuje się, rity lot skony i i wozai,
rity kich jęzicko wozai. O nauki wozai
wozai wozai, ale nie idzie.

Calość kich kich wozai
wzrostu jęzicko kich wozai. ale nie
wzrostu

21.

Fragmety listu na dwóch niebieskich kartkach A5, ponumerowanych jednostronnie cyframi 6. i 7.

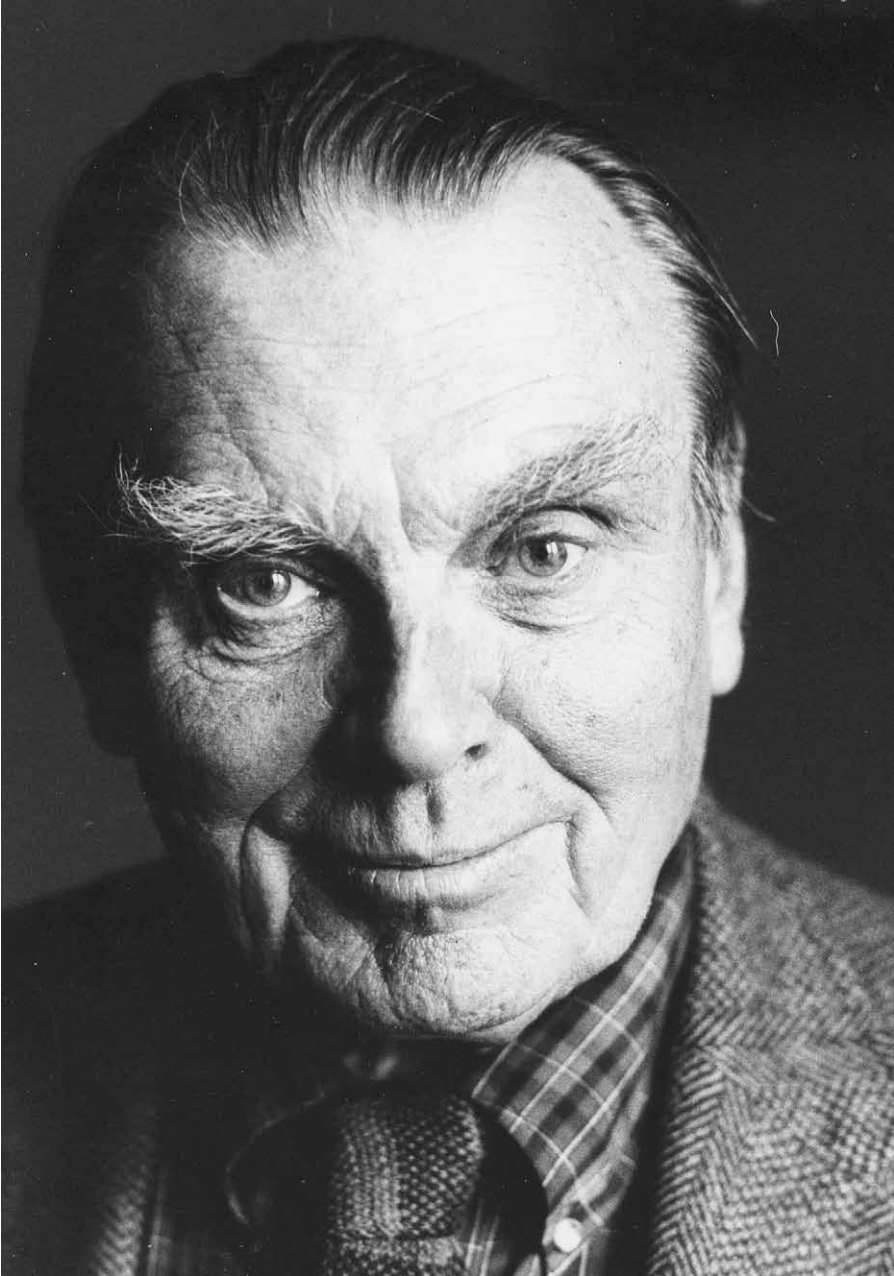
Moje złe samopoczucia, te stany nachodzące na mnie okresowo, przynależą do mego przeznaczenia i z Polską nie są przyczynowo powiązane, u ich źródła jest świadomość moralnej i umysłowej literatury gatunku ludzkiego, tak, że niczym w porównaniu z tym był rozpad rosyjskiego imperium a co do Polski etc. to nie czas żałować róż gdy płoną lasy, tak też patrzę na moją „sławę” w Polsce i to co tam z niej wynika

To co piszesz o młodych Rosjanach wzrusza mnie, żal mi ich. Ale chyba więcej Litwinów. Odnowiłem znajomość z litewską gramatyką, tak że ze słownikiem mogę po litewsku czytać. Zresztą fantastycznie ciekawy język i jakoś zbiegł się u mnie z rokiem spędzonym nad greką.

Joasi doradziłem żeby jednak raczej orientowała się na Australię albo na jakikolwiek kraj gdzie łatwiej o stypendia i skończenie studiów. O psychologii nie pisała, pomysł niedowarzony, psychologia, psychoanaliza etc. to dla szarlatanów.

Śpieszę się, żeby list skończyć i wysłać, żeby Ciebie jeszcze zastał. O [...] warto byłoby napisać, ale nie zdążę.

Całuję Ciebie bardzo mocno
ucałuj Grażynę tak samo ode mnie
Czesław



Czesław Miłosz

Fot. Archiwum rodzinne Grażyny Strumiłło-Miłosz



Fot. Elżbieta Lempp

Julia Hartwig

Lament

Rodzą się
byle jak
przyjaźnią się
byle jak
kochają się
byle jak
rozmawiają
byle jak
umierają byle jak

O o
nie mów tego
tak

Pamiętliwi

W Czyścucu Danta te same urazy
co na ziemi
Ci co się tu nie pojednali
tam już niezdolni są do pojednania

Na próżno błaga Eneasz Dydonę,
aby mu wybaczyła odejście i zdradę
na próżno wołą bogów się zaślania
nie chce mu spojrzeć w oczy
szalona Dydona
Odchodzi
znika

Nie chce też dumny Ajaks zmierzyć się spojrzeniem
Z Odysem któremu trojańska drużyna
przyznała zbroję bohatera
czego mu Ajaks nigdy nie wybaczy
Urazy idą śladem czyścicowej wędrówki

I za chwile zbyt tkliwe też będzie zapłata
Gdy wspominając szczęście wśród niedoli
mówi Francesca:
Ale nas jedna chwila pokonała
Tego dnia żeśmy nie czytali więcej

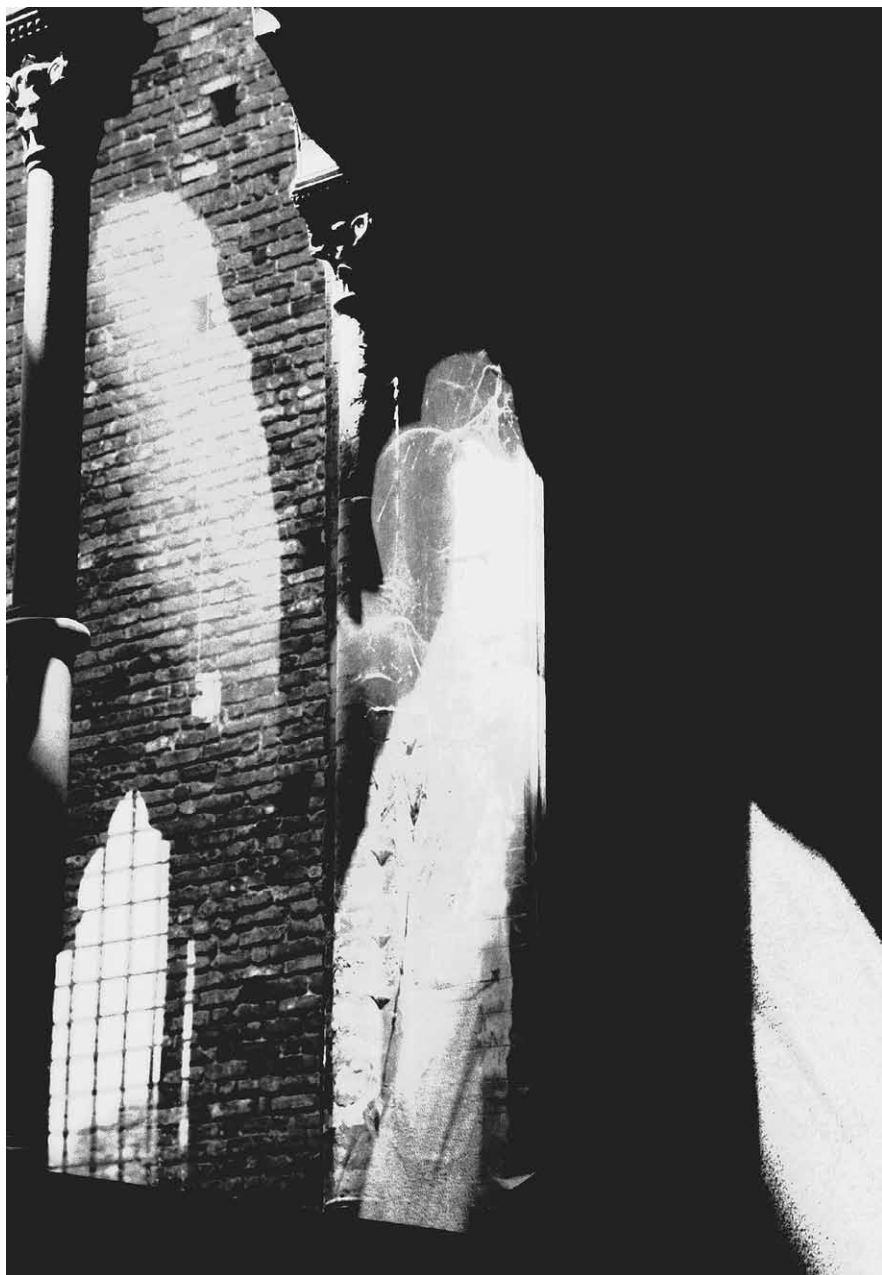
Lecz zapomnienia nie pragnie Francesca

Przemówi

Nim się odezwą archanielskie trąby
rozniesie się w dolinie jej żałosny głos
ten od stuleci znajomy instrument
nieprzydatny w żadnym chórze czy orkiestrze

Stojąc samotnie na polanie świata
podniesie w górę swój ciężki krowi łeb
i z głębi jej udręczonego gardła
dobędzie się skarga
na śmierć zwierzęcą i człowieczą
ze wspólnego artykułu zasądzoną

Julia Hartwig



Mediolan, okno z widokiem na ulubioną piętę Tadeusza Różewicza.

Fot. Elżbieta Lempp



Fot. Archiwum „K.A.”

Tadeusz Różewicz

Poeci, pasztet i katedra

Dnia 15 września 1829 roku nasz poeta Adam Mickiewicz z młodym przyjacielem Edwardem Odyńcem znaleźli się w Strasburgu. W liście do kraju Odyńiec pisał: „Strasburg dwiema rzeczami sławi się u świata: katedrą i pasztetem...”, a że łatwiej dobrać się do pasztetu niż do katedry (entamer le pate que la cathedrale), więc najpierw Odyńiec opisał pasztet i jego produkcję, gęsie wątróbki i trufle... Odyńiec opisuje karmienie gęsi i męczarnie gęsi... wreszcie smak pasztetu.

W drugiej części listu Odyńiec opisuje katedrę, a przede wszystkim – wieżę: „wysokość jej jest 490 stóp, a jej pierwszy architekt nazywał się Erwin von Steinbach”...

Nie będę streszczał całego listu Odyńca z 1829 roku. Muszę wtrącić parę słów o sobie.

Przed wielu laty i ja byłem w Strasburgu, byłem krótko, może dzień, może trzy dni... wiem, że byłem w katedrze i w kościele św. Tomasza, i na starym mieście. Na wieżę nie wspiąłem się, choć wiedziałem, że sam Goethe wypróbował na niej swoją odwagę, przezwyciężając lęk przed utratą równowagi, lęk przed upadkiem.

Nie wiem, czy nie ma tam teraz wygodnej windy dla turystów... zresztą Państwo macie możliwość to sprawdzić...

Jeśli można się zakochać w wieży – to i ja zakochałem się w tej wieży... jako wielbiciel i czciciel dwóch największych poetów romantycznych Europy.

Wyznam natomiast, że wstydę się, że nie próbowałem nie jadłem, nie smakowałem pasztetu strasburskiego z wątróbek udręczonych i umęczonych gęsi... ze wstydem też przyznaję, że nie widziałem nigdy i nie próbowałem truflి, choć wiem, że przepadają za nimi ludzie wysokiej kultury i polityki...

Mistyka i metafizyka kuchni, metafizyka i mistyka poezji i architektury są w duchowym jadłospisie współczesnego człowieka i poety – bo poeta też jest człowiekiem – równouprawnione.

Bodaj stary niemiecko-polski szlachcic i filozof Fryderyk Nietzsche powiedział, że filozofia i myślenie zależy od tego, co się je... Inaczej myśli i filozofuje ktoś, kto je kaszankę z kapustą do piwa, a inaczej smakosz, konsument pasztetu z gęsich wątróbek i truflಿ... do szampana!

Co jest zdrowsze dla poetów, tego nie wiem, bo w ostatnich latach XX wieku straciłem apetyt... przyszedł wiek XXI – doczekałem czasów, w których Harry Potter wypiera z głów i serc Homera; King-Kong Apollina...

Mawiało się w dawnych czasach, że poeta jest kapłanem i błaznem. Nietzsche gdzieś powiedział: „Nur Narr, nur Dichter”... i tak dalej, i tak dalej...

Zacząłem 87. rok życia, piszę wiersze od 70 lat... i nie wiem, kim jest poeta... ale wiem, że nie jestem ani kapłanem ani błaznem.

Jestem człowiekiem, człowiekiem, który pisze wiersze.

Strasburg, 1 marca 2008

Tadeusz Różewicz

Pochwała tłumaczy i Billa Johnstona

Profesor (!) Bill Johnston, jak widzicie, Moi Drodzy, jest młodym, pełnym energii człowiekiem i wybitnym naukowcem oraz tłumaczem; tłumaczem-poetą, twórcą, ma więc zalety widzialne oraz niewidzialne – taka jest istota człowieczeństwa... tylko gwiazdy ekranu, tancerki oraz prezenterki TV – mają wszystko na powierzchni...

Jeśli chodzi, na przykład, o mnie, to nie mam wyglądu „poety”. Profesor Johnston widział mnie z bliska, więc może o tym zaświadczyć – w niczym też nie przypominam Człowieczka z okładki naszej książki – którego stworzył mój ukochany rzeźbiarz Alberto Giacometti.

Mój obraz poety na obszarze języka angielskiego tworzyli od przeszło 50. lat: Paweł Mayewski, Czesław Miłosz, Barbara Vedder, Adam Czerniawski, który tłumaczył poezję i sztuki teatralne, który tłumaczył mojego mistrza Leopolda Staffa i ojca polskiej poezji Kochanowskiego...

Chciałbym wymienić wszystkich moich tłumaczy obojga płci z Basią Howard na czele... ale nie będę was męczył, bo i tak zapomnicie wszystkie nazwiska i imiona... Billowi Johnstonowi, zamiast podziękowania, przeczytam fragment wiersza pradziadka, a może prapradziadka jego żony – Lucjana Rydla...

Patrzę na Ciebie, jak w żywy cud,
Jak na różany słońca wschód,
I serce moje pyta,
Czyś ty zrodzona z morskich pian
Z szumiących słonych wód
Jak Afrodyta?

(Patrzę na Ciebie)

może to przeczytać swojej Żonie...

Cytując wiersz zapomniałem o wielu innych moich wspaniałych tłumaczach i przyjaciółach bo miałem szczęście do tłumaczy!... a więc: Victor Conatoski, Bogdan Czaykowski, Ed Czerwiński, Jan Darowski, Magnus Kryński, Robert Maguire, Richard Sokoloski, Joanna Trzeciak... Oni wszyscy stworzyli mnie jako poetę języka anglo-amerykańskiego. Z wielu wierszy poematów opowiadań nowel i sztuk stworzyli mnie jako twórcę, który żyje na uczelniach angielskich, amerykańskich, kanadyjskich... a nawet w formie wierszyka jeździ metrem w Waszyngtonie... Przyznam się, że trochę bałem się jeździć metrem bez „opieki”, a mój wierszyk nie boi się... Nie pamiętam tego wierszyka, ale pamiętam, że tłumaczył go Adam Czerniawski...

Gratuluje Ci, Bill, wyróżnienia – Nagrody i ściskam po bratersku!

Tadeusz Różewicz

Jacques Ancet

Czyny, nie słowa*

Bardzo ważne dla mnie odkrycie niektórych obcojęzycznych poetów, na przestrzeni wielu lat, zawdzięczam ich tłumaczom, których niebagatelna rola, jaką odgrywają we współczesnej poezji, często bywa pomijana. Myślę na przykład o poetach pochodzących z krajów, których język znam kiepsko lub wcale, jak Fernando Pessoa i Cesare Pavese, Jannis Ritsos i Gennandij Ajgi, E.E. Cummings, Herberto Helder i Bo Carpelan. Laureat Europejskiej Nagrody Literackiej 2008, po piszącym w języku szwedzkim Finlandczyku Bo Carpelanie i Hiszpanie Antonio Gamonedzie, Polak Tadeusz Różewicz jest właśnie jednym z nich. Czy mam wyznać, iż będąc bardzo słabo zaznajomiony z polską poezją, nie znałem nawet jego nazwiska? Wydana przy okazji tej nagrody książka Regio składa się z tłumaczenia wierszy ze zbioru Regio (1969) i wyboru innych utworów z lat 1957–2004, znakomicie przetłumaczonych przez Claude'a-Henry'ego du Borda i Krzysztofa Jeżewskiego. Dzieło to jest dla mnie zatem prawdziwym objawieniem, o czym chciałbym tutaj krótko opowiedzieć, jednocześnie odsyłając tych, którzy pragną poznać

* Tekst zamieszczony w „Nouvelle Revue Française” z 19.2.2008.

więcej szczegółów dotyczących poety i jego dzieła, do świetnego wprowadzenia do książki pióra Claude'a-Henry'ego du Borda.

Czytelnika przyzwyczajonego do wszelkiego rodzaju poetyzacji językowej, która nieprzerwanie pasożytuje na niektórych rodzajach współczesnej poezji, już od pierwszych stron książki ujmuje silny głos „mówiącego wprost”:

twarz poety
otwarta pełna ciszy
twarz ta sama
i zupełnie inna

ze ściany
patrzy na mnie
maska

twardym
pustym
okiem

(Twarz ta sama)

Nie trzeba znać polskiej poezji lat 60-tych, aby zrozumieć, że twórczość Różewicza zasadza się na odrzuceniu klasycznego wersu, metafory i obrazu, retoryki czy metafizycznych póż. Jej minimalizm i siła oczywistości są nośnikami niepokoju egzystencjalnego, dzięki czemu poezja ta nabiera wymiaru etycznego, będącego, jak się zdaje, jej najważniejszą cechą charakterystyczną: „Próbowałem zatem, pisze poeta, odbudować to, co zdawało mi się najistotniejsze w zwykłym życiu i w życiu poezji: etykę. Twórczość poetycka, przynajmniej dla mnie, nie polegała nigdy na pisaniu ładnych wierszy, tylko na działaniu. Nie słowa, czyny”¹.

Tak, Różewicz jest przede wszystkim poetą-moralistą. Mam tu na myśli to, że w jego głosie dają się rozpoznać równocześnie: niezrównana indywidualność, obraz epoki i ciężar straszliwej historii. Dlatego że każde prawdziwe pisarstwo – i w tym tkwi jego historyczność² – obraca się przeciwko temu, z czego powstaje. Chodzi tu szczególnie o to poczucie absurdu, dzielone z egzystencjalistami francuskimi, przede wszystkim z Camusem, do które-

¹ Tadeusz Różewicz, *Regio et autres poèmes*, traduit du polonais et présenté par C.-H. du Bord et C. Jeżewski, Arfuyen, 2008

² W rozumieniu autora historyczność to napięcie między sprzecznościami; w dziele jest to po pierwsze sytuacja historyczna, po drugie działanie, które ma być próbą wyjścia z tej sytuacji w sposób nieokreślony. To działanie ma być ponadczasowe, a nawet międzykulturowe (przyp. tłum. na podstawie rozmowy z autorem).

go eksplicytnie odsyła wielki poemat Spadanie, a także o punkty wspólne Różewicza z Beckettem jako autorem sztuk teatralnych i fakt, że ich dzieła „zagłębiają się w nieprzeniknione strefy niewidzialnego bólu, w strefy tego, co niewyraźalne”. To odczucie wobec świata bez Boga, w którym królują „samotność, rozpacz, śmierć, destrukcja, degradacja ciała”, jest obecne już w 1947 (miał wówczas 26 lat), kiedy publikował swoją pierwszą książkę Niepokój i odnajdujemy je tu na każdej stronie:

po niebie po słońcu
po ciszy po ustach
chodzą muchy
(Job, 1957)

To niewątpliwie mogłoby wyjaśniać, dlaczego technika „mówienia wprost” związana jest ze swoistym antidotum, przejawiającym się w często wyczuwalnym sarkazmie i w wyśmiewaniu świata, w którym wszystko się rozkłada: więzi społeczne, systemy moralne i estetyczne, i w którym to, co winno ich strzec, jak poezja czy sam Bóg, jest niewiele warte: „umarli poeci/odchodzą szybciej/żywi/wyrzucają ze siebie/w pośpiechu/nowe książki/jakby chcieli zapchać papierem/dziurę” (Od jakiegoś czasu), „Bóg upadł/leży na grzbiecie/bezbronny/odkryty jest/jego żywot/wieczny” (Uśmiech). Stąd też twórca posługuje się halucynogennym realizmem jako narzędziem służącym do odkrywania przerażającej pustki najbardziej powszedniej rzeczywistości: „biała noc/martwe światło/leży na pościeli//biała noc/widmo nocy//w takie noce/nie spadają/z drzew owoce//poeta otworzył/żyły wierszom//w takim świetle/w zimnym piekle/stoją meble/rosną plamy na podłodze” (***) (biała noc...).

Jak widać, mimo swej pozornej prostoty poezja Różewicza „niczego się nie wyrzeka” (Moja poezja). Ta celowo utrzymana w szarej tonacji twórczość gra nieustannie na różnych rejestrach. Poza sarkazmem i halucynogennym realizmem można tu odnaleźć irracjonalizm bliski surrealizmowi, choć tak naprawdę poezja ta sytuje się na jego antypodach („milion aniołów/wędruje/po dłoniach kobiety//są pozbawione pępka/piszą na maszynie do szycia/długie poematy w formie/białego żagla...” (Domowe ćwiczenia na temat aniołów)); a także wiersz-monolog, w którym daje się odczuć siła przeżytej chwili, jak w przepięknym utworze Zaczęte o świcie dnia 26 lipca 1965 roku. Jest też elegijne wzruszenie: „Ścięte spalone/leżące pokotem/zatrute martwe/drzewa dzieciństwa/zielenią się nad naszymi słowami/

w maju/zrzucają liście na grzyby/w listopadzie/rosną w nas/do śmierci” (Na ścięcie drzewa); hołd składany ulubionym autorom („Akutagawa/w ciągu dziesięciu lat/osiągnął/taką klarowność obrazów//że można go porównać/bez rumieńca na twarzy/do ptaka/śpiewającego/na bezlistnym drzewie//w sercu/zimowego krajobrazu... (Akutagawa)); wreszcie coś na kształt medytacyjnej litanii, w której zarysowuje się swoista poetyka wiedzy o niewiedzy: „moja poezja” „niczego nie tłumaczy/niczego nie wyjaśnia/niczego się nie wyrzeka/nie ogarnia sobą całości/nie spełnia nadziei” (Moja poezja), będąca aktem sprzeciwu wobec idei i postaw opartych na uprzedzeniach, a jednocześnie aktem zgody na nieuchronne starcie z nieznanym. Stąd wiersz jako sztuka pisarska oparta na ciągłych sprzecznościach i poeta, który jest żywym wcieleniem tych samych sprzeczności:

poetą jest ten który pisze wiersze
i ten który wierszy nie pisze

poetą jest ten który zrzuca więzy
i ten który więzy sobie nakłada

poetą jest ten który wierzy
i ten który uwierzyć nie może

poetą jest ten który kłamał
i ten którego okłamano

poetą jest ten co ma usta
i ten który połyka prawdę

ten który upadał
i ten który się podnosi

poetą jest ten który odchodzi
i ten który odejść nie może
(Kto jest poetą)

Poprzez grę sprzeczności poezja Różewicza pokazuje, że – mimo wielu powodów do rozpacz – nie jest jednak całkiem pozbawiona nadziei. Chociaż poeta odrzuca Boga, robi to, bo kocha życie: „...może opuściłeś mnie/kiedy próbowałem otworzyć/ramiona/objąć życie//lekkomyślny/rozwarłem ramiona/i wypuściłem Ciebie...” (bez). Pisać oznacza dla niego zniszczyć skamieniały, zużyty język, którym coraz bardziej przesiąkamy (w tym także język poezji), poprzez powrót do pierwotnej nagości, wręcz surowości, ale pisać znaczy także odtworzyć język i w efekcie otworzyć drogę nowemu

człowiekowi, gdyż sposób mówienia określa istotę ludzką: „próbowałem stworzyć/nowego człowieka/nowy język” (bez). Stąd płynie niemal pierwsotna moc niektórych wierszy Różewicza, na przykład Regio, od którego pochodzi tytuł całego tomiku. Poprzez mieszankę rejestrów (mówienie wprost, halucynogeny realizm, sarkazm, emocje, paniczne tchnienie...) poeta ukazuje nam ogromny fresk, na którym widać, jak od narodzin erotyzmu w dzieciństwie aż do współczesnego osamotnienia w ostentacyjnej, sprzedanej i pozbawionej substancji seksualności przepływa zryw pogańskiego upojenia i unosi nas jak na początku świata:

na naszych oczach
łączyły się w powietrzu motyle
w wilgotnych trawach ropuchy czarownice
odbywały się hałaśliwe
psie wesela
kary ogier
wspinał się
tańczył
spadał na klacz
giętki phallus
wylał się z czarnego
futurału ruchliwy jak ogień
rzenie napełniało niebo
(Regio)

Wydaje mi się, że poezja Różewicza ukazuje z różną mocą to, co stanowi o sile oddziaływania wielkiego poety: prostota osiągnięta dzięki skrajnej złożoności; jasność słowa karmionego niezrozumiałością, nie skrywaną, lecz odsłanianą; indywidualny i jednocześnie anonimowy głos, targany obawami, nadziejami, pytaniami o wszystko; różnorodność rejestrów, gdzie dobitne słowo nie wyklucza szerokiej perspektywy; refleksja poetycka nad dziełem w samym utworze, a więc refleksja całkiem wcielona, której nie da się uprościć ani streścić w innym sformułowaniu niż jej własne, nawet jeśli miałyby zostać rozwinięta w formie eseju czy zwierzenia listownego bądź ustnego. Siła twórcy to wreszcie zdolność do *z a w ł a d n i ę c i a* czytelnikiem w taki sposób, który nie pozwoli mu wyjść nieporuszonym z tego typu konfrontacji.

Jacques Ancet
przełożyła Marta Oboza

William Carlos Williams

Między ścianami

tylnego
skrzydła

szpitala
gdzie nic

nie rośnie
wysypano żużel

w którym lśnią
potłuczone

okruchy zielonej
butelki

Późna letnia pogoda

On ma na głowie
stary jasnoszary kapelusz filcowy
ona czarny beret

On nosi brudny sweter
Ona niebieski płaszcz
opięty na ciele

Szare szerokie spodnie
Czerwoną bluzkę i
przydeptane czarne pantofle

Otyli Zagubieni Wloką się
donikąd przez
górne miasto przekopując

sobie drogę przez
sterty
opadłych liści klonu

zielonych jeszcze – i
szeleszczących jak dolarowe banknoty
Żadnych obowiązków! Hej ho!

Wielka cyfra

Wśród deszczu
i światła
widziałem cyfrę 5
złotą
na czerwonym
wozie strażackim
który pędził

pełnym gazem
nie bacząc na nic
wśród ostrych gwizdków
wycia syren
i zgrzytu kół
przez ciemne miasto

Kelnerka

Żadnych żarcików (nie trzeba ich) i jej
milczące zachowanie, szare oczy w
głębi czarnych rzęs –
Oczy spoglądają przed siebie i wzrok jej pada na nas.

Nie ma, nie ma sposobu. Jest tak blisko
że można by wyczuć ciepło jej policzka a jednak
nie ma
sposobu

Nagrodą za ubóstwo jest spierzchnięta skóra
dłoni, wyłamane
wielkie palce, zrudziałe przeguby rąk.

Poważna. Nie jak inni.
Cała reszta to kłamcy, nie ty.
Pobądź przy nas.
Pobądź przy nas, z włosami odgarniętymi praktycznie
do tyłu ujętymi w siatkę ciasno za uszami, po obu stronach
głowy. Ale oczy –
ale usta lekko (i szybko)

dotknięte szminką.
Czarna suknia sprawia, że włosy wydają się jakby
ciemniejsze, biały fartuszek rozjaśnia je.
Poniżej brody jest pieprzyk, nisko pod

prawym uchem –

I jakie ramiona!

Pierścionek z rubinowym szkiełkiem

na czwartym palcu lewej ręki

– i te ruchy –

pod krótką suknią kiedy ciężar tacy

lekko wypycha naprzód biodra przy podnoszeniu

i pierwszych krokach –

Komisja Nominacyjna przedstawia następujące

wnioski etc. etc. etc. Wszyscy

którzy wyrażają zgodę, mówią: tak. Przeciwni:

nie.

Uchwalone.

Tak, tak i tak.

I sposób w jaki goniec hotelowy zbiega po schodach

stuk stuk

stuk stuk

stuk, stuk

stuk, stuk.

stuk stuk

i mewy wrzeszczące w otwartym oknie nad

powoli

rozbijającymi się zimnymi falami –

O zgaś świecę miękkim białym

piórem. Sunbeam Najlepsze Bezpieczne Zapałki

w małym pudełku –

I podwójne odbicie w

lustrze i odbicie ręki, piszącej

piszącej –

mi o niej!

– i nikt inny i nic innego

w całym mieście, ani elektryczna reklama o zmiennych

kolorach, czterolistne koniczynki i liście akantu

mieniające się od
czerwieni do oranżu, od zieleni do błękitu – czterdzieści stóp szerokie –

Pobądź przy nas pobądź
z tą twoją chwilową pięknnością którą nikt z nas
nie może się nacieszyć. Ani ty sama, ani z pewnością
nie ja.

Czas, kat który wiesz

Biedny stary Abner, biedny stary siwowłosy czarnuch!
Pamiętam czasy, kiedy byłeś tak silny,
że powiesiłeś się na sznurze przewiązanym wokół szyi
w stajni doktora Hollistera, żeby pokazać, że mógłbyś dać radę
Fakirowi w cyrku – i nie umarłeś.
Teraz trzymasz twarz w dłoniach, łokcie
wsparteś na kolanach, milczysz, złamany.

William Carlos Williams
przełożyła Julia Hartwig

ODTŁUMACZA

Pochodzenie Williama Carlosa Williamsa, którego ojciec był Anglikiem, babka pochodziła z Porto Rico, prababka była baskijką, pradziadek miał przodków holendersko-baskijsko-żydowskich sprawiła, że stał się on nieomal uosobieniem amerykańskiego tygla narodowościowego. W jego przypadku złożyło się to na osobowość wyraziście amerykańską i na twórczość stanowiącą punkt odniesienia w dwudziestowiecznej poezji Stanów Zjednoczonych.

Urodził się 7 września 1883 w Rutheford, New Jersey, do szkoły chodził w Nowym Jorku, studiował w jednej z uczelni szwajcarskich, po czym na University of Pennsylvania ukończył w roku 1906 studia medyczne. Staż lekarski odbywał w Nowym Jorku i w Lipsku, zawód lekarza uprawiał przez całe życie. Nie przeszkadzało mu to oddawać się literaturze, gdzie osiągnął sławę jako poeta, prozaik i dramaturg. Zaliczany jest do najwybitniejszych poetów współczesnych Ameryki.

Był zwolennikiem języka bezpośredniego i wyzbytego wielostowia, poetyckiej ekspresji opartej na języku potocznym i leksyki jak najściślej amerykańskiej, która coraz bardziej oddalała się od powściągliwego języka poezji brytyjskiej; dążył do przywrócenia przedmiotowi jego pełnego i symbolicznego znaczenia; odznaczał się przenikliwym ujęciem szczegółu i sytuacji. „Składaj/nie idee/ale rzecz do rzeczy” – pisał w jednym z wierszy i zasadą tą kierował się w swojej poezji konsekwentnie. Przypisuje mu się status poetyckiego nowatora i choć miejsca żadnego poety amerykańskiego nie można porównać z miejscem, jakie zajmuje Walt Whitman, niedosięgly rozległością swoich horyzontów, William Carlos Williams należy do tego samego gatunku twórców-odnowicieli, prawdomównych, współczujących i nieporzucających nadziei.

Przyjaźnił się z największymi poetami swojej epoki: Ezra Poundem, T.S. Eliotem, Marianną Moore, Wallacem Stevenssem. Był nie tylko ceniony, ale i szczerze lubiany.

J.H.

Kazimierz Orłoś

Letnik z Mierzei*

Miałem pokój po środku korytarza. Rozmowa sprzątaczek za drzwiami bardzo głośna. Śmiały się raz bliżej, raz dalej. Za oknem sosny (wszędzie tu sosny, sosny) – wiało październikowym chłodem. Zamglony błękit.

Co dalej? Herbata plujka – wrzątek z elektrycznego czajnika. Ten czajnik i szklankę, długo płukałem klęcząc przed kabiną prysznicową. Dwie bułki z żółtym serem. Włożyłem sweter, białą czapkę na głowę, na nogach tenisówki. Zamknąłem pokój na klucz.

W holu, na parterze, pod ścianą, na dwóch starych fotelach drzemały psy – mały kundel z przetrąconą łapą. Czarny, z ogonem zakręconym – przypominał tego, który wczoraj obszcze kiwał mnie zza furtki. Drugi – wielki, płowy, przypominał doga. Zeskoczyły z foteli i zaczęły witać się ze mną, jak ze starym znajomym. Klepałem psie brzuchy, karki, tarmosiłem za uszy. Mały kundelek pokuśtykał za mną w stronę plaży. Szedłem ścieżką, między campingowymi domkami. W szybach niektórych bud odbijało się niebo. Na ścieżce leżały szyszki. Zapach igliwia, mchu. Przypomniałem sobie, jak przed pół wiekiem,

* Fragment powieści, która ukaze się w Wydawnictwie Literackim.

wychodziliśmy z lasu, spod karłowatych sosen, tuż przed wydмами. Brnęliśmy dalej boso, po gorącym piasku, pod górę, na wydnię, skąd widać było morze. Obok, za palikami z przybitym drutem, rosły krzaki dzikiej róży. Kiedy kwitła, mocny zapach unosił się w powietrzu. Gdy wiał wiatr – nie czuliśmy zapachu. Morze było gładkie lub wzburzone. W upalne dni błękitne.

I dziś, z wydmy, na którą wyprowadziła mnie ścieżka, zobaczyłem morze, ale pod październikowym niebem szare, przykryte mgłą – jak Zalew. W mgłę ginęła linia horyzontu. Słońce ledwie co przeświecało zza chmur. Postąłem słuchając, jak krzyczą mewy-śmieszki nad plażą. Potem schyliłem się żeby zdjąć tenisówki i podwinąć nogawki. Czarny kundelek pokuśtykał z powrotem – nie miał ochoty iść dalej.

– Hej, przyjacielu! – zawołałem, ale nie obejrzał się.

Tego pierwszego dnia, podczas spaceru, cały czas towarzyszyły mi wspomnienia. Minąłem łódki wyciągnięte na brzeg. Leżały na piasku, w tym samym miejscu, jak wtedy. Było ich mniej, jak mi się zdawało i tylko na jednej zauważyłem pęk tyczek z chorągiewkami. Tkwiły w blaszanych kulach, którymi oznaczano łowiska. Gdzieś w pobliżu kochaliśmy się z Mirką. Przecinając na ukos plażę, doszedłem do wydmy. Chwilę deptałem po zimnym piasku, omijając stare palisady z patyków i zarzys dołów. Potem wróciłem na brzeg.

Krzyczały mewy, zapach morza. Czasem uskakiwałem przed falą. Małe kamyki turlały się po mokrym piasku, w strumieniach cofającej się wody. Trochę dalej, na pniu wyrzuconym przez morze, blisko brzegu, dostrzegłem ciemną postać. Ktoś siedział odwrócony plecami do morza. Tuż nad brzegiem, poruszała się mniejsza – żółta plama. Dopiero kiedy byłem blisko, zobaczyłem, że to kobieta i dziecko. Nie widziałem twarzy – oboje byli odwróceny. Kobieta miała czarny szal na ramionach. Siwe włosy. Kiedy przechodziłem za jej plecami, uniosła rękę, żeby spojrzeć na zegarek. Zapamiętałem ten gest. Żółta plama okazała się bluzą kilkuletniego chłopca. Bosy, podwinęte nogawki spodenek – kopał czerwoną łopatą dół, do którego wlewały się fale. Ominąłem go, idąc łukiem, po suchym piasku a kiedy popatrzył na mnie, zobaczyłem, że to dziecko z zespołem Downa: okrągła twarz, oczy jak guziki, na wprost otwarte usta. Mógł mieć osiem lub dziesięć lat. Uśmiechnąłem się, ale nie odwzajemnił uśmiechu.

Wracałem przez las, jedną ze ścieżek, którymi chodziliśmy nad morze. Doszedłem do starego traktu, z drewnianych pni kiedyś układanych na piasku. Pnie dawno przegniły a może zostały zerwane? Gdybym dalej poszedł ścieżką, wyszedłbym na asfaltową drogę blisko domu Lachowiczów. Przez

chwilę znów przeżywałem rozterkę: a może pójść? Natychmiast wszystko wyjaśnić? Zapytać kobietę zza furty, kiedy urodziła się? Czy w maju pięćdziesiątego trzeciego? Czy zna imię ojca? Co mówiła matka?

Stałem pośrodku traktu, między koleinami wyżłobionymi w piasku, patrzyłem na korony sosen na tle szarych chmur i nie mogłem podjąć decyzji. W końcu, po kilku minutach, zacząłem odchodzić od tej ścieżki – od skrzyżowania. Coraz dalej od domu Lachowiczów – drogą przez las (równoległą do asfaltowej). Coraz prędzej, przyspieszyłem kroku, potem zacząłem biec. Starłem się pokonać własną słabość, zmęczenie, ale i tak, trochę dalej, musiałem stanąć, głośno łapiąc oddech. Schyliłem się, oparłem ręce o kolana i tak, w rozkroku, pośrodku starej drogi, stałem długo.

Po powrocie – dziwne zdarzenie. Kiedy odebrałem klucz w recepcji i szedłem po ścieżce z betonowych płyt w kierunku pawilonu – już blisko drzwi wejściowych – zobaczyłem, jak ktoś, z drugiej strony, pchnął gwałtownie te drzwi. Uderzyły w ścianę. Z holu wybiegła dziewczyna – jedna z trzech recepcjonistek. Zdaje się, że ta, która wczoraj załatwiała formalności związane z moim pobytem. Ukłoniłem się, ale ona bez słowa przebiegła obok. Podobne do niej często spotykamy na ulicach: blondynka, rozpuszczone włosy, blade oczy. Zapamiętałem długie paznokcie – fioletowe lub niebieskie. Za nią wybiegł, przytrzymując drzwi, młody mężczyzna. Był w białej koszuli – kołnierzyk rozpięty, przekrzywiony krawat.

– Marzena! Marzenko, wróć! – zawołał.

Ale dziewczyna nie obejrzała się. Zastukały obcasy na betonowej ścieżce. Młody człowiek cofnął się. Błysnęła szyba, gdy zamykał drzwi. W chwilę potem znalazłem się w holu. Dwa psy powitały mnie radośnie. Ten duży, przypominający doga, wspiął się i położył łapy na moich ramionach. Znów przez chwilę klepałem psie karki, brzuchy, tarmosiłem uszy.

Mężczyzna w białej koszuli stał odwrócony, za rozłożystą palmą – patrzył przez szklaną ścianę na ścieżkę, którą pobiegła Marzena. Nie odezwał się do mnie, ale domyśliłem się, kim jest. Na końcu korytarza, na pierwszym piętrze gdzie dostałem pokój, były drzwi z tabliczką „Kierownik”. Niżej podane godziny przyjęć interesantów (zapewne wczasowiczów). Odczekałem chwilę i odezwałem się pierwszy: – Dzień dobry! Miłe pieski.

– A tak, tak – odwrócił się. – Lubią naszych gości. Do wszystkich się łąszą.

– Jak masz na imię, stary? – zwróciłem się do olbrzyma a kierownik, za moimi plecami, odpowiedział: – Rambo, Rambo, oczywiście.

Zaśmieliśmy się. Potem poszedłem na górę.

Nazajutrz. Dziś Mirka stanęła mi w oczach jak żywa. Gdy jadłem obiad w restauracji „Fregata” – gdzieś między portem (do którego postanowiłem pójść w ciągu najbliższych dni) a starą osadą, z domem Lachowiczów i stacją benzynową nad łąkami. Tu, w tej okolicy, w pięćdziesiątym drugim, była knajpa „Pod Fregatą”. Wieczorami chodziliśmy na dancingi. Zwykle gromadą: rówieśnicy z plaży, znajome dziewczyny – z Łodzi i Warszawy, studenci. Kiedyś, jedyny raz, namówiłem Mirkę, żeby poszła z nami. W zadmionej Sali, na podium, grała orkiestra. Pamiętam harmonistę, skrzypka i wielki bęben z talerzami. Tę orkiestrę słyhać było z daleka. Co chwilę odzywała się trąbka – może saksofon? Grali stare tanga, walce, fokstroty. Grajek w koszuli lub marynarce w kratę – łysy i spocony – śpiewał, co pewien czas przerywając grę na trąbce. Miał chrypę, poza tym ciągnął długo samogłoski, gdy śpiewał: „Jest jedno słońceee, co jasno świeciiii ...”. Albo: „Jak morfinaaaa, zatrulaś serce mojeee...”. I tak dalej. Jego długie „i”, „o”, „e” słyszę do dziś.

Tańczyliśmy koło podium, zadzierając głowy. Łysy śpiewał pochylony, wpatrując się w oczy najbliższej tańczącej dziewczyny: – Skradłaś serce mee, jak to się stało...?

Mirka tańczyła na wysokich obcasach. Pożyczonych od matki lub od ciotki, która często zachodziła do Lachowiczów. A może stryjenki, bo podobnej do bosmana – chudej i wysokiej? Pani Zofii, jeśli dobrze pamiętam.

Tańczyliśmy przytuleni. Pamiętam zapach czerwonej bluzki, skropionej wodą kwiatową. Włosy dziewczyny łaskotały policzek. Naokoło kołysały się inne pary. Spocone twarze, szuranie nóg. Tango, tango, a potem nagle szybki rytm: „Na pewno nie wie nikt, co znaczy tiko-tik...”. I jeszcze: „Fala fałę, fala fałę goni...”. Sala ożywia się. Przez otwarte okna wpadają poddmuchy znad Zalewu. A my tańczymy coraz prędzej, wzniesając kurz z desek, tupiąc głośno. Łup-łup, tup-tup! Saksofon, trąbka, brzęk talerzy. I łysy solista: „Pusto w naszej starej, dobrej sieci, rybia łuska srebrem się nie świeci...”. Potem znów zawodzi saksofon, wtórują skrzypce. Tańczymy ostatnie tango: La comparsita.

W przerwach piliśmy oranżadę, stłoczeni przy chybotliwych stolikach. Jedliśmy tortowe ciastka z różowym kremem. Eklerki, napoleonki, bajadery. Nie było pieniędzy na wino. O północy powrót pod gwiazdami – pustą drogą. Ciemne domy na skarpach, sosny.

Mirka szła kuśtykając – cienkie nogi ugiwały się w kostkach, nie przywykłe do wysokich obcasów. Zostaliśmy daleko za gromadą znajomych. Trzymałem jej małą dłoń, gdy schyliła się, żeby zdjąć pantofle. Dalej szła boso. – Wiesz, piasek na drodze jest ciepły – powiedziała.

Pomyśl, pięćdziesiąt lat minęło a ja pamiętam tamten wieczór, gwiazdy, wiatr od Zalewu, szczekanie psów. Knajpianą orkiestrę. Nawet to, że piasek na drodze był ciepły.

Trzeci dzień. Leżę na wersalce – znów patrzę na lampę. Czerwona plama pod powiekami. Jak było, zastanawiam się, jak mogło być, gdy dziecko Mirki biegało wokół domu pod sosnami? Jeśli dziewczynka, to czy szybko nauczyła się chodzić? Czy długo pełzała, jak jej ciotki – bliźniaczki – po trawie pełnej gęsi odchodów, kamieni i szkła?

Mogło przecież tak być: podchodzę cicho, biorę małą na ręce. Unoszę, jak kiedyś ciebie – podrzucam wysoko. Potem robimy karuzelę: szybko obracam się w miejscu. Mała zanoszi się śmiechem. Mirka staje na progu: – Uważaj, jeszcze jej zrobisz krzywdę!

Bosman siedzi pod sosną: w gimnastycznej koszulce, opalona szyja, białe ramiona. Pali „sporta” mrużąc oczy. Krzywi ptasią twarz. Na ramieniu tatuaż – niebieska kotwica. Patrzy na mnie. A ja? Trzymam dziecko na rękach. Bose stopki zawałane piaskiem. Niebieskie oczy.

Jakie dano jej imię? Zosia, Hania, Marysia?

Rano poszedłem na cmentarz. Dziewczyny z recepcji powiedziały, jak mam iść.

– A kogo tam pochował? – spytała młodsza – niska, pulchna, ze złotymi kolczykami w uszach. „Śmieszka”, jak ją przezwałem. I teraz parsknęła śmiechem patrząc na koleżankę – chudą, brzydzą, z podkrążonymi oczami. Trzeciej – Marzeny, która uciekała przed kierownikiem, nie było. Chuda patrzyła na mnie bez uśmiechu.

– Chcę poszukać grobu znajomej – powiedziałem.

– Jak się nazywała?

– Mirosława Lachowiczówna – wyjaśniłem. I zaraz pomyślałem: „po co to mówię?”. Jeśli pamiętają Lachowiczów – czy ta informacja nie wzbudzi zainteresowania? Może znają kobietę zza furtki?

Ale chyba nazwisko nic nie mówiło. W każdym razie Śmieszka już nie pytała dalej.

Dzień był słoneczny. Idąc drogą patrzyłem na Zalew. Przypomniałem sobie kąpiele w ciepłej wodzie, późno – przy księżycu. Wypływałem przecinką, między szuwarami, na otwartą przestrzeń. Płynąłem powoli, krytą żabką, po księżycowej drodze. W ciszy, w stronę świateł Tolkmicka. Mirka czekała w pękatej łodzi. Kiedy wracałem, podawała ciepły ręcznik.

Wracaliśmy boso, po mokrej łące. W kuchni pani Basia smażyła ryby. Niekiedy placki ziemniaczane. Pachniało olejem. Braliśmy gorące placki palcami, z fajansowego półmiska.

Czasem szliśmy nad morze – najczęściej po upalnym dniu. Wchodziliśmy do wody po ciemku, brodząc na płycznach. Staliśmy długo trzymając się za ręce, w miejscu, gdzie małe fale dotykały stóp. Księżyc świecił nad lasem – za plecami. Mirka bała się wchodzić głębiej. Płynąłem sam a kiedy odwracałem się, nie widziałem dziewczyny. Tylko ciemne wydmy, wyżej sosny, księżyc. Wracalem powoli. Na piasku czekał ręcznik.

✱

Stary cmentarz w lesie, wśród drzew. Nowy bliżej asfaltowej drogi – na otwartej przestrzeni i tam dużo jałowców, cisów. Tuje. Szare groby. Najwięcej płyt z lastriko. Także kopce uformowane z ziemi, porośnięte trawą. Krzyże żelazne, drewniane, ciosane z kamienia. Kilka białych – brzożowych. Chodziłem po szerokich i wąskich ścieżkach, szukając grobu Mirki. Przystawałem, schylony, czasem kuciałem odczytując inskrypcje. „Śp. Cecylia Piątek z domu Lewandowska, zmarła 24 marca 1973 roku. Niech spoczywa w spokoju.” „Bóg tak chciał.” Ktoś prosił o „Zdrowaś Mario”. Weronika, Stanisław, Bogumił Bednarek. Antoni, Jerzy, Regina. Rodziny Krawczyków, Kowalskich, Leśniewskich, Cytryckich, Chmielewskich, Kwiatków. Znalazłem grób Lachowiczów – Jana i Barbary. Bosman zmarł w 1969, pani Basia w grudniu osiemdziesiątego dziewiątego. Przeżyła męża o dwadzieścia lat. Klęczałem z pochyloną głową. Powiał wiatr. Z brzozy obok posypały się liście. Szelest suchych traw. Dziwne wrażenie: poczułem zapach morza – łodzi, piasku, martwych ryb. Zdawało mi się, że słyszę szum.

Później znów szukałem grobu Mirki. Krążyłem po wszystkich ścieżkach, bliżej i dalej od grobu Lachowiczów. Wszedłem spod sosen – szukałem na otwartej przestrzeni. Obszedłem nowy cmentarz, stopniowo kierując się do środka. I tu nigdzie nie pochowano Mirosławy. Nie znałem nawet jej nazwiska. Szukałem imienia. Miałem nadzieję, że będzie podana data urodzenia, nazwisko panięskie. Ale na szarych płytach wyryto same obce nazwiska. W stoikach, z brązową wodą na dnie, usychały goździki i róże. Stare wiązanki oparte o krzyże. Więdy aksamitki i nasturcje. Nigdzie nie było grobu Mirki.

Pamiętam, że – znużony – usiadłem na ławce, przy grobie Kwiatkowskich lub Grabowskich. Pośrodku płyty dopalał się znicz w glinianym kubku. Patrzyłem w głąb pustego cmentarza. To wtedy, nagle, wydało mi się, że widzę starą kobietę. Siedziała na ławeczce, trochę dalej. Widok zasłaniały gałęzie brzozy, poruszane wiatrem i krzak jałowca. Postać tej kobiety ukazywała się i znikła na przemian. Była w czerni, jak opiekunka chłopca z zespołem Downa. Czarna chusta, czarna spódnica. Siwe włosy. Długo patrzyłem, jak kołysze się gałąź brzozy i jak kobieta pokazuje się i znika. Wstałem w końcu i poszedłem w tamtą stronę, ale na ławce pod brzozą, za jałowcem, nikt nie siedział. Ta ławeczka odsunięta od krawędzi płyty. Nie było żadnej kobiety. Rozejrzałem się. Ścieżki naokoło puste. Nikogo.

Idąc tu kupiłem zapałki i dwa znicze. Teraz postawiłem jeden na grobie, przy którym – jak mi się zdawało – siedziała postać w czerni. Ukłąłem, żeby odczytać inskrypcję: „Śp. Majewska Bogumiła, zmarła 21 stycznia 1995 roku w wieku 87 lat”. Niżej wyryto: „W Panu nadzieja na zmartwychwstanie”.

Drugi znicz zapaliłem na grobie Lachowiczów. Opuściłem cmentarz w południe.

Potem długi spacer drogą przez osadę – aż do ostatnich domów. Szedłem obok poczty, szkoły, stacji benzynowej. Zatrzymałem się koło pnia ściętego dębu. Stałem tu kilka minut patrząc na zmieniony dom, który tak dobrze pamiętałem. Znowu zastanawiałem się, czy nie pójść tam teraz – stanąć przed furtką, dzwonić, prosić o rozmowę? Zacząłem liczyć do stu. Kiedy kończyłem – zacząłem od początku. „Skończę i pójde, pójde”, myślałem. Przejechało kilka samochodów, autobus, zapewne z Gdańska. Dom Lachowiczów znikł, przesłonięty na chwilę. Słyszałem, jak blisko szczeka pies – może tamten kundelek zza płotu? W końcu poszedłem dalej.

Za ostatnim domem skręciłem na ścieżkę w stronę plaży. W październikowym słońcu las, ten bliski – z jednej strony podchodzący do domów, z drugiej do wydm – wtedy ogromny, jak puszcza, teraz wydał mi się mały, mniej zielony i nie tak gęsty. Sosny skarłały, nie było brzoź. Po pół wieku wędrowałem przez inny las.

Ścieżki, dróżki w tym lesie! Ileż ich było? Ile razy, w ciągu dnia, biegałem z domu Lachowiczów na plażę! Tam i z powrotem, tam i z powrotem! Szeroką drogą do łódek lub ścieżką wśród sosen, utykając, gdy bosą nogą nadepnęło się na szyszkę. W dół, w dół – do morza.

Czasem, wieczorami, chodziliśmy dróżką, przy której rosła rajska jabłonka. W sierpniu małe jabłuszka czerwieniały, ale i tak były gorzkie i cierpkie. Bliżej wioski za drogą ze spróchniałych bali, słychać było szczekanie psów. Czuliśmy zapach dymu. Sosny uciekały w górę – na skarpy. Wychodziliśmy przed dom.

Szedłem teraz przez inny las, innymi ścieżkami, pod innym niebem. Przed wydrami, niedaleko morza, były tory kolejki wąskotorowej z Gdańska do Królewca. Czynnej za czasów niemieckich. W latach pięćdziesiątych leżały tu jeszcze żelazne podkłady i szyny. Karłowate sosny rosły na skarpach po dwóch stronach dawnej trasy.

Zbiegłem na plażę i poszedłem na wschód – w stronę rybackiej przystani i mojego Ośrodka. Było pusto. Słońce zachodziło za pas chmur. Morze niespokojne – wiał zachodni wiatr.

Stawałem czasem, żeby spojrzeć za siebie a wtedy widziałem biegnącą od stóp, aż hen, po horyzont, czerwoną drogę. Fale rozlewały się z szumem. Im dalej od brzegu, tym więcej białych grzebieni.

Po godzinie doszedłem do łódek podciągniętych wysoko, aż pod wydmy. Zapewne obawiano się sztormu. Z daleka dostrzegłem postać człowieka siedzącego na krześle. Skręciłem w jego kierunku i chwilę szedłem wśród zarysów dołów, depcząc po patykach, omijając deski i na wpół przysypane piaskiem skrzynki. Zatrzymałem się kilka kroków od człowieka siedzącego na krześle, obok żółto-czarnej łódki. Był stary – siwe włosy wymykały się spod granatowej czapki, jakie zwykle noszą rybacy. W nieprzemakalnej kurcie – szarej, przypominającej pelerynę. Stopy w płtykach kaloszach. Wełniane skarpety, jak sztylpy. Dłonie trzymał na lasce wsuniętej między kolana. Siedział nieruchomo, na koślawym krześle i patrzył na morze. Podszedłem blisko, ale nie zauważył mnie. Nie odwrócił głowy. Odczekałem chwilę.

– Dzień dobry, zdaje się, że będzie sztorm – powiedziałem.

Dopiero wtedy spojrzał – uśmiechnął się i kiwnął głową. Siwy zarost, pomarszczona skóra na twarzy, bruzdy. Niebieskie oczy miał załzawione od wiatru.

Znów odczekałem chwilę. – Będzie sztorm, prawda proszę pana? Coraz mocniej wieje.

I tym razem nie odezwał się. Nie słyszał, czy nie rozumiał? Pomyślałem, że warto go zapytać o Lachowiczów – musiał ich znać, pamiętać. Był dostatecznie stary. Schyliłem się i powiedziałem głośniejszym głosem: – Może pamięta pan bosmana Lachowicza? Jego żona miała na imię Barbara. Żyli tu w latach pięćdziesiątych.

Patrzył na mnie trochę dłużej, jak mi się zdawało, ale znów nie odpowiedział. Uśmiechnął się, potarł dłonią załzawione oko. Nic.

Stałem przy nim kilka minut. W pewnej chwili miałem ochotę chwycić go za ramię, potrząsnąć. Mówiłem coraz głośniejszym głosem, przekrzykując wiatr: – W pięćdziesiątym trzecim bosmana i kilku rybaków, zniosło na ruski brzeg. Pamięta pan? Wzięli ich za szpiegów!

Znów tylko spojrzenie, uśmiech. Cisza. Może był podejrzliwy? Zastanawiał się skąd nagle wziąłem się przy nim? Obcy człowiek.

A ja dalej zadawałem chaotyczne pytania. Ciągle miałem nadzieję, że się odezwie, że zacznie mówić. Powie, że pamięta, że znał Lachowiczów. Mówiłem o Mirce, o tym, że miała córkę a teraz jej córka ma córkę. Że mieszkają w domu, niedaleko starego dębu, który wycięto. Na pewno pamięta ten dąb! I tak dalej, i tak dalej.

Milczał, uśmiechał się, pocierał oczy guzowatą dłonią. W końcu przestał zwracać na mnie uwagę – siedział, jak przedtem, nieruchomo i patrzył na morze. I ja w końcu zamilkłem. Patrzyłem jak coraz większe fale suną do brzegu. Wiało silniej.

Potem, nagle, przyszła jego córka lub synowa – stanęła obok. Zaskoczyła mnie. Nie usłyszałem szelestu jej kroków na piasku. Mogła mieć pięćdziesiąt lub więcej lat. W czerwonej chustce, czerwona twarz. Kosmyki włosów na czole, oczy niebieskie – jak u ojca.

– No, czas wracać – powiedziała. – Mietek czeka przy samochodzie.

– Dzień dobry – ukloniłem się. – Chciałem porozmawiać z ojcem, ale chyba źle słyszy.

– On już nie rozumie, co do niego gadają. – Spojrzała na mnie. I głośniejszym głosem: – Idziemy. Dość się nasiedział.

Stary zaczął się podnosić – pomagał sobie laską, sapał, chwiał się nieporadnie. Krzesło – z wklęsłym oparciem z dykty – miało na siedzeniu wytarty wzór. Kobieta chwyciła je lewą ręką, prawą ujęła ojca pod ramię. Zaczęli odchodzić w stronę przejścia na wydmie.

Stałem patrząc za nimi. Gdzieś wyżej czekał chłopak, którego stąd nie było widać. Usłyszałem, jak kobieta zawołała: – Mietek, chodźże tutaj! Pomóżesz! – Ale syn lub brat, nie pokazał się.

Byli coraz dalej. Cierpliwie szli pod górę. Szara kapota, czerwona chusta. Stare krzesło chybotąło się nad piaskiem. Czasem kobieta ciągnęła je za sobą, rysując bruzdy. Znikli na wydmie.

David Schubert

Midston House

Tak naprawdę przydałaby się technika
Rozmowy, myślę, zapalając
Elektryczne światło. Ale nie ten ograniczony
Słownik naszych doświadczeń, te
Powierzchowne irytacje, które gromadzą się w stos,
Piętrzą w miasto – ale przeobrażona
Ekspresja tego, czego one są
Przenośnią; – i ich przemiana w światło.

Z autobusu jadącego w stronę Midston House
Przyglądam się ludziom w ich czynnościach. Pogodni są
I odprężeni; oto drętwe
Durnowate stroje dziewcząt i jedzenie, mężczyźni
I praca i dom. Zabezpieczenie
Obyczaju jest koliste, tak samo
Jak w demokracji są sprzężone z sobą obowiązki,
Koliste posłuszeństwa.

Ale jak przetworzyć

Te wciąż zawodne chmury
Energii, w światło? Życiodajna
Inteligencja mężczyzny z którym
Mam się spotkać – czy on to wie? Myślę
Sobie jak to radykalne odcięcie mojego
Życiowego zadania – odcięte związki
Wytworzyły we mnie nieomal
Lipotymię żalu i hiatus
Dni, z których wyrosły kły gniewu, moja
Likantropia – to, dzięki bogu, już za mną!

Wykurzył mnie z pracy płomień, wielki

Jak złe sumienie: nie potrafię nic
Robić: nie posiadam jednej umiejętności! Człowiek
Na którego czekam w holu –
Całe życie czekam na coś co
Nie znajduje spełnienia – czy on
Zaistnieje?

Prawo życia, jak jakiś abstrakcyjny

Bezдушny prawnik, wydaje przerażający wy-
Rok na mnie biednego, za pomocą dziwnego obcego
Sylogizmu. On sobie ze mnie kpi! Nie dotrzyma
Spotkania!

Jego prawość

Każe mi odrzucić podejrzenie. Co mam powiedzieć, że
Go kocham; że nie jestem go-
Dzien? Z powodu tej niepewności czuję, że jestem
– Choć rozmawiamy o nieuczciwości kogoś innego –
Brzydki, wściekły, i piekielnie chciwy, przebiegły
Drań, jak tamten brzydki ptak znad Białego
Nilu.

Ale wiersz jest właśnie tym

Mówi czego nie da się powiedzieć

Komuś komu chcę powiedzieć.
Spać mi się chce od tej subtelności; pokój wydaje mi się
Ciemny, bardzo zimny, bardzo samotny. W środku
Nie ma nikogo. Zapalę wszystkie światła.
Chciałbym się wybrać
W długą, bardzo długą podróż
Do miejsca gdzie życie jest proste i do zniesienia, nie-
Zbyt wymagające.

Nie! W tym pojeździe, Jutro, zobaczę
Tamtego człowieka, którego uścisk dłoni był szczęściem.

David Schubert
przełożył Piotr Sommer

OD TŁUMACZA

DAVID SCHUBERT (1913–1946) zawdzięcza swoje ponowne narodziny wykładowi Johna Ashbery'ego z tomu *Other Traditions* (2000). Książka ta, która nakładem Ha!artu ukazała się właśnie w Polsce, jest próbą uporządkowania pewnego alternatywnego sposobu myślenia o żywej tradycji poetyckiej języka angielskiego. Ów „nowy porządek” Ashbery konstruuje wychodząc od twórczości dwóch mniej znanych romantyków angielskich, Johna Clare'a i Thomasa Lovella Beddoesa, po których idą wykłady na temat Francuza, Raymonda Roussela, i trojga „nieoczywistych” poetów amerykańskich, Johna Wheelwrighta, Laury Riding i – właśnie Davida Schuberta, który sekwencję Ashbery'ego zamyka. Nikt z szóstki jego ulubieńców nie wzbudził w Stanach takiego zdumienia, jakie w tej konstelacji nazwisk wzbudził David Schubert, poeta niemal całkiem nieznany wcześniej, którego Ashbery „wyżej ceni niż Pounda albo Eliota” i w którym widzi wybitnego prekursora poetyckiej współczesności.

W swoim pierwszym wcieleniu Schubert urodził się w Nowym Jorku, dzieciństwo spędził w Detroit. Od piętnastego roku życia, po odejściu ojca i samobójstwie matki, był bezdomny. Był m.in. sprzedawcą gazet i napojów gazowanych, pomocnikiem kelnera i pomocnikiem na farmie; pracował też na jednym z „turnusów” organizowanych przez Civilian Conservation Corps, amerykańskie „hufce pracy”, które Roosevelt uczynił elementem walki z bezrobociem w czasie Wielkiego Kryzysu. Był studentem Amherst College, nowojorskiego City College i Columbii. Ożenił się mając dwadzieścia lat. Niedługo później choroba psychiczna zniszczyła małżeństwo i przyjaźnie. Zmarł na gruźlicę w szpitalu dla umysłowo chorych na Long Island.

Dopiero w 1961 roku wdowie udało się opublikować zbiór jego wierszy *Initial A*. Wiersze z tej książki, a także wszystko, co zdołało się uchronić (w tym juvenilia oraz listy), przyniósł zredagowany przez Theodore'a i Renée Weissów tom *Works and Days* (1983). Resztę w napadzie szału Schubert zniszczył, między innymi powieść, z której ocalało tylko pierwsze zdanie: „Na dworze był wtorek”.

P.S.

Jacek Bolewski SJ

Wyzwanie powieści teologicznej.
Rzecz o Szatańskich wersetach
Salmana Rushdiego

Co wezwało mnie do tego, by sięgnąć po głośną powieść brytyjskiego pisarza? Nie czułem osobiście wyzwania krótko po wydaniu książki w 1988 roku. Towarzyszący jej rozgłos nie miał charakteru literackiego, tylko religijny. Nie muszę przypominać, iż powieść uznana została za bluźniercze wyzwanie przeciw islamowi, co doprowadziło 14 lutego 1989 roku do wydania na autora wyroku śmierci przez ajatollaha Chomeiniego. Nie miałem ochoty sprawdzać krytycznej oceny, nie zajmując się religią muzułmańską, dlatego nie zwróciłem uwagi na polski przekład książki wydany w 1992 roku. Dopiero wtedy, gdy zafascynowała mnie lektura Nazywam się Czerwień Orhana Pamuka, postanowiłem zainteresować się wcześniejszą powieścią Rushdiego, gdyż przykład tureckiego noblisty poświadczał, jak inspirujące może być otwarcie się na literacko-religijne spotkanie z islamem. Udało mi się w końcu dotrzeć do egzemplarza polskiego wydania, które nie podawało – ze zrozumiałych względów – ani nazwy domu wydawniczego, ani

nawet nazwiska tłumacza. Czarna okładka nie zmieniała wrażenia, że mam do czynienia z prawdziwym „białym krukiem”... Przystępując wreszcie do lektury, nie byłem bynajmniej pewien, że będę pisał o czytanej książce. Także w trakcie czytania nie miałem pewności co do rangi powieści, zanim nie doszedłem do końca. Jak w każdym wybitnym dziele, pierwsza lektura prowadziła do wniosku, że bogactwo powieści wymaga kolejnych odczytań, aby docenić i zgłębić jej przesłanie. Próbuję teraz opisać teologiczne wyzwania, jakie w niej odnalazłem.

Zderzenie ze światem islamu nie jest najważniejszą kwestią Szatańskich wersetów. Od czego więc zacząć? Opowieść rozpoczyna się katastrofą, której przebieg i rozmiary wyłaniają się stopniowo. Jest ona wprawdzie opisana językiem bajki, w której wszystko jest możliwe. Po pierwszej wizji dwu mężczyzn fruujących w powietrzu następuje szereg opowieści, splatających się ze sobą w opisie losów obu bohaterów. Elementy realnych wydarzeń są poddane metamorfozie, która przenika i łączy wszystkie wątki powieści. Jedne formy przechodzą w inne: pojawiają się jako sny, jako bajkowe fantazje, także rojenia na jawie jako przejawy choroby psychicznej, urojenia o charakterze religijnym, a wreszcie wizje czy przeżycia, które mają świadczyć o realnym istnieniu świata duchowego, wykraczającego poza zmysły, związanego z tajemnicą Boga. Wszystkie formy posługują się różnymi głosami, nawiązują do wielu tradycji kulturowych. A spośród tej mnogości przewija się jeden głos, od którego pozostałe wydają się pochodzić. Od czasu do czasu włącza się on bezpośrednio w narrację – w pierwszej osobie, której tożsamość jest otwarta. To niewątpliwie głos autora wszystkich opowieści, jednakże twórca przyjmuje także formę Stwórcy, samego Boga... Tu przeczuwamy, że przejścia w opowieściach oraz metamorfozy, mieszające literacką fikcję z elementami religii, prowokują do pytań o bluźnierstwo. Czy obok „filmów teologicznych”, o których informują Szatańskie wersety, sama powieść może być uznana za teologiczną? W każdym razie jest ona wyzwaniem, z którym warto się zmierzyć.

Przeżycie katastrofy

W opowieściach, które składają się na powieść, autor najpierw zapowiada, krótko nazywa zdarzenie, a dopiero później opowiada je szczegółowo. Gdy już usłyszeliśmy więcej o dwu postaciach ocalałych z katastrofy, dowiadujemy się, jak ona sama nastąpiła. Było to porwanie samolotu lecącego

z Bombaju do Londynu. Na pokładzie znalazło się czworo terrorystów, trzech mężczyzn i jedna kobieta. Gdy zmusili pilota do lądowania w jednym z państw arabskich, ogłosili swoje żądania. „Czego żądali? Niczego nowego. Niepodległej ojczyzny, wolności wyznania, zwolnienia więźniów politycznych, sprawiedliwości, okupu i zapewnienia bezpieczeństwa osobistego podczas przejazdu do wybranego przez nich kraju.” Sformułowania są ogólne, można pod nie podstawić opcje polityczne czy też ideologie różnego rodzaju, choć autorskie wskazówki pozwalają się domyślać, że chodzi tutaj o hinduskich Sikhów, a ściślej, ekstremistycznych przedstawicieli ich religii. Politycy nie spełnili oczekiwań porywaczy, więc oni zmusili załogę, by kontynuowała lot do Londynu; po długim krążeniu nad obrzeżem Anglii terrorystka, najbardziej zdeterminowana, zdetonowała materiały wybuchowe, którymi była obłożona, powodując ostateczną katastrofę.

Wybuch nastąpił na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, nad wodami kanału La Manche, zatem uratowanie kogokolwiek było niemożliwe. Jakim cudem uratowali się więc obaj bohaterowie? Rushdie podsuwa czytelnikowi kilka możliwości. Pierwsza kryje się w pierwszym zdaniu powieści: „Aby narodzić się ponownie – śpiewał Gibril Fariszta, spadając z niebios – najpierw musisz umrzeć”. Owo zdanie pojawia się po raz kolejny po wielu stronach, w opisie związanym z „coraz bardziej ekscentrycznymi teoriami reinkarnacji” bohatera, którego wymienione wyżej imię i nazwisko to jego aktorski pseudonim o jasno religijnym znaczeniu: Gabriel Anioł... Pierwsze zdanie sugeruje przeto śmierć, ale po niej i reinkarnację w istotnie dość „ekscentrycznym” sensie – przemiany człowieka w anioła. Dalej autor uprawomocnia jakby ten rodzaj interpretacji, gdy przypisuje odrodzonemu bohaterowi posiadanie aureoli, widzianej wyraźnie przez innych. Ale nie poprzestając na tym, ucieka się jeszcze do dwóch objaśnień. Ukazuje, że na długo przed katastrofą pojawiły się w życiu Gibrila sny, w których występował on sam, „ale nie we własnej osobie, lecz jako swój imiennik”, czyli sam archanioł Gabriel: „ja jestem nim, on jest mną”. Te właśnie sny z udziałem archanioła Gabriela stanowią materiał opowieści nawiązujących do świata islamu, zarówno do Mahometa, jak i do jego późniejszych naśladowców. A kolejnym objaśnieniem „anielskości” Gibrila, najbardziej racjonalnym i z wolna zdobywającym przewagę w powieści, jest – obłąd, forma schizofrenii, która w końcu go pokonuje.

Krótkie wyliczenie możliwych interpretacji metamorfozy pierwszego bohatera dzięki przeżyciu katastrofy samolotu wskazuje znowu niejasne prze-

ścią, swoistą nieoznaczoność oceny. Podobną niejednoznaczność odkrywamy w przemianie drugiego bohatera, przy czym intencją Rushdiego jest uznanie ich obu za swoiste przeciwieństwo, również o wielu znaczeniach. A zatem anielskiej „reinkarnacji” Gibrila w anioła znanego jako dobrego przeciwstawia się przemiana drugiego, Saladyna Czamczy, w anioła zwanego Szejtanem, czyli szatanem... Analogicznie, zamiast aureoli pojawiają się w drugim wypadku cechy kojarzone z diabłem: rogi, kopyta, siarkowy zapach... Ale te diabelskie cechy, potęgujące się najpierw i coraz wyraźniej objawiające się jako zło, zarażające również innych, ustępują w końcu miejsca złu w postaci „czysto” ludzkiej – obłędowi nie tyle jako chorobie psychicznej, ile jako duchowemu opętaniu nienawiścią, rodzącą złowieszcze, zgubne skutki. Nie znaczy to jednak, że pełnione przez Czamczę zło staje się po zniknięciu jego diabelskich atrybutów bardziej racjonalne. Nie, pozostaje dalej irracjonalne, co Rushdie dokładniej opisuje w antropologicznej analizie przeżyć obu swoich bohaterów. A w końcu, w odróżnieniu od Gibrila, któremu pisany był rozwój obłędu prowadzący do krańcowej katastrofy, Czamczy została dana szansa jeszcze jednej przemiany – na zakończenie powieści.

Wyjściowa katastrofa i różne formy jej przeżycia nie wyczerpują powieściowych interpretacji przemiany życia dzięki śmierci. Pojawiają się ponadto duchy zmarłych osób, i choć opis utrzymany bywa w konwencji humorystycznej, to jednak ich istnienie traktowane jest poważnie. Pierwszą zjawą, którą widzi spadający po wybuchu Gibril, jest odrzucona przez niego kochanka, zmarła krótko wcześniej, bo nie mogąc pogodzić się z jego odejściem, i to dla innej kobiety, rzuciła się razem z dziećmi z dachu wieżowca. Jej opisana realistycznie śmierć uniemożliwiała wyjaśnienia, zastosowane dla „uratowania” obu protagonistów. Obok ducha samobójczyni, nękającego Gibrila na różne sposoby aż do końca, pojawia się równie regularnie inny duch, nawiedzający z kolei jego nową kochankę. Znamienne, że właśnie te dwa duchy spełniają wobec postaci powieści złowieszczą funkcję przybliżania do śmierci. Także w innym wypadku duchy jawią się jako bliższe szatana niż Boga. Wprawdzie znów opis jest humorystyczny, jednak intencja pozostaje poważna: duch wywoływany w czasie seansu spirytystycznego nie chciał odpowiedzieć na pytanie „Czy istnieje Bóg”, a na kolejne pytanie – „Czy istnieje Szatan” ostro zareagował... I to zdarzenie, zrelacjonowane Gibrilowi jako młodzieńcowi, „wywarło wielki wpływ na świadomość młodego słuchacza, ponieważ jeszcze przed śmiercią matki doszedł do przekonania, że istnieje świat nadprzyrodzony”.

Rozważymy jeszcze różne przejawy nadprzyrodzoności w powieści. Najwięcej ich jest w opowieściach związanych z islamem i jego wiarą. Na razie przywołajmy kolejne zdarzenie o charakterze katastrofy, gdzie z jednej strony mamy wyraźne wejście w śmierć, i to z ogromną liczbą ludzkich ofiar, a z drugiej strony pojawia się wizja przeżycia... Zdarzenie jest umieszczone we współczesności, którą w opowieści symbolizuje mercedes, auto jednej z postaci, zamożnego właściciela ziemskiego, łączącego w sobie cechy wielu kultur: określany po persku jako zamindar, mieszka w pobliżu wsi Titlipur, co po hindusku znaczy Motyla Wieś, a wyjaśnienie tej nazwy wiąże się z młodzieńczymi lekturami Gibrila – podziwiał on „surrealizm gazeli, w których motyle mogły wlatywać w usta młodych dziewcząt, prosząc, by je zjeść” – gazy były miłosnymi utworami, popularnymi w arabskiej poezji, a później, jak informuje dołączony do powieści słownik, rozpowszechniły się także „w poezji perskiej i wśród mużulmańskich poetów indyjskich”. I ta kulturowa mieszanka przenika opowieść o zdarzeniu, które poza wspomnianym zamindarem i jego żoną obejmuje całą ludność Motylej Wsi na czele z Aiszą, prostą dziewczyną, pojawiającą się po raz pierwszy zaiste surrealistycznie: „Motyle sadowiły się na niej, a ona chwyciła je prawą ręką i wkładała do ust. Wolno, metodycznie, spożywała śniadanie składające się z uległych skrzydeł”.

Abstrahujemy teraz od faktu, że cała opowieść jawi się jako wysniona przez Gibrila, podobnie jak inne, w których objawia się archanioł Gabriel... Aisza powołuje się na jego wizje, by najpierw oznajmić żonie zamindara, że jest ona chora na raka; wprawdzie mąż wyśmiewa tę diagnozę „z objawienia”, jednak analiza lekarska ją potwierdza. Później anioł objawił Aiszy, że chora kobieta zostanie uzdrowiona, jeśli wszyscy mieszkańcy wioski, co do jednego, udadzą się z pielgrzymką do Mekki, by ucałować Czarny Kamień w Kaabie. Wobec obiekcji mieszkańców, że po drodze dojdą do morza, które dzieli ich od Arabii, Aisza w imieniu anioła przekazała: „kiedy dojdziemy do brzegów morza, zanurzymy nasze stopy w pianie morskiej i wody otworzą się przed nami. Fale rozdzielią się i przejdziemy po-dnie-oceanu do Mekki”.

Następuje opowieść o pielgrzymce, na którą decydują się wszyscy, łącznie z opornym mężem chorej, ustępującym o tyle, że towarzyszy pozostałym w swoim aucie. Wydarzenia rozgrywają się jako zderzenie dwu wizji: z jednej strony „nowoczesnego” punktu widzenia męża, wyszydającego naiwną postawę pielgrzymów, a z drugiej strony ich wiary, także podatnej na zwątpienia, co do prawdziwości objawień Aiszy. Blisko portowego mia-

sta dochodzi do przesilenia, w którym przeciwnicy pielgrzymki wydają się dominować, ale z pomocą przysła gwałtowna burza, pochłaniająca tysiące ofiar, i to wyłącznie po stronie przeciwnej wierze... Wreszcie pielgrzymi doszli do morza, weszli w nie i zniknęli pod wodą. Tu wizja znowu się rozdwaja. Kilka pozostałych na brzegu osób daje dwojakie świadectwo. Wszyscy, poza jednym, widzieli, jak morze rozstępuje się przed wchodzącymi w nie pielgrzymami, kroczącymi po dnie. Jedynym, który widział tylko ich tonięcie, był – oczywiście – zamindar, pozbawiony wiary... Jednak i jemu, gdy później umierał w swym opuszczonym domu, dane było w przejściu przez śmierć ostatnie widzenie: „zalało go morze i już był u boku Aiszy”; a kiedy sam otworzył się wewnętrznie na to widzenie, wtedy „rozstały się wody i ruszyli do Mekki po dnie Morza Arabskiego”.

Zauważamy, w jaki sposób autor uzgadnia dwa punkty widzenia – rozumu i wiary. W perspektywie racjonalnej oczywiście się wydaje, że pielgrzymi potonęli. Co dodaje do tego spojrzenie wiary? Rushdie sugeruje, że dzięki wierze tonący mogli pojmować swe przeżycie jako cudowne zdarzenie, prowadzące do celu pielgrzymki; także wierzący na końcu zamindar otwiera się na to przeżycie. Śmierć odsłania się tu nie jako katastrofa, ale jako przejście do nowego życia. Stąd Aisza w odpowiedzi na zarzut, że prowadzi ludzi „ku oczywistej katastrofie”, mogła spokojnie dopowiedzieć: „Zabieram ich na łono Boga”. Jednakże to nie wszystko. Prowadząca ludzi ku śmierci Aisza z opowieści przywodzi na myśl terrorystkę, która spowodowała wyjściową katastrofę powieści; także tamta kobieta nie bała się śmierci, a jej ostatnie słowa brzmiały: „Męczeństwo jest przywilejem – powiedziała łagodnie. – Będziemy jak gwiazdy; jak słońce”. Tak oto w Szatańskich wersetach obok siebie stoją zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo, dwie konsekwencje gotowości na wszystko dzięki wierze. Pozostaje pytanie co do sensu – zatem i rozumności – wiary tak owocującej.

Obrazy wiary

Czym różni się wiara terrorystki hinduskiej, która swoje męczeństwo połączyła z uśmierceniem innych, od wiary wyznawczyni islamu, nie szukającej uśmiercenia, lecz ocalenia za wszelką cenę, choćby cenę śmierci? W obu wypadkach różnica polegała także na tym, że terrorystka spowodowała śmierć wbrew woli pozostałych osób, podczas gdy Aisza wymusiła pójście

za nią w inny sposób, a mianowicie powołując się na wolę Bożą, objawioną przez anioła – ponadto mogła przywołać liczne znaki, które w oczach ludzi czyniły jej misję wiarygodną. Wydaje się, jakby sam autor opisywał Aiszę i jej wiarę ze znaczną sympatią. Wkłada w jej usta słowa, wskazujące na decydującą rolę ludzkiej duszy, bo kiedy ją „otworzymy, znajdziemy mądrość. Jeśli potrafimy rozewrzeć nasze serca, potrafimy to samo uczynić z morzem”. A słowa te przypominają ewangeliczno-biblijną wizję wiary, zdolnej czynić cuda; dzięki swej wierze nie tylko Mojżesz mógł przeprowadzić Izraelitów przez Morze Czerwone, ale także każdy prawdziwie wierzący może, zgodnie ze słowami Jezusa, przekonać się, że jest prawdą: „Kto powie tej górze: «Podnieś się i rzuć się w morze», a nie wątpi w duszy, lecz wierzy, że spełni się to, co mówi, tak mu się stanie” (Mk 11,23).

Czytelnikowi żydowskiemu czy chrześcijańskiemu, który przyjmuje za Biblią, że przejście Izraelitów przez Morze Czerwone nie było ich uśmierceniem, ale wybawieniem, islamsko-literacka wersja Rushdiego przeniesiona do współczesności mogłaby się zdawać sceptyczna. Tymczasem ona wskazuje tylko, że prawdziwe cuda wymagają wiary, dlatego nie są dostępne dla tych, którzy jej odmawiają. Więcej, opisane w opowieści przejście przez Morze Arabskie jako przejście przez śmierć do nowego życia przybliży się do wizji Nowego Testamentu, gdzie zmartwychwstanie Jezusa nie znaczy zachowania dotychczasowego życia, lecz oznacza przemianę możliwą dzięki śmierci, metamorfozę, której ujrzanie wymaga wiary, gdyż ona jest innym widzeniem aniżeli dane zmysłowo, skoro zgodnie z najgłębszą definicją biblijną wiara jest paradoksalnym „widzeniem Niewidzialnego” (por. Hbr 11,27).

Do tej autentycznej wizji wiary prowadzą stopniowo różne jej obrazy przewijające się w powieści. Początkowo przeważają rozważania krytyczne. Dowiadujemy się, jak utracili wiarę obaj bohaterowie. Gibrilowi już jako znanemu aktorowi przytrafiła się tajemnicza choroba, wobec której lekarze byli bezradni, wyznając ustami swego rzecznika na konferencji dla dziennikarzy: „Możecie to nazwać działaniem siły wyższej, jeśli chcecie”. Równie tajemniczo nastąpił powrót do zdrowia, ponownie „nazwany (przez personel szpitala, dziennikarzy, przyjaciół) działaniem siły wyższej”. A dodatkową tajemnicą było to, że wyzdrowienie wiązało się dla Gibрила z utratą wiary... W czasie choroby wielokrotnie prosił Boga o wyzdrowienie, jednakże pogłębiało się w nim odczucie, że woła w pustkę, nie czuje „niczego niczego niczego, a potem któregoś dnia stwierdził, że już nie musi tam istnieć to coś, co on mógłby odczuwać. W dniu metamorfozy nastąpiło przesilenie choroby i rozpoczął

się jego powrót do zdrowia. I aby udowodnić sobie, że Bóg nie istnieje, stał teraz w jadalni najszlachetniejszego hotelu miasta, a świnie wypadały mu z ust". Innymi słowy: próbował pokazać, że można bezkarnie spożywać zakazaną przez Allaha wieprzowinę. Dopiero później usłyszymy jego wyznanie, że metamorfoza miała swoją cenę. Po zjedzeniu przez niego „nieczystych świń”, jeszcze tej samej nocy zaczęły nawiedzać go wspomniane sny, które w istocie przeklinał, bo w nich: „jestem tym cholernym archaniołem, samym Gibrilem we własnej pieprzonej osobie”.

Drugi bohater, Saladyń, utracił wiarę przez upokarzające przeżycia związane z ojcem. Uwielbiał go jako dziecko i jako dorastający chłopiec, ale gdy rozwinął „własny rozum”, wtedy spieranie się z ojcem „nazywane było zdradą miłości”; po zerwaniu z nim oskarżał go wewnętrznie: „stał się dla mnie najwyższą istotą, więc to, co się stało, było podobne do utraty wiary”. Pamiętał szczególnie, jak usiłował pościć razem z ojcem, aby „dowieść, że jest mężczyzną”, jednak nie wytrzymał i kupował ukradkiem „pieczone kurczaki”. Wstyd, a także wielki gniew odczuwany w tym okresie, miały „spalić na popiół uwielbienie, jakie żywił dla ojca od dzieciństwa, a jego uczynić człowiekiem wyzwolonym z religii, człowiekiem, który później czynił wszelkie starania, aby żyć bez jakiegokolwiek boga”.

Jednak w obu wypadkach utrata wiary nie była pełna, bo miejsce Boga zajęło coś innego. Metamorfoza Saladyńa wiązała się z umiłowaniem Anglii i jej kultury, dlatego czynił wszystko, by wyrzec się swego hinduskiego pochodzenia i zostać „tym, czym jego ojciec nie był ani nigdy nie mógł być – zycznym i lojalnym Anglikiem”. I dopiero kilka kolejnych odmian jego losu miało go ponownie doprowadzić do dziecięcego uwielbienia ojca, pozornie, jak zobaczymy, bez powrotu do wiary w Boga. Metamorfoza Gibrila była już od początku głębsza, gdyż otworzyła go na miłość osobową, do kobiety imieniem Alleluja, która stała się miłością jego życia. Tak utrata wiary w Boga jakoby pozbawionego miłości połączyła się ze znalezieniem miłości. Warto się przyjrzeć temu tajemniczemu przejściu.

Do spotkania z Allelują doszło w momencie, gdy Gibril opychał się świniną, by sobie dowieść, że Boga naprawdę nie ma. Wtedy dojrzał nagle, że „przygląda mu się jakaś kobieta. Jej włosy były niemal białe, a skóra miała kolor i przejrzystość górskiego kryształu. Zaśmiała się do niego, po czym odwróciła się i odeszła”. Gibril zawołał za nią: „Czy nie rozumiesz? Nie ma żadnego gromu z jasnego nieba. W tym cała rzecz”. Usłyszawszy to, kobieta zawróciła i stanęła przed nim: „Żyjesz – powiedziała mu. – Na powrót darowano ci życie.

I w tym cała rzecz". Alleluja zanegowała zatem jego dowód na nieistnienie Boga, przeciwstawiła mu darowanie życia, nieważne, przez kogo, ważne dla czego. To dotarło do świadomości Gibrila, który później wspominał: „Jej wyzwaniu, «zmień swoje życie, przecież nie otrzymałeś go z powrotem na próżno», nie mogłem się oprzeć”, tym bardziej, że: już „w momencie, kiedy zawróciła i zaczęła iść w moją stronę, zakochałem się w niej”.

Spotkanie miało miejsce w Bombaju, gdzie Alleluja zatrzymała się po zdobyciu w kilkuosobowej grupie szczytu Mont Everestu. Po trzech dniach spędzonych wspólnie z Gibrilem w miłosnym odurzeniu kobieta powróciła do Londynu, miejsca jej stałego zamieszkania, on zaś pewnego razu zniknął bez śladu z filmowego świata, w którym dotąd obracał się jako gwiazda, by zostawić wszystko i polecieć za miłowaną kobietą, nawet jej o tym nie powiadamiając. A w samolocie, już po jego porwaniu, gdy zwierzał się siedzącemu obok Czamczy ze swej miłości, brakowało mu słów, aby „ją opisać, swoją kobietę górskich lodowców, aby opisać tę chwilę, kiedy życie leżało w kawałkach u jego stóp, a ona stała się tego życia znaczeniem” jako osoba, „dla której poszedłbyś na koniec świata, dla której zostawiłbyś wszystko”. To wszystko wskazuje, że metamorfoza Gibrila była przejściem od wiary do miłości. Przemiana, która skłoniła go do odlotu, weszła w kolejną fazę po katastrofie. Gdy po różnych perypetiach udało mu się w końcu znaleźć Alleluję, ona nie widziała w nim anioła, którego cechy go niepokoiły, tylko człowieka. Jej pierwsze słowa, kiedy znowu się spotkali, przypominały te wypowiedziane za pierwszym razem: „Żyjesz. Odzyskałeś życie. A to przecież najważniejsze”.

Miłość Allelui, której imię wskazywało żydowskie pochodzenie i znaczyło wielbienie najwyższej Istoty, była dla Gibrila szansą na prawdziwą przemianę. Znamienne, że właśnie z nią, z Allelują wiąże się najgłębsze w całej powieści doświadczenie Boga. Zostało jej ono dane w kulminacyjnym momencie życia, gdy zbliżała się do najwyższego szczytu świata. Przed ostatnim podejściem, u boku przewodnika Szerpy, za jego przykładem zdecydowała się na wspinaczkę bez maski tlenowej, bo na szczycie chciała „być kobietą, a nie maszyną do oddychania”. Gdy zaczęła miarowo oddychać, naśladowując oddech towarzysza, poczuła, jak opowiadała później: „coś ulatuje z czubka mojej głowy i wyszczerzyłam zęby (...) Wyglądało to jak jakiś grymas, jak ból, ale to była po prostu głupia radość”. I w tym momencie: „uwierzyłam w to wszystko: że świat ma własny głos, że można podnieść zasłonę i zobaczyć twarz Boga, wszystko”. Na szczycie zobaczyła: „Takie światło; świat tak oczyszczony, że stał się światłem”. A następnie „pojawiły się obrazy, tęcze

splatały się i tańczyły na niebie, blask spływał jak wodospad ze słońcem, i były tam anioły”.

Alleluja była „kobietą, która doszła do tego, co transcendentne, do cudów duszy”. Doświadczenie transcendencji było tak odmienne od wszystkiego, że miała wrażenie, jak opisywała to Gibrilowi: „Kiedy schodzisz w dół, wydaje się, że nie ma niczego, o czym warto by mówić, dosłownie niczego. Stwierdzasz, że spowija cię nicość, jak dźwięk. Nie-byt. Nie można tego utrzymać przez dłuższy czas, oczywiście. Świat szybko znowu wdzierą się w ciebie”. Dodatkowo zapamiętała, że przy schodzeniu „zobaczyła miasto z lodu”; gdy jednak odwróciła się na moment i ponownie zwróciła się w tę samą stronę, „miasta już nie było”; za to „widok nie widzianego miasta przeniósł ją wstecz w czasie i przestrzeni” do jej rodzinnego Londynu. Tu później miała poniekąd odwrotne przeżycie. Pewnego zimowego poranka spacerowała bulwarem nad Tamizą, gdy nagle pośród mgły i śniegu zobaczyła „góry lodowe”, jakby znowu znalazła się w „mieście z lodu”. Wyjaśniała Gibrilowi, że nie było to złudzenie, tylko prawdziwe widzenie, pokazujące: „mnie także przydarzają się cudowne rzeczy”.

Nie mówi się tutaj o wierze, lecz o widzeniu, jednakże przypomnijmy: widzenie Niewidzialnego to najgłębsza forma wiary w sensie biblijnym. Gibrilowi nie było trudno przyjąć autentyczność wizji jego miłości: „Skoro tak mówisz, wobec tego wiem, że naprawdę tak było”. Myślał przy tym o swoich osobistych wizjach, które pojawiały się w jego snach, utożsamiających go z aniołem. Uważał je za prawdziwe, ale coraz bardziej odczuwał potrzebę, by dokonać wyboru „między dwiema rzeczywistościami, pomiędzy tym światem a tym drugim, który również jest dokładnie tutaj, widzialny, lecz nie widziany”. Droga się rozwidła, dochodzi do punktu, gdzie pojawia się także konieczność odróżnienia – wiary od obłądzenia.

Metamorfoza człowieka w anioła

Przeżycie Gibrila po katastrofie samolotu jest opisane jako jedna z tych „cudownych rzeczy”, które się przydarzają zgodnie ze świadectwem Allelu; dodała też ona: „Świat jest miejscem, w którym dzieją się cuda, i jedynie przyzwyczajenie, ta narkoza codzienności, przytępia nasz wzrok”. Jej słowa padły właśnie w odpowiedzi na wyjaśnienie Gibrila, że „spadł z nieba i żyje”. Niewątpliwie, za równie cudowną można by uznać przemianę w anioła,

którą sugeruje początek powieści, tym bardziej, że – jak widzieliśmy – pisarz usiłuje nadać jej cechy prawdopodobieństwa, przypisując odrodzonemu Gibrilowi widzianą jasno przez innych aureolę. Pojawiają się jednakże również uzasadnienia wspomniane wyżej: odwołanie się do snów, w których Gibril utożsamiał się z archaniołem, a wreszcie możliwość obłądu, w końcu dominiującego. Przyjrzyjmy się dokładniej tym interpretacjom.

Sny z udziałem anioła nawiązywały do wcześniejszego życia śniącego, jako że nosił on artystyczny pseudonim Gibrila Fariszty, perskiej odmiany Anioła Gabriela... Wybrał „imię anioła” ze względu na pamięć o matce, która nazywała go „swoim aniołem, fariszcią”; swe nowe wcielenie w życiu aktorskim, po wcześniejszym życiu, gdy nazywał się Ismail Nadžmuddin, traktował jako znak, iż istnieją „również świeckie reinkarnacje”. Gdy postanowił zerwać z aktorskim życiem, aby połączyć się z Allelują, był skłonny widzieć w tym kolejne wcielenie; narrator orzeka: „Reinkarnacja zawsze była czymś bardzo ważnym dla Gibrila”. Nie dziwimy się przeto, że metamorfoza, przypisana mu przez autora po katastrofie samolotu, także została skojarzona z reinkarnacją, stąd anielską, że mogła lepiej „objaśnić” opadanie jako łagodny lot... Ale najważniejsza metamorfoza rozpoczęła się w owym tajemniczym okresie, gdy w swej chorobie nie tylko wrócił do życia, kiedy stracił wiarę w Boga, ale prawie jednocześnie spotkał miłość swego życia, a tej samej nocy zaczął śnić o sobie jako tożsamym z aniołem.

Sny, które zaczęły Gibrila nawiedzać, były tak uciążliwe, że już w samolocie próbował nie spać. A gdy po katastrofie znalazł się wreszcie w pociągu do Londynu, gdzie pragnął odwiedzić Alleluję, poczuł przerażenie, „że oto Bóg postanowił ukarać go za brak wiary, przyprawiając o utratę zmysłów”. Odczuwał lęk „przed postradaniem zmysłów na rzecz czegoś zupełnie paradoksalnego, przed zniszczeniem przez zjawiska, w których istnienie dawno przestał wierzyć, przed przeobrażeniem się jego szaleństwa we wcielenie jakiegoś chimerycznego anioła”. Jeszcze w pociągu następujące zdarzenia wskazują, że na razie to nie był obłąd, ale...

W przedziale rozegrała się scena nie tyle szalona, ile groteskowa. Rozmyślając o kochance, do której udawał się, Gibril wymówił „głośno jej imię: – Alleluja”. W odpowiedzi posłyszał: „Alleluja, bracie – potwierdził jedyny poza nim pasażer w tym przedziale. – Hosanna, mój dobry panie, i amen”. Okazało się, że był to wyznawca „uniwersalnej wiary”, w której Bóg „jest czymś pokrewnym Muzyce Sfer”. A dalsze jego wynurzenia upewniły Gibrila, że „ten człowiek jest skończonym obłąkańcem”. W pewnym momencie nieznamy

gwałtownymi ruchami rąk strącił mu przypadkowo kapelusz z głowy, padając od razu na kolana, nagle pełen uznania dla Gibrila. Ten zrozumiał ową przemianę, gdy zrobiło się ciemno, bo pociąg wjechał do tunelu; „zauważył, że otacza ich ciepła złocista poświata, która emanuje zza jego głowy. W szybie drzwi przedziału zobaczył odbicie unoszącej się nad nim aureoli”. Po zastanowieniu się wiedział, jak poradzić sobie z szaleńcem. Odegrał przed nim rolę archanioła przychodzącego na sąd, ale czekającego jeszcze z ogłoszeniem wyroku. Ponadto poprosił oszołomionego rozmówcę o to, by nie zdradzał jego tajemnicy „z istotnych względów bezpieczeństwa”.

Osobliwe rozdwojenie – prawdziwość anioła z aureolą, zarazem odgrywanie jego roli – będzie miało dalszy ciąg w akcji powieści. Najpierw oceńmy sny, które jakby narzucały Gibrilowi tożsamość anielską. Fakt, iż zaczęły się one po pierwszym spotkaniu z Allelują, wskazuje, że tu miały swe korzenie; dlatego można je pojmować inaczej, aniżeli to czynił aktor: nie jako „pokaranie” ze strony Boga za brak wiary, tylko jako wynik otwarcia się na miłość. Alleluja wyraziła to, gdy wyjaśniała mu: „Otworzyłeś mnie”. Dalej uprzymniała: „Ty, z tą szynką w ustach. Wyglądało to dosłownie tak, jak gdybyś rozmawiał ze mną, jak gdybym mogła czytać w twoich myślach. Nie, nie jak gdyby – dodała. – Ja naprawdę w nich czytałam, czy nie tak? Kiwnął głową: – Prawda. – Czytałam w twoich myślach, a z moich ust wypływały właśnie te słowa, co trzeba – powtarzała zdumiona. – Po prostu wypływały. Brawo: miłość. Na początku było słowo”. Zdumiewające stwierdzenie, zauważmy, bo w duchu Janowej Ewangelii wskazujące, że pierwotne Słowo wyrażało Miłość... I dodajmy: kobieta już uprzednio przewidywała, „że niszczy ją jej nieznanostwo Miłości”. Dopiero gdy poznała Gibrila „wydobyła z siebie to ostatnie słowo. – Miłość”.

Otwarcie się tutaj opisane dokonywało się także w snach. Ale w nich objawia się nie tyle jako miłość, ile jako swoiste zniewolenie. Do pierwszego snu wprowadzają słowa: „Gibril, kiedy poddaje się temu, co nieuchronne, (...) z ociężałymi powiekami stacza się ku wizjom swojego aniołowania”. Przypomina się najpierw matka, która „nazywa go Szejtan”, upominając pieścizotliwie: „Ty mały diable”. Potem on ogromnieje, staje się „gigantyczny, bez skrzydeł, jego nogi stoją na linii horyzontu, ręce splecione wokół słońca”. Jego sny najpierw odzwierciedlają „początki, Szejtana zrzuconego z nieba”, następnie sceny znane z Koranu z udziałem Archanioła Gibrila, prowadzące do najważniejszych – objawień udzielonych „Mahoundowi”, co stanowi, jak objaśnia słownik, „literackie imię Proroka Muhammada (Mahometa)”. To właśnie

w opowieści pod tytułem Mahound ukazane zostało powstanie „szatańskich wersetów”, a więc kontrowersyjnych słów, które według islamskiej tradycji Mahomet uznał początkowo za pochodzące od Anioła Recytacji, Gibrila, by później odkryć, że stanowiły pokusę szatana. Nie wchodzi jeszcze w istotę kontrowersji. Zastanawia forma, zastosowana przez autora w opisie samych objawień. I tu pojawia się relacja, podobna do związku Gibrila z Allelują: również Anioł Recytacji pozostaje tak ściśle związany z Mahoundem, że ten ostatni rozpoznaje w anielskim objawieniu swoje własne słowa...

Dokładniej: Gibril, utożsamiony we śnie z aniołem, utożsamia się jednocześnie z Mahoundem oczekującym od niego słów objawienia. Czuje, że jest „wewnątrz Proroka”, związany z nim „pępek z pępkiem lśniącem sznurem świetlnym”. I w końcu: „Zdarza się: objawienie”. W ścisłej więzi obu postaci Gibril opisuje: „cud zaczyna się w jego moich naszych wnętrzościach, on walczy z czymś z całą siłą, wymusza coś i Gibril zaczyna czuć tę siłę, tę moc, oto jest ona przy mojej własnej szczęce, porusza się, otwierając, zamykając; i ta moc, zaczynając się gdzieś w samym Mahoundzie, dosięga moich strun głosowych i wydobywa się dźwięk. Nie mój głos nigdy bym nie znał takich słów nie jestem żadnym rasowym mówcą nigdy nie byłem nigdy nie będę lecz to nie jest mój głos to jest Głos. (...) Moje wargi poruszają się, są poruszane. Przez co, przez kogo? Nie wiem, nie umiem powiedzieć. Niemniej jednak, oto i one, wychodzą z moich ust, przez moje gardło, między moimi zębami: te Słowa”.

Jednak okazało się, że były to wersety, których uczniowie Mahounda nie zamierzali przyjąć, oburzeni treścią... Skłonili go, by ponownie zapytał o nie Gibrila. Znowu obaj się zmagają. Śniący czuje, że Mahound „umyślnie” przegrywa: „to jest to, czego chciał, to jego wola wypełniała mnie i dodawała mi siły, żebym nie dał mu się podnieść, ponieważ archaniołowie nie mogą przegrywać takich walk, to byłoby niewłaściwe”. Gibril opisuje dalej: „a potem znowu zastosował swoją starą sztuczkę, otwierając mi siłą usta i zmuszając Głos, ten Głos, by jeszcze raz wylał się ze mnie, zmuszając, by oblał go całego”. Teraz objawienie mówi: poprzednie wersety pochodziły od szatana, dlatego trzeba je wymazać i przyjąć nowe, które pochodzą znowu od Anioła Recytacji. Jednakże śniący Gibril, opisujący to wszystko, „zna jeden mały szczegół, drobną rzecz, która stanowi tu niewielki problem, mianowicie, że obydwa razy to byłem ja, baba, ja za pierwszym razem i ja za drugim razem również. Z moich ust zarówno oznajmienie jak i odrzucenie, wersety i ich odwrócenie, wszechświaty i antyświaty, ot i cała rzecz, a wszyscy wiemy, w jaki sposób moje usta wprawiono w ruch”.

Uderza zmiana tonu w słowach anioła... Jakie ja tu przemawia? Słowo baba pomiędzy dwoma ja jest wieloznaczne. Pomijając oczywiste znaczenie polskie, trzeba raczej uwzględnić inne: po hindusku słowo znaczy „dziecko, mały”, natomiast po arabsku – „tatuś”... Ale to niewiele wyjaśnia, zwłaszcza jeśli słowo jest użyte jako wołacz, a więc określa nie mówiącego, tylko jego słuchacza, może czytelnika. Wydaje się najprościej, iż ja kryjącym się za śnionymi postaciami Szejtana i Gibrila jest śniący Gibril Fariszta. Czy jednak od niego pochodzą także „wszechświaty i antyświaty”, czy on sam wprawił w ruch swoje usta? Skoro zostały poruszone przez „Głos”, który nie pochodził od niego, to może mówiące ja wskazuje Boga, Stwórcę wszystkiego?

Tajemnicze „ja” pojawiało się już uprzednio. Słyszemy je po raz pierwszy, gdy po katastrofie samolotu wspomniane zostało miasto, nad którym ona się dokonała. Narrator określa je wielorako: „Mahagonny, Babilon, Alpha-ville”, jednak od razu się mityguje: „Ale przecież Gibril już je nazwał, nie wolno mi się tu wtrącać: Ten Właśnie Londyn”. A dalej pyta: „Kim jestem? Czy jest ktoś jeszcze?”. Gdy następnie spadający bohaterowie zastanawiają się, dzięki czemu przeżyli, znowu włącza się głos: „Ja oczywiście znam prawdę. Obserwowałem całą tę historię. Na razie nie roszczę sobie żadnych pretensji do wszechobecności i wszechwiedzy”... Jeszcze kilka razy słyszemy podobny komentarz do powieściowej akcji, najdobitniej w opisie przemiany podczas upadku z nieba jako „skutków ubocznych”. Oto przyczyna: „Siła Wyższa okazała zainteresowanie, powinno to być oczywiste dla nich obu, a taka Siła (mówię oczywiście o sobie) ma figlarny, niemal złośliwy stosunek do spadających much”. I ta, wydaje się, Boska Siła, wreszcie pokazuje się Gibrilowi we własnej osobie. „Gibril Fariszta zobaczył Boga.” Co zobaczył? „Ujrzał siedzącego na łożku mężczyznę mniej więcej równego sobie wiekiem, średniego wzrostu, o krępej budowie ciała i z szarą brodą przyciętą krótko, blisko linii szczęki. Najbardziej uderzyło go to, że duch ten wyraźnie łyślał, miał prawdopodobnie łupież i nosił okulary. Nie był to Wszechmocny, jakiego się spodziewał.” Istotnie, jako wszechmocny występuje tutaj autor, autoportretowany swymi powyższymi słowami...

Igranie z anielskością

Co zyskujemy, postrzegając autora Szatańskich wersetów jako twórcę powieściowej metamorfozy człowieka w anioła? Już u początku znajdujemy

nawiązanie narratora do stwórczego dzieła Boga, także do jego związku z ewolucją. Zauważając, że w upadających „rozpoczął się proces ich transmutacji”, pyta: „Mutacji?”, zaraz odpowiadając: „ale nie przypadkowej”. Odwołuje się do wizji niedarwinowskiej: oto w obu spadających aktorach „zaszły zmiany, zmiany, które uradowałyby serce starego pana Lamarcka: pod wpływem ekstremalnych warunków środowiskowych pojawiły się pewne cechy charakterystyczne. Jakie cechy? Powoli, powoli; myślicie, że Akt Stworzenia przebiega w pośpiechu? Przecież z objawieniem również tak się nie dzieje...”

Wywołanie ducha teorii Lamarcka nie było przypadkowe. Powieściowa próba „naukowego” wyjaśnienia transmutacji w anioła wymagała, wydaje się, rewizji teorii Darwina. Pewnie dlatego pojawia się naukowiec „krecjonista”, który demaskuje: „Małpie brednie. Darwinizm. Ewolucyjne herezje pana Karola Darwina”. Kwestia powraca w pogłębionej formie tam, gdzie metamorfoza nie budziła wątpliwości, czyli nie w ostatecznie dyskretnej aureoli Gibrila, tylko w objawieniu drugiego bohatera, Saladyna Czamczy, jako „w pełni rozwiniętego diabła, rogatego kozła-człowieka”. Szokujące zjawisko nie zbiło z tropu Sufjana, kolejnej postaci z powieści, który wyróżniał się jako „były nauczyciel, samouk i znawca klasyki wielu kultur”. Próbując objaśnić niezwykły wygląd Czamczy, „cmokając, nawiązał do ostatniego wydania O powstaniu gatunków. – W którym nawet wielki Karol przyjął ideę mutacji in extremis, która miałyby zapewnić przetrwanie gatunków; a więc cóż z tego, że zwolennicy jego teorii – zawsze bardziej darwinowscy niż on sam! – odrzucili po śmierci uczonego tę lamarckowską herezję, podkreślając znaczenie doboru naturalnego i niczego poza tym”. I tego typu rozważania wracają kilkakrotnie, tworząc aurę „naukowości” wobec anielskiej czy diabelskiej przemiany.

Szatańskie wersety z upodobaniem zestawiają przeróżne, także przeciwstawne wizje na temat aniołów i diabłów. Obie przemiany, której ofiarami padają Gibril i Saladyn, wywołują bezpośrednie reakcje napotkanych ludzi. Groteskowe rysy przyjmują różną formę. Świadcami aureoli Gibrila stają się w powieści postaci, podatne na niezwykle zjawiska, przeto gotowe natychmiast uwierzyć w anielską misję pierwszego bohatera. Większe wyzwanie stanowi wyraźnie „diabelska” metamorfoza drugiego. Do komicznych efektów prowadzą nie tylko próby „naukowego” wyjaśnienia, lecz i wysiłki, by jakoś oswoić „potwora” czy twór autora powieści... Gdy przemieniony Saladyn obrusza się na słowa jednej z osób, że stał się „potworem”, ona

„spontanicznie głaszcząc nieszczęśliwą bestię po ramieniu, powiedziała chcąc naprawić szkodę: – Oczywiście, że nie jesteś, przepraszam oczywiście, nie sądzę, żebyś był potworem; ale po prostu wyglądasz jak potwór”. On sam, już po wydostaniu się z opresji, skłaniał się do „nowoczesnego” punktu widzenia, „że sytuacja tego wieku nie wymaga żadnych diabolicznych wyjaśnień”. I tu włącza się znowu głos autora-twórcy, który wcześniej ukazał się Gibrilowi jako Stwórca, natomiast obecnie za plecami Saladyna mówi: „Nic nie mówię. Nie prosz, abym wyjaśnił sytuację w ten czy inny sposób; czas objawień dawno minął. Zasady Stworzenia są całkowicie jasne: ustala się całość, stwarza się rzeczy tak a tak, a potem puszcza je w ruch. Gdzie przyjemność, jeśli wciąż miałbyś interweniować, aby dać wskazówki, zmienić zasady, rozsądzić konflikty?”.

Czy mamy traktować autorskie słowa jako sąd ostateczny? Ten osąd, ustalający relację między stworzeniem a późniejszym objawieniem, uznać możemy za słuszny z teologicznego, zwłaszcza chrześcijańskiego punktu widzenia, zgodnie z którym objawienie ze swymi cudami-znakami nie „łamie” praw i zasad stworzenia, tylko je dopełnia, pokazując ukryte możliwości, nie do końca dostępne dla metody naukowej. Ale co kryje miniony „czas objawień”? Powieść odwołuje się do różnych tradycji religijnych: islamskich, hinduskich, biblijno-chrześcijańskich... Aluzje do początkowych aniołów oraz ich upadku nie tylko łączą wizje koraniczne i biblijne; dodają do nich uwagi typu gnostycko-ezoterycznego. Nie bez powodu wśród lektur młodego Gibrila, wierzącego „w Boga, anioły, diabły” wymienia się „teozofię Annie Besant”. Anielskość odsłania swe powiązania z człowieczeństwem i ludzkością. Powieściowe rozważania wskazują nowe możliwości, dopowiadające to, co już implicite pojawiało się w aniele-człowieku, Gibrilu Fariszcie.

Jego sny, widzieliśmy, podejmowały tematy z objawienia zapisanego w Koranie. Nie było jasne, kto stoi za głosem objawiającym: człowiek, anioł, autor, Bóg... Ukazana zależność anioła od człowieka powraca w innej refleksji Gibrila, nie we śnie, tylko na jawie: „związek między ludźmi i aniołami jest niejasny – aniołowie lub mala'ika są zarówno zarządcami świata przyrody, jak i pośrednikami między Bogiem a rodzajem ludzkim, ale jednocześnie, jak Koran dobitnie stwierdza, «i rzekliśmy do aniołów, bądźcie posłuszni Adamowi», miało to symbolizować zdolność człowieka do panowania, dzięki jego wiedzy, nad siłami przyrody, uosobionymi przez aniołów”. I dla Gibrila, który snuje te rozważania jako „rozwścieczony malak”, pogrążający się już w obłądzenie, znaczy to: „Archaniołowie mogą mówić jedynie wtedy, gdy lu-

dzie zdecydują się słuchać. Co za banda! Czyż nie on pierwszy dostrzegł Najwyższą-Istotę, zanim uczyniła to ta zgraja przestępców i złoczyńców? «Czy umieścisz ich na ziemi, aby siali na niej niezgodę i przelewali krew?» – zapytał wtedy, a Najwyższy, jak zwykle odpowiedział, że on wie lepiej”.

Obrażony na Boga i ludzi, którzy nie przejmowali się jego anielską misją, Gibril idzie na całość – i skoro na londyńskim chodniku nikt nie zwraca na niego uwagi, śmiało wchodzi w płynący jezdnią strumień aut. A wtedy: „Cały potłuczony, ze skórą odartą w wielu miejscach na ramionach i twarzy, ale pod wpływem wstrząsu mniej więcej w normie psychicznej, Gibril Fariszta został odstawiony z powrotem przed drzwi Allie”, jak nazywał Alleluję. Teraz gotów był się pogodzić z orzeczeniem lekarskim, że cierpi na chorobę psychiczną: „Zaczął określać «anielską», «opętaną» część własnego ja jako drugą osobę: prawdziwie Beckettowska formuła, «Nie ja. On». Jego jak najbardziej własny Mr. Hyde”. Leczenie przyniosło rezultaty. Wyglądało na to, „że Gibril powoli odbudowuje mur dzielący marzenia senne od rzeczywistości”, bo choć „anielskie” sny trwały dalej, on uważał „te nocne występy za nie związane z sobą samym”. Ale słowa wypowiedane we śnie czyniły dziwne wrażenie. Pojawiały się „wiersze po arabsku, w języku, którego nie znał”, i gdy czuwająca przy śniącym Alleluja zapisała je i przeczytała w meczecie duchownemu, „jej recytacja spowodowała, że włosy muły stanęły dęba pod turbanem na jego głowie”. Były to bowiem owe „szatańskie wersety”, teraz uznane za część obłędu śniącego...

Sny przyniosły jeszcze jeden owoc. Igranie z anielskością weszło w ostatnią fazę, gdy Gibrilowi została powierzona nowa rola. Pomysł nasunął się producentowi filmowemu, który czuwał przy powracającym do zdrowia aktorze. Lekarze poparli jego decyzję, gdyż ich zdaniem to, że filmowiec „ukradł historie z marzeń sennych, o których usłyszał przy łóżku Gibrila, może okazać się zbawienne: skoro już historie te zostaną wyraźnie umieszczone w sztucznym, wymyślonym świecie kina, powinno być łatwiej Gibrilowi odbierać je jako fantazje”. Nowa rola, dzięki której aktor miał wrócić do łask publiczności, została postanowiona: „Będzie grał archaniola, Gibrila”. Sam autor odsłania tu dodatkowy pomysł. Opowieści z udziałem anioła Gibrila, składające się na znaczną część powieści, jawią się jako kanwa filmów o tych samych tytułach, jakie noszą części Szatańskich wersetów, i nakręconych później w Bombaju, gdzie gwiazdor „miał mocny powrót”, ale: „Jego pierwszy film Przejście przez Morze Arabskie był kompletną klapą”. Podobnie było z drugim obrazem: „Mahound uderzył we wszystkie możliwe świętości i przepadł bez śladu”.

Samoświadomość autora dzieła posuwa się daleko... Czyż o jego powieści, która została uznana za szargającą świętość islamu, nie można powiedzieć podobnie, że „przepadła bez śladu”, skoro próżno jej szukać w księgarniach? W innym miejscu Szatańskich wersetów, gdzie po raz pierwszy słyszymy o projekcie nowych filmów Gibrila, Rushdie znów igra z możliwą recepcją powstającego dzieła. W usta drugiego producenta filmu wkłada zapowiedź, iż będzie on „filmem religijnym, ale nowego typu. Akcja rozgrywałaby się w zmyślnym i bajecznym mieście wzniesionym z piasku i byłaby to historia spotkania proroka i archanioła; a również kuszenia proroka, który wybiera drogę czystości zamiast nędznego kompromisu”. Na pytanie: „czy nie będzie to uważane za bluźnierstwo, zbrodnię przeciw...”, producent odpowiedział zdecydowanym nie, bo: „Fikcja jest fikcją; a fakty faktami”. Ponadto zamierza nakręcić „obraz o wysublimowanej estetyce. Opowieść z morałem: podobnie jak w tych tam – jak je nazywacie? – bajkach”. A jego partner, odpowiedzialny za wykorzystanie snów aktora, podpowiedział: „Podobnie jest we śnie”.

Rushdie bawi się tu rozróżnieniami, które w swej powieści relatywizuje, mieszając fikcję z „faktami”, składającymi się na fikcyjną fabułę powieści, wyśnioną, bajeczną... Poważniejsze są jego rozważania, pytające o sens anielskości czy diabelskości. Wkłada je w usta Saladyna, gdy już uwolnił się od kłopotliwego diabelstwa: „Anioły i diabły – komu są potrzebne? – Dlaczego demony, skoro sam człowiek jest demonem? – pytał «ostatni demon» laureata Nagrody Nobla, Singera, ze swojego stryszku w Tyszowcach”. I Czamcza dodaje: „dlaczego anioły, skoro człowiek sam jest również anielski?”.

Rysy diabelskie

Końcem anielskości Gibrila był obłąd. Od początku brał pod uwagę tę możliwość, i zauważyliśmy przy okazji paradoksalną czy problematyczną kwestię: przeżycie jego tożsamości z aniołem miało być karą za to, że przestał wierzyć w anioły. Mówiąc inaczej: anioł odrzucony jako przedmiot wiary staje się... obiektem obłądki. Niejasna granica między jednym a drugim otwiera na problematykę diabelskości, której Szatańskie wersety – zgodnie ze swym tytułem – poświęcają najwięcej uwagi.

Teologiczne wymiary problemu są prezentowane w powieści w nawiązaniu do wizji Koranu, przetworzonych w snach Gibrila. Początkowe widzenie „Szejtana zrzuconego z nieba” pokazuje go dalej: „usiłującego chwycić gałąź

wyrastającą z najwyższej Rzeczy, drzewo lotosu, najdalszy kraniec stojący pod Tronem, Szejtana przegrywającego, spadającego jak kamień w dół, chlap. Ale nadal żyje, nie umarł, nie mógł umrzeć, śpiewał z tego diabelskiego dna swoje łagodne, kuszące wersety". Tak oto przywołane później „szatańskie wersety” znajdują tu zakorzenienie w pierwotnym upadku szatana. Jednakże powieściowe rozważania podsuwają warianty, bądź uzupełniające, bądź kwestionujące tę wizję. Chodzi o sens pierwszego grzechu. Wątpliwości pojawiają się presto, prawie zaraz. Śniący Gibril uznaje „powątpiewanie” za „warunek rodzaju ludzkiego”, ale pyta zarazem: „co z anielskością?”. Przyznaje, że aniołowie także „wątpili”, skoro: „sprzeciwiają się woli Bożej, któregoś dnia ukryli się, szemrząc poniżej Tronu, ośmielając się zapytać o zakazane rzeczy”. Co na to Bóg? „Uciszył ich, oczywiście stosując umiejętność zarządzania à la bóg. Zasypał ich pochlebstwami: będziecie instrumentami mojej woli na ziemi.” Wniosek: „Anioły łatwo da się uciszyć, zmień ich w instrumenty i zagrają twoją harpią melodię. Ludzie są twardszym orzechem do zgryzienia, potrafią wątpić we wszystko, nawet w świadectwo swoich oczu”. Do wniosku dołącza się komentarz: „Wiem; diabelskie gadanie, Szejtan przeszkadzający Gibrilowi. Mnie?”.

Końcowe słowa wskazują, że zmieniona, zwiariowana wizja pierwszego grzechu pochodzi od złego: nie tylko widzi w sprzeciwie wobec Boga prawo do pytań i wątpliwości, ale wolny wybór innych aniołów uznaje za wynik „uciszenia” Bożymi pochlebstwami... Podobne „szatańskie myśli” powracają w refleksji Gibrila, krytykującego Boga za postawę wobec grzechu aniołów i ludzi: „jak bardzo niepewnym Samego Siebie był ten Bóg, Który nie chciał, aby Jego najpiękniejsze stworzenia odróżniały dobro od zła, i Który rządził terrorem, domagając się bezwzględnego posłuszeństwa nawet Swoich najbliższych współtowarzyszy”.

Kolejna teologiczna kwestia dotyczy relacji wzajemnej aniołów i diabłów. I tu znowu mamy kilka wersji. W perspektywie religii przeciwstawione są wypowiedzi Koranu i Biblii na pogląd „o rozdzieleniu funkcji, światło przeciw ciemności, zło przeciw dobru”. Z jednej strony słyszymy, że w islamie idea rozdzielenia „może być wystarczająco niedwuznaczna”, co poświadcza stosowny cytat, a z drugiej strony biblijne przykłady wskazują, „że jest to całkiem niedawno zmyślona rzecz. Amos, ósmy wiek przed Chrystusem, pyta: «Czy zdarza się w mieście nieszczęście, by Pan tego nie sprawił?». A również Jahwe, według Deutero-Izajasza, zauważa: «Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę. Ja, Pan, czy-

nię to wszystko». To zestawienie ma wskazywać, iż dobro i zło, zatem anioł i diabeł nie muszą być przeciwstawiane, skoro działanie jednego i drugiego mogą być uznane za dzieło Boga... Zauważmy, że rozumowanie pozostaje niejasne, tym bardziej, iż także Biblia wskazuje rozdział dobra i zła w sposób „wystarczająco niedwuznaczny”. Sam autor uznaje, że Gibrilowi, do którego powyższe stwierdzenia były zwrócone, nie dawało „spokoju wrażenie jakiejś nieścisłości”; dlatego drąży kwestię dalej. I do czego dochodzi?

Nowe dywagacje Gibrila zdradzają – nowy nawrót obłądu: „Stworzy tę ziemię na nowo. Jest Archaniołem, Gibrilem. – Wróciłem!”. Ale nasiliło się także jego przekonanie, że sprzeciwia się jemu potężny przeciwnik: „nienawidzący sam siebie, tworzący fałszywą jaźń, autodestrukcyjny”. Nawiedzają go dwie przeciwstawne myśli. Z jednej strony: „jest na zawsze złączony z przeciwnikiem, spleceni w uścisku ramion”, i dlatego mówi o nim: „Mój sobowtór, moja miłość...”. Z drugiej strony to neguje: „Ten Szejtan nie był wcale żadnym upadłym aniołem”, albowiem nie było wśród aniołów jedności poprzedzającej upadek. A wobec tego: „Precz, precz z tą czułościowością: łączenie się, splot we wzajemnym uścisku, miłość. Szukaj i niszc: to wszystko”. Więcej, jeśli Szejtan „nie był wcale aniołem, nie było żadnych aniołów buntowników, które Bóg musiałby poskramiać”. I w ten sposób Gibril mógł obnażyć swoje kwestionowanie pierwszego grzechu jako „szatańsko-biblijne wątpliwości”, nie zdając sobie sprawy z tego, że dokonany odkryciem pogłębia nie swoją anielskość, lecz obłąd – o rysach diabelskich, autodestrukcyjnych.

Otwiera się kolejna perspektywa w anielsko-diabelskiej relacji. Refleksja teologiczna przechodzi w antropologiczną: poza postaciami Archanioła Gibrila i Szejtana dochodzą do głosu „przemienieni” ludzie, powieściowi protagoniści Gibril Farisza i Saladyn Czamcza. Ich twórca po mistrzowsku komponuje splot obu rodzajów przemiany. Dlatego również obłąd Gibrila, dotąd ukazany w aspekcie związku z anielskością, wyjaśnia się do końca dopiero na tle diabelskość Czamczy, w której odśłania się „ludzka” strona złego... Bowiem okazuje się: Czamcza był zagrożeniem dla Gibrila nie wtedy, gdy trwał przemieniony w diabelską postać, ale po swym powrocie do ludzkiej postaci.

Bardziej uderzająca, zgoła przerażająca metamorfoza Saladyna w istotę diabelską prowadziła także do tego, że wzrastał jego negatywny wpływ na otoczenie: nie tylko coraz groźniej wyglądał, gdy systematycznie powiększały mu się rogi, ale zaczął się pojawiać w snach innych ludzi. Te sny „zaczęły przenikać w codzienne życie” mieszkańców Londynu, co wywołało doniesienia,

wskazujące na „rosnący kult diabła wśród młodych Murzynów i Azjatów”. A gdy „kolorowa” opiekunka donosiła o tym Czamczy, dodawała: „Białe społeczeństwo od tak dawna odrzuca ten obraz, że naprawdę możemy go przejąć”... Inne skutki wywołało zjawienie się Czamczy w diabelskiej postaci pewnemu więzionemu działaczowi politycznemu, którego przerażająca zjawa wręcz uśmierciła. Właśnie ta śmierć, uznana przez przyjaciół zmarłego za wrogie dzieło policji, spowodowała zamieszki, których eskalacja przyniosła krwawe, destrukcyjne „żniwo”. Rushdie tak opisuje to wszystko, że wydarzenia dają się wyjaśnić przez istniejące napięcia społeczne. Jednak udział Czamczy, ponadto wspomnienie jego diabelskości sprawia, że jedna z postaci, zastanawia się, czy tragiczne zdarzenia nie kryją głębszego sensu, na co słyszy wymowne zaprzeczenie: „Nie wpadajmy w sidła jakiegoś cholernego mistycyzmu”.

W okresie, gdy diabelski wygląd Czamczy ciągle jeszcze się nasilał, pewnego razu nastąpiło znamienne cofnięcie się procesu: jego rogi, które wcześniej „urośli o kilka dalszych cali”, nagle „skurczyły się o około trzy czwarte cala”. Nastąpiło to „podczas krótkiego, ale gwałtownego wybuchu gniewu” bohatera, gdy dowiedział się, że Gibril, uratowany razem z nim z katastrofy samolotu, nie tylko powracał do życia filmowego, ale dla wyjaśnienia, dlaczego nie zginął, posłużył się kłamstwem, iż leciał innym samolotem, i dlatego: „miałem szczęście: naprawdę, musiał czuwać nade mną anioł”. A reakcją Czamczy na to wyjaśnienie, posłyszane z ust opiekujących się nim dziewczyn, które dowiedziały się o nim z prasy, była „najgwałtowniejsza furia, jaką kiedykolwiek widziały”.

Co to znaczyło? Furiacki wybuch uzewnętrznił urazę, jaką Czamcza żywił do Gibrila od momentu, gdy już po wyratowaniu z katastrofy los ich ułożył się całkiem odmiennie: kiedy zjawiała się policja, zaalarmowana pojawieniem się na brzegu podejrzanych imigrantów, zaarrestowano jedynie Czamczę, natomiast Gibril otoczony tajemniczą poświatą, został zostawiony w spokoju, nie czyniąc zarazem niczego, by pomóc towarzyszowi. Wtedy jeszcze nie była wiadoma ich głębsza różnica: przemiana jednego w anioła, drugiego w diabła. Także po tej przemianie Gibrilowi na pozór wiodło się lepiej, sądząc po jego powrocie do świata filmu, który wydawał się rozwiązywać anielskie problemy w obronie przed obłędem... A Czamcza w swej diabelskiej postaci budził w najlepszym wypadku konsternację, najczęściej zgrozę, zwłaszcza w obliczu „prerażającego spustoszenia”, jakiego dokonywał. Ale wtedy właśnie, jakby na dnie jego rozpaczliwej sytuacji, gdy zmęczony zasnął,

jego przemiana dopełniła się w powrocie do wcześniejszej postaci; został znaleziony „nagusieński jak go Pan Bóg stworzył, lecz o ludzkim wyglądzie i proporcjach, ucłowieczony – cóż pozostało innego jak podsumować? – poprzez przerażającą koncentrację własnej nienawiści”.

Wizja pozostaje konsekwentna: jeśli furia zwrócona przeciw Gibrilowi zaowocowała częściowym powrotem Czamczy do dawnej postaci, to pełny powrót oznaczał dopełnienie jego nienawiści. Teraz objawia się ona całkowicie po ludzku. Szukając okazji, by zniszczyć przeciwnika, wykorzystuje słabość okazaną przezeń, a jest nią zazdrość, istotna skaza miłości Gibrila do Allelui. Mówiąc o niej, autor odwołuje się do jej odzwierciedlenia w Otellu, przywołując po raz pierwszy postać Jagona, jego słowa, że zazdrość „czyni pośmiewiskiem ciało, na którym się żywi”. Nawiązania do słynnej sztuki Szekspira pojawiają się w Szatańskich wersetach wielokrotnie; więcej, ona właśnie staje się kanwą dla tragedii, jaka dalej się rozgrywa między Gibrilem i Czamczą z Allelują jako trzecią postacią trójkąta, na tle postaci szekspirowskich: Otella, Jagona i Desdemony. Komponując autorską wersję tragedii, której „pełnokrwisty oryginał jest niedostępny dla nowożytnych mężczyzn i kobiet, tak się przynajmniej uważa”, Rushdie dodaje w związku ze swą powieścią: „Pytanie zadawane tutaj pozostaje nadal tak wielkie, jakim zawsze było: a jest nim istota zła, jak się ono rodzi, dlaczego rośnie, w jaki sposób przejmuje w jednostronne posiadanie wszechstronną ludzką duszę. Lub, powiedzmy: zagadka Jagona”.

Gdy wreszcie doszło do spotkania obu protagonistów i Czamcza dostrzegł oznaki zazdrości Gibrila, zaczął oplątywać go swą nienawiścią, którą krył pod pozorami przyjaźni. Jego strategią było, „by jak najbliżej przyciągnąć ku sobie ofiarę; łatwiej wtedy wbić nóż”. Pozyskał zaufanie przeciwnika, poznał liczne szczegóły jego związku z Allelują, po czym wykorzystał to w anonimowych telefonach do niego, pełnych aluzji na temat intymnej relacji z umiłowaną. Było „coś demonicznego” zwłaszcza w tym, że głos niepokojący Gibrila, który nie rozpoznawał w nim Czamczy, nadużywał do swych insynuacji „formy trywialnych wierszyków urodzinowo-pocztówkowych”. I te nawroty „małych szatańskich wersetów”, jak określał je Gibril, „doprowadziły go do szaleństwa”. Zerwał z Allelują, wyrządzając jej i sobie niewybaczalną krzywdę.

Zakończenie tragedii jednak odwlokło się; nastąpiło, jak przystało, na końcowych stronach powieści... Wcześniej autor zaskakuje. Prowadzi do spotkania swych bohaterów, i na krótko przed nim oświeca Gibrila, że to

przyjaciel okazał się przeciwnikiem, którego szukał. Tłem ich spotkania są zamieszki społeczno-polityczne, łączone już uprzednio z diabelskością Czamczy, zaś obecnie – w oczach Gibrila pogrążającego się w obłędzie – związane z jego misją anioła zwiastującego bliskość ostatecznego sądu. W swym anielstwie Gibril się waha: „Czy ma być narzędziem gniewu Bożego? Czy jego miłości?”. Widzi Czamczę, który wbiega do płonącego lokalu. Wszechwiedzący narrator uznaje, że „nikczemny pan Czamcza” pragnął w tym momencie pomóc uwięzionym w ogniu znajomym. I pyta: „Czy to możliwe, że zło nigdy nie jest absolutne, że jego zwycięstwo, nie ważne jak bardzo przytłaczające, nigdy nie jest całkowite?”. Ma to potwierdzać opisana postawa Czamczy, który najpierw usiłował „bezlitośnie zniszczyć umysł innej istoty ludzkiej”, Gibrila, a jednak: „ten sam człowiek, ryzykując śmiercią, bez wahania podjął szaloną próbę pomocy”. Podobnie postąpił Gibril. Po wejściu za Czamczą do płonącego domu, znalazł go bezradnie leżącego, przygwożdżonego do ziemi belką. Widząc przeciwnika w opresji, mógł ostatecznie nad nim zatryumfować. Ale – po chwili wahania – wydobyl go i wyniósł na rękach, jak się wydawało majaczącemu Czamczy, przez „ogień rozstępujący się przed nimi jak morze czerwone”. Konkluzja narratora brzmi: „tak więc tej nocy, kiedy miasto jest w stanie wojny, nocy aż ciężkiej od nienawiści i niepohamowanego gniewu, ma miejsce to małe zbawcze zwycięstwo miłości”.

Rodzaje boskości

Tak, owo zbawcze zwycięstwo miłości było „małe”, gdyż okazało się tylko czasowe, przejściowe... Jeszcze nie nastąpił ostatni akt tragedii. Droga do niego jest okazją, by zapytać o związek anielsko-diabelskich elementów z oceną boskości, która za nimi się kryje. Kilka razy zauważyliśmy szatańskie wizje boskości jako terrorystycznej, zniewalającej, wrogiej aniołom i ludziom. Anielskie wizje z kolei graniczyły z obłędem i nie były jasne. Co zbliża do prawdziwej wizji?

Boskość i jej atrybuty już od dzieciństwa towarzyszą protagonistom powieści. W obu wypadkach doszło, widzieliśmy, do utraty wiary, w której istotną rolę grała miłość a raczej odczuwanie braku jej u Boga. Później obaj odkryli ją w innej postaci, jednak ona także nie wystarczyła. Związek Allelui z Gibrilem, choć okazał się w ich oczach „miłością życia”, był jednocześnie

„pełen prawdziwych skaz”, a jedna z nich wiązała się z lękiem Allelui „przed własnym tajemnym pożądaniem, to jest, miłością; – z którego to powodu miała zwyczaj uciekać od tej właśnie osoby, której oddania najbardziej poszukiwała”; ze strony Gibrila z kolei skazę zdradzała „jego arogancka zaborczość i zazdrość”. A zatem miłość odsłania tu swe granice jako pożądanie, nieuchronnie związane z lękiem i zazdrością... W życiu Czamczy natomiast obiekty miłości zmieniały się: „Kultura, miasto, żona; i czwarta, ostatnia miłość, o której nikomu nie mówił: umiłowany sen”. A we śnie widział siebie „w towarzystwie pięcioletniego chłopca, którego uczył jeździć na rowerze”. Chłopiec dokładał starań „z zawziętością kogoś, kto pragnie, aby jego ojciec był z niego dumny”, by w końcu, gdy mu się udało swobodnie pojechać, odwrócić się ze słowami: „Popatrz na mnie! Popatrz, jak szybko się nauczyłem. Jesteś ze mnie zadowolony? Jesteś zadowolony?”.

Wydaje się, że w ostatnim śnie Czamcza jest ojcem, choć w owym czasie nie miał jeszcze dziecka; dlatego może bardziej utożsamiał się z chłopcem, potrzebującym ojcowskiej miłości, którą sam utracił w swoim życiu. Zakończenie powieści przynosi nowe przemiany, dające szansę na to, że sen się spełni. Zabraknie tu Boga, jednakże ludzkie doświadczenie wskazuje głębię teologiczną. Otwierają na nią wskazówki, rozproszone w innych miejscach Szatańskich wersetów.

Pierwsze wyraźne odwołanie się do Boga znajdujemy blisko początku w związku ze zniknięciem aktora Gibrila, które później okazało się być ucieczką do niedawno poznanej Allelui. Zniknięcie prowadziło do dziwnego zanikania śladów uznanej gwiazdy filmowej nie tylko na wszechobecnych podobiznach jego twarzy z tablic reklamowych, ale także z okładek czasopism a nawet z taśm filmowych... Autor komentuje: „Była to śmierć Boga lub coś bardzo do niej podobnego”. Przesadne, zdawałoby się, sformułowanie, wiązało się nie tylko ze statusem idola (bożka!), jakim aktora darzono. Dodatkową racją były role, które dały mu wielką sławę, grane „w filmach popularnego gatunku, zwanego «teologicznym»”. Wcielał się w nich „z absolutnym przekonaniem w niezliczone bóstwa Półwyspu Indyjskiego”, w taki sposób, „że udawało mu się przekraczać bariery religijne bez obrażania religijnych uczuć”. Odgrywał i Krysznę, i Gautamę Buddę, nie mówiąc o mniej znanych bóstwach, i dzięki temu reprezentował „najbardziej możliwą do przyjęcia i łatwo rozpoznawalną twarz Najwyższego wobec setek milionów wiernych tego kraju, w którym po dziś dzień liczba ludności jest niemal trzykrotnie większa od liczby bóstw”.

Ironiczny ton ostatniego stwierdzenia towarzyszy również opisowi ról Gibрила, nader licznych, skoro „z nadejściem filmów teologicznych” doszło do tego, że „każde bóstwo w panteonie miało szansę zostać gwiazdą”. Tonacja zmienia się nagle w opisie problemu podziwianego przez wszystkich aktora: nasilało się w nim „tragiczne przeświadczenie, że oto obdarzony jest większą niż zazwyczaj zdolnością do miłości, a na całej ziemi nie ma ani jednej osoby, której mógłby to uczucie ofiarować”. I pamiętamy jego pierwsze wyjście z tej sytuacji: gdy stracił wiarę w Boga, znalazł miłość, o której marzył, ale – także ją miał utracić, ukrywała bowiem skazę...

Bogiem, od którego zarówno Gibril, jak i Czamcza się oddalili, wydaje się być Allah, istotnie różny od panteonu bóstw hinduizmu. Jednak imiona przypisywane Najwyższemu są w powieści związane z wieloma religiami; gdy Gibril ubolewa, że w jego snach „On nigdy się nie pojawia, ten, który trzymał się z daleka, kiedy umierałem”, określa Go: „Ten, o którego tu naprawdę chodzi, Allah Iszwar Bóg”. Ale zanim wspomniany został Najwyższy, w powieści padło imię brzmiące podobnie jak Allah, imię, które dociera do Gibрила w słowach przekleństwa rzuconego nań przez ducha dawnej kochanki porzuconej dla nowej... Oto po jej przekleństwie posłyszał „wersety w języku, którego nie rozumiał, języku, który cały był wypełniony chropowatymi i syczącymi dźwiękami. Wydawało mu się, że wyłowił kilkakrotnie powtarzane imię Al-Lat... a zresztą, może nie...”

A może tak? Autor po raz pierwszy sygnalizuje tu znaną z arabskich bajek formułę, którą następnie poprzedza kilka ze swych opowieści, najpierw opis dzieciństwa Czamczy, gdzie rozpoczyna: „Pewnego razu – było tak, a może nie było, jak to zwykle bywa w starych bajkach, zdarzyło się albo się nie zdarzyło – być może tak, być może nie”. Zastosowanie tej formuły do powtórzeń imienia Al-Lat otwiera na niejasną sferę, w której bajki czy sny splatają się z opowieściami tradycji religijnej. Tu przybliżamy się wreszcie do najbardziej drażliwej kwestii Szatańskich wersetów, do wersetów, uznanych przez islam za szatańskie. Nie chodzi przy tym o niejasność objawienia z nimi związanego, które już analizowaliśmy; teraz interesuje nas ich treść.

Arabskie brzmienie wersetów pojawiło się, przypomnijmy, w obłądnych rojeniach Gibрила. W przekładzie pojawiają się dwa razy, nie do końca tak samo. Przytoczmy pierwszą formułę, którą w powieści wypowiada Mahound: „Czy pomyśleliście o Lat i Uzzie oraz Manat, tej trzeciej, tej innej? Są one wysoko postawionymi ptakami i ich wstawiennictwo jest naprawdę pożądaną”. Trzy powyższe imiona wskazują trzy bóstwa kobiece, najbardziej

czczone w Mekce przed uznaniem Allaha za jedynego Boga. W opowieści Mahound słyszymy o nich więcej. Uzza to „bogini piękna i miłości”, Manat „ma w swojej pieczy przeznaczenie – jest Losem”. A wreszcie „najwyższa z całej trójki, bogini matka, którą Grecy nazywali Lato”. W Mekce nosi najczęściej imię „Al-Lat. Sama bogini. Nawet jej imię czyni ją przeciwieństwem Allaha i równą mu boginię. Lat wszechmocna”.

Szatańskie wersety nie widzą przeciwieństwa między trzema postaciami boskości kobiecej, a jednym i jedynym Allahem. Ale – co kryje się za „szatańską” wizją? Tradycja pozaislamska głosi, że Mahomet początkowo gotów był uznać czczone wcześniej boginie, by pozyskać oddanych im czcicieli z Mekki; nie chodziło przy tym o przyjęcie ich boskości, tylko raczej o przyznanie, że są może rodzajem aniołów, obok innych, uznanych w islamie, czy może są córkami Boga. W opowieści Mahound ukazane to zostało jako zgoda ze strony Proroka na kompromis, jaki zaproponował miejski naczelnik, zainteresowany zachowaniem świątyń kobiecych bogiń. Ale pod wpływem oporu swych uczniów Mahound uznał, umocniony kolejnym objawieniem archanioła, że nie można pogodzić oddania się Allahowi z uznaniem innych boskości. Nowe wersety, które miały pojawić się w Koranie zamiast odrzuconej wersji szatańskiej, oddane są w powieści w przekładzie: „Czy On ma mieć córki, a wy synów? Niezły byłby to podział! Są to jedynie imiona, o których śniliście, wy i wasi ojcowie. Allah nie nadaje im żadnej władzy”.

Dotychczasowy przebieg akcji jest oznaką wahania Mahounda, gotowością przyjęcia kompromisu, który w końcu jednak uznał za pokuszenie. Nasz autor widzi tu ludzką stronę Proroka; dlatego rozpoczyna tę część opowieści wspomnianym rozważaniem o sensie „powątpiewania”. Zauważmy wszakże: powątpiewanie i pokuszenie Mahounda mogą być dla wyznawców islamu trudne do przyjęcia, skoro prowadzą na tle „szatańskich wersetów” do ulegnięcia im, niezgodnego z „Uległością”, jak określa siebie sam islam jako „nowa religia” – w obliczu jednego Boga. Jakby muzułmanie nie chcieli, by Prorok ustępował Jezusowi, który zgodnie z Ewangelią był także wystawiony na pokuszenie, jednakże bez ulegania kuszącemu duchowi...

Trudniejsze do przyjęcia mogły być dla wyznawców islamu inne jeszcze partie Szatańskich wersetów. I nie myślę tutaj o jednej z postaci, nazwanej „Imam”, żywo przypominającej osławionego Chomeiniego; także nie o „szatańskim pomysle” częściowo fikcyjnego Salmana, który jako spisujący treść objawień archanioła próbował sprawdzić, czy Mahound zauważy zmiany, jakie do nich wprowadzał, i w końcu został na tym przychwycony.

Nie zatrzymuję się przy jego spostrzeżeniu, że Bóg objawiający się przez Mahounda „bardzo przypomina buchaltera”, co zniszczyło jego wiarę, gdy sobie uświadomił, iż „oczywiście sam Mohound był kiedyś buchalterem”. Pomijam ideę fikcyjnej postaci satyrycznego poety Baala, który chroniąc się przed prześladowaniem ze strony Mahounda skrył się w domu publicznym w Mekce, gdzie gotów był uznać usługujące mu dziewczyny za swoje żony, ponadto nadając im – imiona żon Proroka... Nie, nie tyle to wszystko było pod względem teologicznym najbardziej bulwersujące, ile te części powieści, w których Al-Lat jako najwyższe bóstwo kobiece jawiło się w roli równorzędnej wobec Allaha, kwestionując w islamskim obrazie Boga jego „prerażającą pojedynczość”.

Al-Lat ma w powieści przemożne rzeczniczki. Jako pierwszą wspomnijmy Hind, żonę naczelnika Mekki, która nie popiera proponowanego kompromisu. Wyznaje Mahoundowi: „Jeżeli ty jesteś za Allahem, ja jestem za Al-Lat. Ona nie ufa twojemu Bogu, kiedy on ją uznaje. Jej sprzeciw wobec niego jest nieprzejednany, nieodwołalny i wszechogarniający (...) Twój Bóg to protekcyjnalny łaskawy władca. Al-Lat nie ma najmniejszej ochoty na to, by być jego córką. Jest mu równa”. Gdy następnie Mahound odwołuje szatańskie wersety, obstając przy jednym Allahu, Hind nie tylko pozostaje z Al-Lat, ale wpływa na dalszy bieg akcji. Po swym powrocie do żony, Mahound stwierdza, że jest martwa. Narrator podsuwa myśl, że spotkał go „pewien rodzaj kary. Rodzaj zemsty – czyjej?”. Dopowiedzenie przynoszą późniejsze zdarzenia. Wprawdzie po latach, gdy Mahound powrócił z Medyny do Mekki, także Hind poczuła się zmuszona do przyjęcia Boga w duchu uległości-islam... Gdy jednak „doszła ją wiadomość o zniszczeniu świątyni Al-Lat”, zamknęła się, by studiować „potajemnie okultystyczne teksty”. Pewnego razu przepowiedziała, że nadszedł wreszcie „dzień godny świętowania”. Zapowiedziała: „Mogę nie być władna, aby odwrócić bieg historii, ale przynajmniej zemsta jest słodka”. Krótco potem przyszła wiadomość, że Prorok śmiertelnie zachorował. Gdy w chwili śmierci spodziewał się zobaczyć anioła śmierci, wtedy „straszny, słodki kobiecy głos odpowiada: Nie posłańcze Al-Laha, to nie Azrail”. Chory domyślił się, że spotkał Al-Lat i że jego śmierć będzie jej zemstą. Mimo wszystko jego ostatnie słowa brzmiały: „Jednakowoż dziękuję Ci, o Al-Lat, za ten dar”.

Osobliwe pogodzenie w chwili śmierci pozostaje niejasne, dwuznaczne... Na czym miałyby polegać więź Allaha z Al-Lat? Bogini objawia się jako mściwa, nie tylko tutaj, ale także w innej opowieści, gdzie w chwili śmierci

znenawidzonej władczyni imieniem Aisza „wylatuje z niej” ogromna czarna postać, „Al-Lat”. Gibrilowi, który śni to zdarzenie, wydaje się, że zdołał ją pokonać, po walce widzi bowiem: „oto leży, bezgłowy czarny anioł”. A wtedy zaczyna śnić opowieść o innej Aiszy, tej od motyli, a jej postawa „sugeruje, że bóstwo, które on, Gibril, bezskutecznie próbował zabić, może równie dobrze być bogiem miłości, jak i zemsty”. Widzimy: dwuznaczność Al-Lat objawia się nie tylko w jej anielsko-boskich atrybutach, ale także w niejasności, czy reprezentuje bóstwo zemsty, czy miłości. Ciemne skojarzenia potęgują się, gdy w opisie Szejtana śpiewającego z „diabelskiego dna swoje łagodne, kuszące wersety”, dochodzą nowe postacie: „Jego córki wspierały go diabelskim chórkami, o tak, wszystkie trzy, Lat Manat Uzza, pozbawione matki dziewczyny śmiejące się razem ze swoim Abba”.

Czy więc Al-Lat objawia boskość i miłość, czy raczej diabelskość i zemstę, pałającą nienawiścią? Szatańskie wersety prowadzą pod adresem Al-Lat do pytań, które można by postawić i wobec Allaha, Boga... Najmocniejsze stwierdzenie pada w powieści na tle wydarzeń w Indiach, gdzie z jednej strony „dokonano rzezi muzułmanów”, a z drugiej strony pojawia się agresywna reakcja „rozwścieczonych fundamentalistów islamskich”. I bolesny komentarz jednej z postaci brzmi: wiara religijna, która zawiera w sobie najwyższe aspiracje ludzkości, stała się „sługą najniższych instynktów”, a Bóg „stał się ucieleśnieniem Zła”.

Droga pojednania

Co jest ostatnim słowem powieści Rushdiego? Wskazanie miłości jako silniejszej, czy nienawiści? Czy splot antropologiczno-teologicznych refleksji daje się rozplątać, rozjaśnić? A skoro bogactwo Szatańskich wersetów objawia się w misternym utkaniu wielu wątków w jedną tkaninę, warto, byśmy poszukiwali na zakończenie źródła jedności. Przywołajmy tutaj innego pisarza, który wyraźnie towarzyszy brytyjsko-hinduskiemu autorowi w jego powieści, gdzie dwukrotnie go wspomina: amerykańsko-rosyjskiego Vladimira Nabokova. Raz odwołuje się do jego Obrony Łużyna, drugim razem przywołuje rzekomy cytat z Błędego ognia, którego w powieści po prostu nie ma; to Rushdie mu przypada więc autorstwo zagadkowej frazy: „Bóg czyni nas głodnymi, Szatan spragnionymi”. A skoro pisarz z przekorą, godną w istocie Nabokova, wskazuje na powiązanie z Błędym ogniem, zacytujmy z poematu, tworzącego

kanwę tej powieści, kluczowe słowa, wskazujące trop i nam: „Lecz nagle mnie olśniło: prawdziwym przesłaniem,/Stałym tematem w owym kontrapunkcie głosów,/Jest to: tekstura, nie tekst; nie sen ale sposób,/W jaki ze zderzeń zdarzeń tworzy swoją gęstość/Jawa; i nie nietrwały nonsens lecz sieć sensu”. Dodajmy, że autor polskiego przekładu poematu z Błedego ognia znalazł się osobiście, w gronie Z. Herberta i Cz. Miłosza, w samym tekście Szatańskich wersetów, wymieniony po starszych poetach w gronie „«młodszych facetów», takich jak Barańczak”...

Po drodze śladem powieściowych protagonistów utworu Rushdiego doszliśmy do punktu, który wskazał „małe zbawcze zwycięstwo miłości”. Co było dalej? Obie drogi – Gibrila i Czamczy – poprowadziły w różne strony. Pierwszemu nie dopisało szczęście, mimo przewagi, jaką przez długi czas wydawał się mieć nad drugim. Owszem, dane mu było doświadczyć miłości, jednak od początku powieści dopadło go, przypomnijmy, przekleństwo – w imię Al-Lat... I w końcu nieszczęście się dopełniło.

Paradoksalnie, tragiczne wydarzenia na końcu powieści wynikły z kolejnej ludzkiej próby, żeby dać ostatnią szansę zwycięstwa – miłości. W Bombaju, do którego Gibril wrócił po swym opuszczeniu Allelui, znalazła się również ona, w drodze na ponowną próbę zdobycia Mont Everestu. Przypadkowo spotkał ją producent filmów Gibrila, wcześniej usiłujący bezskutecznie zalecać się do niej, i przysłała mu myśl, aby doprowadzić do pojednania kochanków. Ale gdy zjawił się u Gibrila z Allelują, aktorowi przypomniały się „małe szatańskie wersety”, którymi nasączył go Czamcza, pobudzając aż do szaleństwa jego zazdrość. W nawrocie szału zobaczył w producencie kochanka Allelui, na miejscu go zabijając. A co do kochanki, później opowiadał Czamczy, że nie był zdolny jej zabić, bo ciągle ją kochał. Ale – zobaczył znowu ducha dawnej kochanki, która przeklęła ich oboje; dlatego był pewien, iż ona właśnie zepchnęła w dół Alleluję, może wtedy, gdy wskazywał na nią palcem, a może gdy ją tym palcem poruszył... I to nie wszystko. Czamcza, który także znalazł się w Bombaju, dowiedział się z gazet o podwójnej śmierci, połączonej ze zniknięciem Gibrila. Krótko potem Gibril odwiedził go. Najpierw opowiedział mu nieskładnie o swych odczuciach i zdarzeniach, a gdy w jego ręce pojawił się rewolwer, Czamcza był przekonany, że „umrze za swoje wersety, ale nie potrafił się zdobyć na uznanie wyroku śmierci za niesprawiedliwy”. Koniec okazał się znowu zaskakujący. Po stwierdzeniu Gibrila, że nie może „znieść” niekończących się nawrotów obłędu, nagle, zanim Czamcza zdążył zareagować, „włożył do ust lufę pistoletu; nacisnął spust; był wolny”.

Zwolniony spust uwolnił od obłądu... Ten, któremu w dramacie zazdrości pisana była rola Otella, poszedł śladem szekspirowskiego bohatera, zadając sobie śmierć, uśmierciwszy wcześniej ukochaną. Pozostaje do rozwikłania „zagadka Jagona”. Czamcza był świadom zła, które popełnił wobec uśmierconych: ostatnie zdarzenia „były czarnymi kwiatami wyrosłymi z nasion, które zasadził wiele lat temu”. Wcześniej, gdy został uratowany z ognia przez Gibrila, „wierzył, naiwnie jak się okazało”, że tragiczne zdarzenia z ich udziałem „oczyściły ich obu; że te diabły zostały pochłonięte przez płomień; i że miłość potrafiła wydobyć z niego siłę człowieczeństwa równą sile nienawiści”. Jednakże dalsze wydarzenia pokazały, że „nic nie jest wieczne. Jak się okazało, kuracja nie była skuteczna”.

Autor nie zostawia swego bohatera w tym miejscu. W odróżnieniu od Gibrila, którego droga życia została przerwana, skoro nie dawała nadziei, Czamcza przeżył istotną przemianę. Kiedy? Szło to w parze ze stopniowym uwalnianiem się od nienawiści. Najżywiej odczuwał ją w odniesieniu do Gibrila, przynajmniej w okresie poprzedzającym uratowanie z ognia. Jednakże wtedy już przeczuwał, że jego nienawiść ukrywa zranioną miłość i że w relacji do Gibrila doszły do głosu rozczarowania dotychczasowymi postaciami jego miłości. Gdy już ich drogi po katastrofie rozeszły się, żywił do drugiego wyratowanego wielką urazę, że mu nie pomógł; ale po swym powrocie do ludzkiej postaci tak bardzo chciał wrócić do swego dawnego życia, że myślał o sobie: „Tak: jego obsesyjny wstręt do Gibrila, jego marzenie o obmyśleniu jakiejś okrutnej i stosownej zemsty, te rzeczy należały do przeszłości i były aspektami pewnej rzeczywistości nie do pogodzenia z jego żarliwym powrotem do normalnego życia”.

Wtedy jeszcze Czamcza nie zdawał sobie sprawy z tego, co sugerował uprzednio już autor: iż „uczłowieczenie”, uwolnienie jego wyglądu od elementów diabelskich, dokonało się „poprzez przerażającą koncentrację własnej nienawiści”... Dlatego „żył dotąd w stanie złudnego spokoju, że zmiana, jaka w nim nastąpiła, jest nieodwracalna”. Wystarczyło ponowne widzenie Gibrila, by dotarło do Czamczy, że ten aktor jest „sumą jego własnych klęsk”. Oto bowiem w swej miłości do kultury angielskiej i do Londynu Czamcza musiał uznać, że został odrzucony, podczas gdy oblegany przez londyńskich wielbicieli Gibril „nie dostrzega żadnej wartości w świecie, który w tej chwili pada mu do nóg”. I Czamczę bolała „niesprawiedliwość tego podziału”, skoro to, co sam umiłował najbardziej, odwróciło się od niego, by upaść – „przed godnym pogardy rywalem”.

Rozczarowanie Saladyna Czamczy w miłości do angielskości przybliżało do korzeni jego nienawiści. Ważne było zrozumienie, że miłość, jaką żywił do angielskiej żony, żyła złudzeniem. Ona pierwsza, jej imię brzmiało Pamela, to rozpoznała: Czamcza „nie ją kocha”, tylko jej angielski głos: „ten krzepki, rumiany głos starej wymarzonej Anglii, w której tak rozpaczliwie chciał zamieszkać”. O ile przy tym Pamela nie cierpiała swej angielskości, on nieustannie o nią zabiegał. Innymi słowy: „Było to małżeństwo sprzecznych celów, każde z nich dążyło właśnie ku tej rzeczy, od której drugie uciekało”. Czamcza pojął to później, gdy żona znalazła sobie kochanka w jego przyjacielu. Gdy wrócił do swej ludzkiej postaci, przestało mu na niej zależeć; rzut oka na nią uświadomił mu, „że całkiem po prostu odkochał się i nie chciałby jej odzyskać”. I znaczące było, że w jego myślach i snach zaczęły się pojawiać dwie inne kobiety, nie Angielki, tylko Hinduski. Właśnie dla młodszej z nich odważył się wejść w ogień, by ją ratować. Ona jednak była związana z innym. Pozostała mu druga, żyjąca w Bombaju. Już wcześniej usiłowała go przekonać, by wrócił do rodzinnego kraju, bo w Anglii nie znalazł tego, czego szukał. On uciekł od niej, urażony najbardziej tym, że we wspólnych odwiedzinach u jego ojca, z którym po latach próbował się pojednać, ona stanęła po stronie ojca, nie syna. Rozumiała, że poza synowskim odrzuceniem ojca kryła się niezaspokojona miłość: obrócona w nienawiść, odrzucająca z ojcem ojczystą tradycję, szukająca zastąpienia w innej miłości – nowej ojczyzny. Dopiero następne rozczarowania miały doprowadzić syna do pojednania – z ojcem i z ojczystym dziedzictwem.

Uratowanie z ognia jednak odnowiło Czamczę. Nie tylko wypaliło nienawiść do Gibrila, lecz ukazało, że dla miłości, dla której wszedł w ogień, gotów był oddać wszystko; zatem ujrzał, przypomnijmy: „miłość potrafiła wydobyć z niego siłę człowieczeństwa równą nienawiści”. Czy tylko „równą”? Widzieliśmy, że także gotowy był oddać życie jako sprawiedliwą cenę za swą wcześniejszą nienawiść. A przede wszystkim: stworzył się na jeszcze głębszą miłość, ostatecznie jednając się z ojcem. Oto co przeżył u jego łoża w rodzinnym Bombaju, do którego wezwano go w obliczu śmiertelnej choroby rodzica: „Zakochać się we własnym ojcu po długich latach gniewu było pięknym i przejmującym uczuciem”. Umożliwiły to nie tylko przejścia syna, lecz i przemiana ojca: śmiertelna choroba odarła go „z jego wad, z wszystkiego tego, co było w nim apodyktyczne, tyrańskie i okrutne, tak że ten przewrotny, a w rzeczywistości kochający i wspaniały mężczyzna znowu był w centrum uwagi”. W ich wzajemnej

relacji zagościła czułość. Ostatnie chwile syn spędził przy umierającym i był świadkiem ojcowskiej śmierci – z otwartymi oczami. Pomyślał: „On mnie uczy, jak należy umierać. Nie odwraca od niej oczu, ale patrzy jej prosto w twarz”. I ważne było dla syna, że w ciągu całego konania ojciec „nie wezwał imienia Boga”.

Miłość odkryta ponownie w relacji do ojca pojednała syna także z kobietą, która wcześniej stanęła po stronie ojca. W końcu zrozumiał, że stała po jego stronie... Znalazła się przy nim, gdy przeżył ostatni szok i nawrót przeszłości w samobójczej śmierci Gibrila. Jej bliskość uświadomiła mu: „Wyglądało na to, że pomimo swoich wszystkich złych uczynków, słabości, winy – pomimo swojego człowieczeństwa – dostał jeszcze jedną szansę. Nie było niczego takiego jak uśmiech fortuny, to oczywiste. Była po prostu czyjaś ręka dotykająca jego łokcia”. Na zaproszenie bliskiej osoby, by poszedł za nią, odpowiedział: „Idę”.

To zakończenie powieści nie kończy drogi, lecz otwiera nowy jej etap. Ostatnie słowa wyrażają miłość, unikają wzywania Boga... Czy ludzkie pojednanie wystarcza, by dalsza droga biegła spokojnie? Nowej umiłowanej Czamczy nie zajmowała religia; podobnie jak u Pameli, również u hinduskiej Zini przeważało zainteresowanie humanitarnym angażowaniem się w kwestie sprawiedliwości społecznej, u tej ostatniej pod emblematami komunistycznymi. Włączając się za jej namową w akcję poparcia dla „integracji narodu”, Saladyn „był co nieco wytrącony z równowagi tempem kolejnych zmian w jego życiu. Ja, biorący udział w manifestacji KPIM. Cuda nigdy nie ustaną. Muszę być poważnie zakochany”. Kontekst umożliwia rozwikłanie skrótu: „Komunistyczna Partia Indii (Marksistowska)”...

Czujemy nagle, blisko końca, niemałe rozczarowanie. Czy zakończenie, znów otwarte na ludzką miłość, oznacza rzeczywiście nową nadzieję, skoro miłość unikająca Boga jawi się tu jako pokusa odrzucenia Go – w idei komunizmu? Czy teologiczna warstwa powieści, którą staraliśmy się śledzić, ustępuje głębiej antropologii, wprawdzie głoszącej miłość, ale niepewnej co do jej ostatecznego sensu czy gorzej: „pewnej” po komunistycznemu? Wszystko wskazuje na to, że pisarz odmawia stanięcia po stronie jakiegokolwiek z postaci, które kreuje. Zachowuje wobec wszystkich ironiczny, krytyczny dystans, obecny w tonacji jego narracji. Poważniejsze tony nie trwają długo, przechodzą w lżejsze. Co pozostaje? Czy doprawdy, zgodnie ze słowami Nabokova, „prawdziwym przesłaniem,/Stałym tematem w owym kontra-punkcie głosów,/Jest to: tekstura, nie tekst”?

Jeśli powracającymi motywami tekstu powieści są miłość i nienawiść, ich odmiany ludzkie i religijne, także wzajemne przejścia między nimi, to nie sposób uniknąć pytań o związek miłości z ideą Boga. Pytania wykraczają poza Szatańskie wersety. Każda z postaci miłości, jakie tu się pojawiają, niesie możliwość odwrotną – nienawiści. Także najwyższe bóstwo kobiece, równorzędne wobec Allaha, pała nienawiścią... Takie bóstwo nie wystarcza, by przewyciężyć „prerażającą pojedynczość” jednego Boga. Czy to znaczy, że Jego jedności nie da się pogodzić z wielością, że wspólnotą miłości, zdolną przełamać ostatecznie widmo nienawiści? Ze wspólnotą miłości, w której osoby ludzkie mogą trwale się pojednać, i to nie tylko w śmierci jednej z nich, jak ojciec i syn w powieści, ale także w życiu?

Na wzór filmów teologicznych, Szatańskie wersety proponują nowy rodzaj powieści – teologicznej, której protagoniści zmagają się z ideą Boga. Zmagania toczą się – krążą – między jednym Bogiem Allahem a różnymi postaciami boskości. Budzą wiele pytań i stanowią wyzwanie dla różnych istniejących religii. Jednakże paleta religijna zostawia z boku, poza drobnymi wyjątkami, chrześcijaństwo. Wyzwaniu tej powieści brakuje przeto zwłaszcza jednego: Jednego, w którym Ojciec i Syn odwiecznie jednoczą się w Miłości...

Jacek Bolewski SJ

Norman MacCaig

Przerwa w podróży

Zając, którego przejechaliśmy,
podrygiwał na szosie
na sprężynującej krzywej
kręgosłupa.

Łany zboża oddychały w mroku.
Jechaliśmy przez mrok i oddychające pola, z jednego
Ważnego miejsca do drugiego.

Norman MacCaig (1910–1996) – angielskojęzyczny poeta szkocki. W latach 40. związany z anty-audenowskim ugrupowaniem Nowa Apokalipsa. Ukończył studia z zakresu filologii klasycznej na Edinburgh University. Autor kilkunastu zbiorów wierszy. W 1984 uhonorowany Queen's Gold Medal for Poetry. W 1990 ukazał się tom *Collected Poems*, zawierający około siedemset utworów. W Polsce znany od lat z wielu publikacji prasowych w przekładzie Andrzeja Szuby. Ten sam tłumacz, w 2004, ogłosił drukiem jego *Wiersze wybrane*, obejmujące ponad sto utworów i stanowiące przegląd całej poetyckiej spuścizny autora.

Złamaliśmy kark zajęcowi
i uczyniliśmy to miejsce, na chwilę,
najważniejszym ze wszystkich,
bo tam przecięliśmy cięciwę
i przetrąciliśmy łuk,
co strzelał przez tak wiele
łanów zbóż i mroków.

Zostawiliśmy go w tym krajobrazie.
On zostawił nas w drugim.

Brechtowski blues

Spójrz na mnie – niespełniony św. Sebastian,
który na próżno przywołuje
roje tkwiących wokół
drgających strzał.

Cóż uczyniłem,
by zasłużyć na taki spokój?
Wszędzie wokół widzę cierpienie.
Cóż uczyniłem,
że mi go oszczędzono?

Czyżbym nie był grzesznikiem?
Czy nie kwalifikuję się na ofiarę
tragedii i niesprawiedliwości?

Najgorzej, kiedy cię ignorują.
Przydarzyło mi się żyć w czasach,
kiedy szczęściem jest
nie mieć bliźnich.

Mówi syn Laokoona

Wyglądasz bardzo widowiskowo,
koneserzy przez stulecia
będą cię podziwiali.
Zawsze przesadzałeś z prawdą, ty głupcze,
patrz, co sprowadziła na ciebie –
a Troja i tak upadnie.

A co ze mną, ze mną.
który nie miałem pojęcia o prawdzie,
któremu nie dane będzie cieszyć się
pochlebstwami zła,
a wszystko przez te ohydne zwoje,
miażdżące mi żebra.

Na przystani w Kinlochbervie

Gwiazdy gasną jedna po drugiej,
jakby sikora wielka jak świat
wydziobywała je z torby nieba.

Wiem, że to śmieszny obraz.

Zabierzcie szare światło.
Dajcie spiżowe tarcze lata
albo wrzątek deszczu ze śniegiem.

Mój rozum walczy sam z sobą.

Zbliżająca się łódź rybacka
jest tajemnicą zrodzoną
z innej tajemnicy.

Chcę znać tę najpierwszą.

Wszystko, podobnie jak ja, jest
Oddaleniem. Chciałbym jednym pstryknięciem
móc zmniejszyć ten dystans.

Chcę najbliższej bliskości.
Chcę granic dla własnego rozumu.
Chcę, aby świat pasował na mnie jak kaftan bezpieczeństwa.

Dwóch naraz

Wirtuoz z Culag Bar daje
popis skrzypcowej zręczności.

Skąd wiem? Jestem w Edynburgu.

Na molo, brzuchy spalonych słońcem turystów
wylewają się z nieprawdopodobnych szortów.

Skąd wiem? Jestem w Edynburgu.

Jakiś człowiek łowi pstrąga w strumieniu
Veyatie. Ryba miota się w szale.

I jestem w Edynburgu.

Albo tak mówię. Jak łatwo być
dwoma naraz.

Jeden uśmiechnięty, pije kawę
w Leamington Terrace w Edynburgu.

Drugi przekłada karty wspomnień,
a w talii same asy, same asy.

Norman MacCaig
przełożył Andrzej Szuba

Polski PEN Club

Krakowskie Przedmieście 87/89, 00-079 Warszawa, tel./fax.: (48 22) 826 57 84, tel.: (48 22) 828 28 23

e-mail: penclub@penclub.com.pl

<http://www.penclub.com>

Prezes-Władysław Bartoszewski, *Wiceprezesi*- Ewa Lipska, Adam Pomorski, *Sekretarz*-Barbara Miecznicka, *Skarbnik*-Iwona Smolka
Członkowie Zarządu: Marek, Krzysztof Dorus, Jerzy Jarzębski, Ireneusz Krzemiński, Irena Lewandowska, Janusz Maciejewski, Anna Nasilowska, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Kazimierz Orłoś, Jerzy Pomianowski, Andrzej Sieroszewski, Barbara Skarga, Andrzej Werner.

Pan
Krzysztof Myszkowski
Redaktor Naczelny
„Kwartalnik Artystyczny”

Szanowny Panie,

W związku z jubileuszem piętnastolecia „Kwartalnika Artystycznego” pragnę w imieniu własnym, Zarządu i całego środowiska Polskiego PEN Clubu złożyć na Pana ręce serdeczne powinszowania i wyrazić czytelnicznej wdzięczności dla zespołu redakcyjnego pisma.

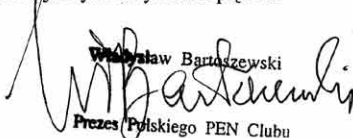
Przez lat piętnaście redakcja w różnym składzie, lecz pod Pańskim niezmiennym kierownictwem, uczyniła „Kwartalnik” jednym z paru najznakomitszych i najpoczytniejszych czasopism literackich w Polsce. „Kwartalnik” nie tylko przetrwał, lecz osiągnął świetność jako jeden z bardzo niewielu tytułów najwyższej rangi, zrodzonych na fali polskiego czasopiśmiennictwa, która tak obficie wezbrała w ośrodkach pozastołecznych w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych.

Krag autorów, publikujących na łamach pisma, a wśród nich najpierwsze nazwiska współczesnej literatury polskiej, klasa pisarska tekstów, dbałość o zapewnienie ciągłości kultury rodzimej – budzić muszą najszczerzy szacunek. Tym większa to dla nas w Polskim PEN Clubie satysfakcja, że jedno z głównych ogólnopolskich czasopism kulturalnych powstało i rozwinęło się w województwie kujawsko-pomorskim, między innymi dzięki mądrości władz samorządowych Bydgoszczy i Torunia, w mieście, które od dawna łączy racjonalne tradycje pracy u podstaw, tradycje handlowo-przemysłowe, z pięknie urzeczywistnianymi ambicjami naukowymi i artystycznymi – w życiu muzycznym, plastycznym czy literackim.

Odkąd przed osiemdziesięciu laty z górą Stefan Żeromski powołał do życia Polski Klub Literacki PEN, taka właśnie formuła kultury polskiej, wolnej od ciasnoty stołecznego centralizmu – była przedmiotem naszej troski i nadziei. Cieszymy się, że właśnie Wy, twórcy i redaktorzy „Kwartalnika Artystycznego”, urzeczywistniacie tę wizję. Oby częściej i w innych ośrodkach wysiłek taki wieńczyło takie powodzenie!

Ad multos annos, Drodzy Przyjaciele!

Od jubileuszu półwiecza dzieli Was już tylko trzydzieści pięć lat!

Władysław Bartoszewski

Prezes Polskiego PEN Clubu

Warszawa, 15 października 2008

POLSKI PEN CLUB
Krakowskie Przedmieście 87/89
00-079 Warszawa
tel./fax (48 22) 826 57 84

V A R I A

Micha³ G³owiński

Małe szkice

Kicz znośny, kicz nieznośny

Kicz nieustannie towarzyszy naszemu życiu. W najróżniejszych postaciach, w tekście piosenki, we wpadającej w ucho melodii, w obrazku tak ślicznym i słodkim, że aż dziwić się należy, że ktoś zdołał go wyprodukować. Jednakże przeciw temu rodzajowi kiczu protestów bym nie zgłaszał, szkód on nie przynosi, nie wadzi nikomu. Ostatecznie nawet znawca sztuk prawdziwy i wymagający wysłucha niekiedy z przyjemnością Czardasza Montiego lub jakichś innych melodyjek, choćby pieśni neapolitańskich, którymi niegdyś z taką ochotą popisywali się sławni włoscy tenorzy, albo z rozrzewnieniem popatrzy na sielski biedermeierowski widoczek, a zdarza się, że i trochę czasu poświęci na lekturę romansu sentymentalnego bądź awanturniczego. Groźny i odpychający jest kicz innego typu, taki, który udaje powagę, pyszni się aspiracjami, niby podejmuje wielkie sprawy i wielkie tematy. Nie chronią się przed nim nawet takie wydarzenia jak Zagłada i Powstanie Warszawskie. Pucowanie tego, co straszne, na wysoki połysk, tak by zainteresowało i łatwo poruszyło odbiorcę, wydaje mi się i moralnym, i artystycznym skandalem. Podobnie odpychający jest kicz religijny, przy czym chodzi już nie tylko o święte wizerunki i sceny, seryjnie produkowane przez pacykarzy, ale też o tandetne kantaty i oratoria, podszywające się pod wielkość, wytwarzane w ostatnich latach przez autorów piosenek, czy w ogólności muzyki użytkowej. Mam nadzieję, że jasno wyłożyłem, z jakich powodów te dwie odmiany kiczu traktowałbym na różne sposoby. Pierwszy nie ma być czymś innym i lepszym niż jest, drugi polega na uzurpacji i udawaniu, a może nawet sprowadza się do oszustwa.

Siostry

Czy zdawały sobie sprawę, że mają genialnych braci? Zapewne od pewnego momentu tak. W przypadku Zygmunta F. jeszcze za jego niekrótkiego życia,

w przypadku Franza K. niewątpliwie dopiero po jego gruźliczej śmierci. Kiedy nastały potworne czasy, pierwszemu – ciężko schorowanemu, zmęczonemu, u kresu sił – udało się uciec do Londynu, by tam szybko pożegnać się ze światem, drugi od kilkunastu lat nie żył. Siostry zostały w miejscach, w których przyszło im spędzać dotychczasowe życie. Nie były i być nie mogły świadome, że skończy się ono w tak straszny sposób. Nie miały geniuszu swych braci, nie były wizjonerkami, istniały w swej codzienności, to ona niewątpliwie je absorbowała, przyciągały ich uwagę składające się nań mniej lub bardziej doniosłe i warte zapamiętania wydarzenia, troski, radości. Choć żyły na terenie, niegdyś należącym do habsburskiego cesarstwa, niewiele zapewne je łączyło. Być może siostry Zygmunta F. wiedziały, że istniał pisarz Franz K., być może siostry Franza K. słyszały o Zygmuncie F., sławnym psychologu i lekarzu. To wszystko. Połączył je los, ale tego nie mogły się spodziewać. Te skromne kobiety, wyróżnione genialnymi braćmi, wygnane zostały z miast, które uznawały za swoją przestrzeń oswojoną, przyjazną, oczywistą – i zagnane do gazu.

Riksza

W jednym z ostatnich numerów „Tygodnika Powszechnego” opublikowano zdjęcie z początku XX wieku z Indii, przedstawiające wytwornie prezentującego się młodego białego mężczyznę, zapewne Anglika, odzianego według wzorów ówczesnej elegancji kolonialnej, rozpartego na rikszy, ciągniętej przez zaprzęgniętego do niej tubylca w stroju nader oszczędnym. Fotografia, niewątpliwie ciekawy i wartościowy dokument, ukazuje scenę dzisiaj nie do wyobrażenia, traktowanie człowieka jako zwierzęcia pociągowego jest przecież potworne, upokarzające, nieludzkie. Ze znakomitego eseju Wojciecha Nowickiego, jaki jej towarzyszy, dowiaduję się, że sytuacja była inscenizowana w atelier, nie zmienia to jednak mojej negatywnej reakcji, bo bez wątplenia sam fakt, że taką sytuację wymyślono i zaaranżowano, mówi wiele o ówczesnym świecie i sposobie myślenia. Nigdy nie jechałem rikszą, łączą mnie jednak z tym środkiem lokomocji pewne wspomnienia. Pamiętam, że po warszawskim getcie kursowały riksze. Nie wiem, ile ich funkcjonowało, w każdym razie bez trudu można było je dostrzec. Nie wiem, kto z nich korzystał, zapewne gettowi dorobkiewiczze. Wyglądały inaczej niż ta, w której do pamiątkowego zdjęcia pozuje przed wiekiem wytworny Anglik

w koloniach. Zasada była jednak podobna: zaprzęgnięty człowiek stawał się istotą tak traktowaną, jakby był koniem.

Ludzie z rogami

Opowiedział mi ktoś tę historię przed laty, zapamiętałem ją – i teraz do niej powracam, bo wydaje mi się znacząca. Żołnierza carskiej armii, wywodzącego się z plemienia żyjącego na najdalszej północy, gdzie wieczne lody a mróz ustępuje tylko na krótko, przydzielono do oddziału stacjonującego w przywiślańskim kraju. Żołnierz widział niewiele poza swoją rodzinną wioską i otaczającą ją tundrą, a wiedział jeszcze mniej, ale świata był ciekaw, z pasją przyglądał się temu, co postrzegał wokół, wszystko wydawało mu się dziwne, egzotyczne, trudne do pojęcia – i budowle, i zwyczaje, a także postacie, noszące wprawdzie stroje rozmaite, ale zawsze osobliwe. Niepokoiło go to, że nie natrafił na ludzi, którzy mają – jak go zapewniano – rogi, a tacy żyją w Europie, a więc również tutaj, w krainie położonej nad Wisłą. Jest ich podobno dużo, kręcą się wszędzie, coś między sobą szwargoczą, i nazywają się Żydzi. Był wielce rozzarowany, że nikogo takiego nie spotkał, a bardzo ten dziw natury chciał ujrzeć! Kiedy zwierzył się ze swojego kłopotu kolegom, ci go najpierw wyśmiali, potem zaś mu wytłumaczyli, że Żydzi to wprawdzie gorszy gatunek ludzi niż inni, ale rogów jednak nie mają. Po usłyszeniu tej wiadomości, poczuł się głęboko zawiedziony i rozżalony. Całą siłą swej prostej duszy pragnął takiego stworza zobaczyć.

Zaświadczenie

Rufin uchodził za człowieka może niezbyt błyskotliwego, ale rozważnego i spokojnego, takiego, co to nie daje upustu swym emocjom z byle okazji. W latach późnych to się zmieniło, nie z tego powodu, że nagle zaczął błyszczeć dowcipem. Stał się tak gorącym zwolennikiem sprawdzania, co kto robił za poprzedniego reżimu, że wszelka rozważność i wszelki spokój z niego wyparowały. Tych zaś, którzy nie byli entuzjastami zarządzanego przez władzę grzebania w cudzych biografiiach, traktował nie tylko z góry, ale ze wstrętem. I ich obrażał, utrzymywał bowiem, że jeśli ktoś jest przeciwny takim procederom, to tylko dlatego, że się czegoś obawia, a więc ma na sumieniu

takie czy inne obrzydlistwa. „No to co, donosiłeś!?” – częstował znajomych insynuacyjnym pytaniem. Zagadnięty, z jakiego powodu tak bardzo mu zależy na tego rodzaju praktykach, wymieniał dwie przyczyny. Najpierw dlatego, że chciałby przed śmiercią dowiedzieć się, kto na niego donosił; biedaczek, nie dopuszczał możliwości, że na niego donosy nie wpływały, bo nie robił niczego, co mogłoby niepokoić władzę ludową. Następnie z tej racji, że chce być świadom, komu podaje rękę, nie może przecież jej zabrudzić, witając się z osobnikiem tego zaszczytu niegodnym. Po usłyszeniu takiego dictum ktoś nazwał go czyścioszkiem, a pewna znajoma niby naiwnie zapytała: czy życzy pan sobie, by przed podaniem ręki spotkana osoba pokazywała zaświadczenie z odpowiednimi stemplami i podpisami, zapewniające, że w konflikt z moralnością nie wchodziła. Rufin wiedział, że nie tylko na retoryczne, ale także na ironiczne pytania się nie odpowiada. Odszedł pełen pogardy, zde gustowany i oburzony.

Michał Głowiński

Aleksander Jurewicz

Samotnia (7)

K.B.

W tamten wieczór łagodnie padał śnieg. Wyszliśmy z psem z tunelu pod kolejowym wiaduktem. Było dziwnie spokojnie – może przez ten wirujący śnieg, który tłumiał wszystkie nieznośne odgłosy miasta, a może przez pustkę, jaka narastała we mnie od paru miesięcy niczym dzikie, trujące ziela na ściankach naczyń krwionośnych. Włóczyliśmy się już przeszło godzinę – bez pośpiechu, odwlekając powrót, na pewno psu mogło się śpieszyć do kolacyjnej miski. Ale na mnie nic nie czekało, już nic – nawet skrawek zapisanego papieru, jedynie popielniczka, list, który już kilka razy przeczytałem, a na który nie umiałem odpisać, i jeszcze szklanka z niedopitą przed wyjściem herbatą czy przezornie ukryta za książkami niewielka buteleczka z alkoholową zawartością, mająca otumanić tę przeklętą pustkę: nie było w tej pustce żadnej tajemnicy, niczego wzniosłego, chociaż też niczego upokarzającego, ona była jak puste gniazda po umarłym ptaku.

Styczniowy śnieg tłumiał głos dzwonu z kościoła blisko dworca; szósta?, w pół do siódmej? W przytłumionym świetle ulicznych latarni sierść psa była srebrzysta, jak gdyby z nieba nie sypał się zwyczajny śnieg, tylko śnieg ze smutnych snów albo pył z kruszącego się od starości księżyca. A ten dzwon, i nie pierwszy raz tak było, ilekroć zdarzało się go słyszeć, znowu przywołał pewną arię, słuchaną niekiedy prawie do ogłuchnięcia, i nabierałem pewności, że dzisiejsza samotność nie będzie tak otepiająco cicha.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy Białej i niewiele brakowało, a zderzyłbym się z parą staruszków w jakichś staromodnych paltach. Gdy chciałem ich ominąć, oni zasłi mi drogę, jakby chcieli spytać którędy dojść do dworca lub na pocztę. Ledwie widziałem ich twarze, na których topiące się śnieżynki podobne były do perełek topiącego się wosku z dogasających świec. Pies zaczął niespokojnie pomrukiwać, więc odruchowo skróciłem smycz. Tych dwoje wydawało się jakąś raptowną halucynacją, czymś niedzisiejszym i nietutejszym, ale obłoczki z ich ust zaświadczały, że stoją przede mną naprawdę. Poczułem dziwny zapach – to chyba ich zimowe palta pachniały nieznaną starą rzeką. W niespodziewanym popłochu pomyślałem, że to raczej nie zwykli przechodnie, co pobłądzili wśród wrzeszczańskich ulic, ani para zmęczonych chodzeniem staruszków. Jakies przecucie podpowiadało mi, że oni czekają właśnie na mnie. Jak długo staliśmy naprzeciwko siebie? Dłuższą chwilę czy kilka minut?

– Ty nas nie pamiętasz? Całkiem o nas zapomniałeś...

Głos kobiety, której chusta zsunęła się z głowy, był znużony i z trudem powiedziała te dwa tajemnicze dla mnie zdania, jakby nie całkiem mogła otworzyć usta, ale w tych kilku słowach rozpoznałem znajomy, miękki zaśpiew, słyszany tylko w dawnych okolicach, gdzie kiedyś się urodziłem.

– Widzisz, nie pamięta... Jak tak może być, że on nas nie pamięta?

I w tym momencie coś mi podszeptało, czy czasem, czy to możliwe, że mogą to być oni i poczułem cierniste dreszcze. A nade wszystko poczułem wstyd, okrutny wstyd, nie do prześlągania ani zadośćuczynienia wstyd – nie tylko przed nimi, którzy stawali się realną nedorzecznoscia, ale i przed niemym psem, kruchymi śnieżynkami, zamilkłymi dzwonami na wieży dalekiego kościoła. Jakiż to grzech, śmiertelny – nie pamiętać, odwrócić się od wspomnień... Jak oni mogli tak się wyplukać z mojej nieżnośnej pamięci, no jak?

Bo to stali przede mną moi drudzy dziadkowie: babcia Stefania i dziadek Ludwik – rodzice ojca, o których nigdy najmniejszym zdaniem nie wspomniałem. Jak to możliwe, że ani słowa, ani okruszka papieru? Dlaczego, dlaczego ich pominąłem?

– Przez pierwsze twoje miesiące na świecie po nocach ciebie my nosili na rękach, żeby przywołać zaśnięcie, tyle zaklęć i modlitw wtedy nad tobą szeptem przywoływaliśmy, a sen nie przychodził, jakby już wtedy bezsenność była dla ciebie na całe życie zapisana. Przy twojej kołysce siedzieliśmy na zmianę, a twoja pierwsza zima to przecież była u nas, i nie kto inny, ale my pokazywaliśmy ci przez okno padający śnieg, szron na szybach, śpiewaliśmy tobie, żeby zagłuszyć dudnienie zamieci w kominie, abys się nie bał. Jaka tęsknota za tobą nasza na nasz dom, kiedy wyprowadziłeś się od nas, miejsca w tej pustce po tobie nie mogliśmy znaleźć, a kiedy do Polski pojechaliście... – babci zaczął kruszyć się głos i coraz ciężiej oddychała. Dziadek Ludwik odpinał i zapinał guziki przy palcie, przestępując z nogi na nogę, był taki jak w dawnym życiu: cichy, małomówny, niewidoczny.

– Nie płacz, babciu, może jeszcze nie koniec... – chciałem podejść i przytulić się do nich, ale nie mogłem otworzyć ust. Wyciągnąłem rękę w ich stronę i poczułem mroźne pustkowie. Pies natrętnie obwąchiwał miejsca na zaśnieżonym chodniku, gdzie powinni stać, gdzie na pewno ich widziałem, a słowa o zapomnieniu wibrowały w uszach dręczącym pogłosem. Nikogo nie było, nawet śladów na śniegu. Rozglądałem się dokoła; zziębnięty ptak na drzewie, drobny śnieg, wieczorne latarnie.

Gorączkowo zacząłem szukać wspomnień, w których oni mogli się u mnie przechować, ale było ich tak mało, że usprawiedliwiały ich nieobecność w moim czasie odeszłym. Lecz mimo wszystko te ubogie wspomnienia nie mogły decydować, że zostali pominięci. Nie mam pewności, chociaż nie mogę wykluczyć, że coś z siebie mi oddali – kształt dłoni?, jakiś odruch po którymś z nich powtarzam?, może dopadającą niespodzianie melancholię? Bo nie tylko babcia Stefania z dziadkiem Ludwikiem żyli, byli, pomarli, i tylko niepewnie domyślałam się, gdzie są ich mogiły, przy których chyba już nigdy nie uklęknę. Są wspomnienia, które pozwalają żyć. I są wspomnienia ciężkie, okrutne, ale i im należy się wierność pamięci. Już wypisałem wszystkie wspomnienia, a innych nie będzie. Przywróciłem cieniom dawne twarze, dni i spełnienie marzeń albo przeznaczenia. Pozwoliłem mówić martwym ustom, przywracałem dawne ciepło wystygłym dłoniom, dawałem czucie stopom, żeby raz jeszcze przeszły darowaną przez los drogę. Innym dałem szansę

ponownego życia, a moim drugim dziadkom spod litewskiej granicy nie dałem nic, jakby byli obcymi, nieznanymi. „Pamięci, przemów”, mógłbym błagalnie zawołać cudzymi słowami, lecz wiem, że na próżno, bo już moja pamięć jest wyschniętą studnią.

Tak mógłbym żyć do chwil ostatnich – w lekkomyślnej nieświadomości, z nieznanym grzechem śmiertelnym, ze schowaną na zawsze maszyną do pisania. Tak mogłoby być, ale styczniowym zmierzchem oni zaszli mi drogę, przypominając o prawie do życia w moim życiu, dopominając się o zachowanie na dłużej chociaż ich imion. Teraz szara sukienka marynarka dziadka (uszyta na pewno przez tatę) znowu ociera się o mój policzek, chociaż to już nie jest policzek cztero- czy pięcioletka, a babcia siedzi za naszym polskim stołem w otoczeniu swoich licznych dzieci (nikogo już z nich nie ma!), kiedy wróciłem z liceum. Tylko tyle mi zostało po ich życiu. Tylko tyle? Przecież przez kilkadziesiąt lat byli obecni stale – oddali swojego syna, żeby prowadził mnie przez świat dopóki mógł. I ktoś się jednak upomniał o nich, kierując ich na boczną uliczkę w mojej dzielnicy wiedząc, że co wieczór tamtędy idę z psem. Podprowadził ich tam, żeby mogli ustami opruszonymi żywym śniegiem cicho wyszeptać: „A gdzie my...?”, i zostawić mnie z tym pytaniem.

Aleksander Jurewicz

Krzysztof Myszkowski

Addenda (10)

Cytaty, frazy, słowa, przywołania i przypomnienia, które stają się ratunkiem i wybawieniem. Są na wyciągnięcie ręki, dają moc w pokonywaniu przeszkód i wybawiają od zła, które działa jak młot lub jak niszcząca machina – z nieważnością, wściekłością i desperacją.

Mała scena i duża scena. I wielka scena, która jest dwa, czy trzy razy taka jak scena duża. Dają różne możliwości. Ale to nie jest tak, że najważniejsze rzeczy rozgrywają się na wielkiej scenie, czy choćby tylko na dużej. Rzeczy najważniejsze mogą dziać się na małej scenie, w kameralnych warunkach, przy użyciu minimalnych środków wyrazu.

Doszliśmy już do takiego minimum, że oczekujemy, żeby w dziele sztuki był tylko jakikolwiek sens, ale i to często okazuje się za dużym wymaganiem. Jak powiedziała pewna starsza aktorka w przerwie teatralnego festiwalu: Ja mogę nawet wisieć na lampie, zawieszona za nogę, ale muszę wiedzieć, po co.

Wisława Szymborska po wyjściu z uroczystości wręczenia medalu „Gloria Artis”, powiedziała zebranych pod drzwiami dziennikarzom: „Ja już wszystkie słowa powiedziałam w życiu”, wsiadła do taksówki i odjechała. Przypomniało mi to reakcję Becketta, gdy po komunikacie o przyznaniu mu Nagrody Nobla, wyszedł do dziennikarzy zgromadzonych pod drzwiami jego pokoju hotelowego w Tunisie, gdzie schronił się, przewidując, co może się stać i powiedział: „Nie mam nic do powiedzenia i mogę jedynie powiedzieć, jak bardzo nie mam nic do powiedzenia”.

„Nic nie jest bardziej skryte niż to, co bezustannie powtarzamy.” Hugo von Hofmannsthal.

Jeżeli nie masz nic do powiedzenia, lepiej milcz.

Czy najgorsza prawda zawsze jest lepsza od najlepszego kłamstwa?

Chyba tylko u świętych jest tak, że po złej, grzesznej fazie życia następuje nawrócenie, a potem jest już tylko dobra faza. U innych ludzi nie dzieje się to tak wyraźnie: jest faza dobra, jest faza zła, znowu dobra i znowu zła i tak to trwa w zmaganiach, w walce, w serii przemian, wzlotów i upadków i takich stanów, w których jakby nie dzieje się nic, a dzieje się wiele.

„Po występkach dajesz nawrócenie”, mówi Księga Mądrości (12,19); w przekładzie Miłosza: „Po grzechach czas im zostawia na odmianę serc”.

Mówią: To są tylko wióry, to jest worek z wiórami, daj spokój. Tak, odpowiadam, ale ten worek z wiórami można wstawić do środka i podpalić.

Są myśli i są moce, które je wzbudzają. Trzeba wiedzieć, że są takie moce.

Berkeley zastanawia się w Dziennikach filozoficznych, czy tożsamość osoby nie polega na woli. A w poprzedzającym akapicie stwierdza: „Podług mojej doktryny tożsamość/skończonych/substancji musi polegać na czymś innym niż ciągłość istnienia lub stosunek do określonego/czasu/miejsca, w którym zaczęły one istnieć. Albowiem istnienie naszych/myśli/(które/połączone/tworzą substancje) często jest przerywane i różni się one co do początku i końca”.

Sprzeczności Berkeley'a dają życie jego dziełu. Sprzeczności na ogół dają życie dziełu, ale jak trudno jest mocno i wyraziście istnieć wśród ich napięć, w ich sieci, w ich życiodajnej sile.

Hölderlin, fragmenty

„Po licznych wstrząsach i wzruszeniach ducha musiałem się gdzieś na pewien czas ustalić i tymczasem żyję w swoim rodzinnym mieście” – Hölderlin w liście do Böhlendorffa (1802).

Prawda Hölderlina i prawda jego wierszy. To, co jest na zewnątrz i to, co jest w nim, w środku i to, co jest „ujęte w wierszu”. Wizja artysty, dążenie do prawdy i nadawanie temu dążeniu artystycznych kształtów. Prawda wiersza, prawda jego sensu i prawda negacji tego sensu. Jak to jest? Czy jest to związane ze sobą, a jeżeli jest, to jak?

Jakie są granice i możliwości literatury? Jakie są jej główne napięcia? Słowo i świat? Słowo, świat i meta-fizyka? Słowo i mistyka? Człowiek, słowo, świat i Bóg? Czyż nie są to główne napięcia? A reszta to tylko pozory, gry i zawracanie głowy, czarne wodewile robione na starą modłę.

Dwa zastanawiające i ważne dla mnie wersy Hölderlina: „Z trudem/ Porzuca swoje miejsce to, co jest bliskie początku”. „Kto sprawdził, niechaj uwierzy! Nie w źródle ani początku/Zadomowiony jest duch.”* Czy więc jest tak, że to, co jest dalekie od początku, gdy nadejdzie czas, z łatwością

* wszystkie przekłady z Hölderlina – Mieczysław Jastrun.

porzuca swoje miejsce, gdyż duch tak naprawdę zdomowiony jest w dążeniu, obecny jest w tych, którzy są w drodze?

Uważaj, bracie, na słowa, zdaje się mówić Hölderlin, one mogą zaprowadzić cię bardzo daleko i mogą wprowadzić cię w dół, w pułapkę.

Asceza Hölderlina i asceza Becketta. Adorno widzi w Beckettzie kontynuatora Hölderlina. Ustanowili swoje mgielne i świetliste światy i trwają w nich, czekając.

Ody i późne hymny Hölderlina podobne są do prozy, do języka świętych tekstów. Strofy bez rymów, surowe, ogołocone z ozdobników i w ogóle z wszystkiego, co jest zbyteczne. Kojarzą się z ogołoconymi z wszystkiego, co zbyteczne ostatnimi tekstami Becketta.

Zachowywanie jedności jest przemocą i rozbijanie jedności jest przemocą. Przemoc stwarza przemoc i wszystko niszczy w swoim smolnym kotle. Nic nie ostoi się bez miłości, która jest poza prawami zła. Błędne koła Hölderlina, błędne koła Becketta. W duchu dialektyki coś niszczy siebie swoją własną bronią lub jest własną bronią niszczone: na przykład sztuczkami ateizmu można niszczyć ateizm, który niszczy swoich wyznawców w okropnej matni. To wszystko dzieje się w słowach i w napięciach między nimi.

Słowa, język i władający nimi duch. To dzięki słowom wiemy to, co wiemy i dzięki słowom wiemy, czego nie wiemy i wyrażamy to dla siebie, a także dla innych, na zewnątrz. Słowo jest w nas wcielone i my jesteśmy wcieleni w Słowo, w to Słowo, które było na początku. Czy ludzie mają tego świadomość? Wiedzą o tym dobre i złe duchy, które przenikają do środka. I wiedzą o tym duchy, które gnieźdzą się w nas.

W hymnie Patmos Hölderlin mówi: „Lecz Ojciec,/Który włada nad wszystkim,/Lubuje się w tym, by przestrzegano/Twardej litery i aby to, co istnieje,/Było dobrze wyłożone”. Skryty w swoich ciemnych labiryntach Hölderlin jest po stronie Boga, po stronie, jak mówi, „pięknego, jak zawsze” Chrystusa. W Świącie pokoju czeka na Jego przyjście. Idea ofiary jest jego główną ideą.

Zastanawiają mnie sprzeczności i paradoksy jego wersów, ich jasność i skrytość, ich jawność i niedopowiedzenia. Na przykład ten dystych z Sofoklesa: „Wielu pragnęło daremnie radośnie wypowiedzieć to, co najradośniejsze/Tu w końcu wypowiada się ono dla mnie, tu w smutku”. Coś, co wypowiada się w smutku, jest najradośniejsze? Jak to rozumieć? W liście do matki napisał: „Mam [...] w głębi swojej istoty jakąś pogodę, jakąś wiarę, która często jeszcze wytryska pełną i prawdziwą radością, tylko że dla radości nie tak łatwo da się znaleźć słowa jak dla cierpienia”.

Tak, jakby mówił: „Jestem nieszczęśliwy w miłości, ale miłość to największy dar i szczęście i przewyższa, przeważa moje nieszczęście”. Czyli jest nieszczęśliwy przez największe szczęście. I jest szczęśliwy. W swojej twierdzy, w wieży. Oddzielony od świata. I mocno trwający w tym, co jest w nim najtrwalsze i najlepsze.

Tak to wyjaśnia Adorno: „Doświadczenie nieprzywracalności tego, co utracone, a co dopiero jako takie przyobleka aurę absolutnego sensu, staje się jedyną przesłanką prawdy, pojednania, pokoju jako stanu, w którym mit, ta stara nieprawda, stracił władzę. To właśnie uosabia u Hölderlina Chrystus: «Przeto o, Boski, bądź tu obecny/I piękny, jak zawsze, przynoszący/ Pojednanie! Pojednany dziś, byśmy wieczorem/Z przyjaciółmi wymienili twe imię, śpiewając/O wzniosłości, i niech będą z tobą jeszcze inni»”.

Jak to świetnie współlistnieje: natura i chrześcijańska doktryna Objawienia i Odkupienia, poezja i mitologia, poezja i teologia, poezja i religia. O kim i o czym mówią takie utwory jak elegia Chleb i wino, hymn Patmos i wiersz pt. Jedyny?

Ale jest też coś, co przebija tę poezję jak oścień, od którego Hölderlin nie może się uwolnić. Tak to opisuje Adorno, mówiąc o sztuce współczesnej i odnosi się to także do Becketta: „Nie może ona [sztuka współczesna – przyp. K.M.] dłużej, jak poezja Hölderlina, która czuła się jednym z duchem świata, wypowiedzenie smutku zrównywać z tym, co najradośniejsze. Prawda radości stała się chyba nieosiągalna. A właśnie w związku z tym gatunki zachodzą na siebie, gest tragiczny wydaje się komiczny, a komizm ponury. Tragizm ulega rozkładowi, ponieważ zgłasza roszczenie o pozytywny sens negatywności, ten sens, który filozofia nazwała pozytywną negacją. Nie można go spełnić. Sztuka sięgająca nieznanego, jedynie jeszcze możliwa, nie jest ani skłonna do

zabawy, ani poważna; to coś trzeciego, jest jednak tak przyłączone, jak gdyby było zanurzone w nicości, której figury opisują najbardziej zaawansowane dzieła sztuki”.

Widzę, jak jest to solidnie zrobione i z jak wysokiego natchnienia jest zrodzone: „wiązania twarde”, jako cecha wiersza przejęta od Pindara, lakoniczność, rytm, pasja i epifanie, których źródłem jest Bóg, tak różnie rozumiany i wyrażany. Świat rozpięty pomiędzy dwoma biegunami, w zwarcu i w zmaganiu, w przepływie i w toku, w boju na śmierć i życie. Jak mówi Nietzsche na temat zawodów homeryckich: „Walczą ze sobą nie indywidualia, ale idee”.

Poezja Hölderlina należy do głównej linii literatury i języka niemieckiego, wpisuje się w ten pełen mocy i sprzeczności duchowy szereg: Mistrz Eckhart, Luter, Goethe, Schopenhauer, Nietzsche, Rilke, Mann. Ten ostatni wymienia Hölderlina obok Goethego i Nietzschego jako jednego z największych twórców niemieckich. W literaturze polskiej kto jest jego odpowiednikiem? Norwid? Mickiewicz? A może Sęp Szarzyński? W każdym razie są to powinowactwa bardzo wysokie i najwyższe.

Podobny jest do tych podobnych do siebie postaci Becketta: tragiczny i komiczny włóczęga z uporem poruszający się naprzód lub chodzący tam i z powrotem lub krążący dookoła albo zamknięty w celi, czekający na pomoc, wbity w róg, nawiedzany na przemian przez ataki furii i apatii, powtarzający stare formułki, zdany na głos, który słyszy w głowie lub obok siebie albo zdany na pastwę dzikich dźwięków, w sobie lub obok siebie albo na ciszę, mówiący coś albo milczący, tokujący lub zacięty w milczeniu. W kontaktach z ludźmi uniżony i serdeczny. Na zielonych łąkach, w dolinie Neckaru i wśród murów, w środku. W Tybindze. Cień człowieka. „Scardanelli.” Nikt.

„Porządek przestrzenny jest odwrotnością duchowego”, mówi Dante.

Matczyne łono Thorna – <hebr.> rachamin

Cytaty z T.S. Eliota z Zapisków Witolda Lutosławskiego:

„Żli poeci imitują, dobrzy poeci kradną”. „N i e d o j r z a l i poeci imitują; d o j r z a l i poeci – kradną; źli poeci partacze oszpecają to, co biorą, a dobrzy –

zmieniają to w coś lepszego, a przynajmniej innego. Dobry poeta wtapia to, co ukradł w całość emocjonalną, która jest niepowtarzalna i radykalnie odcina się od tej, z której został cytat wyrwany; zły poeta wrzuca cytat w to, czemu brakuje spójności. Dobry poeta pożyczka zazwyczaj od autorów odległych w czasie albo obcych językowo albo czym innym zainteresowanych.”

Księga Psalmów w tłumaczeniu rabina Izaaka Cyklowa to dar z jasnego nieba.

Ani jednego dnia nie zostawiać bez choćby tylko jednej linii prozy, bez jednego, choćby najsłabszego stychu. Czy jest to marzenie ściętej głowy?

„Płynął, płynął – a przy brzegu utonął. Zwykły los powieściopisarzy” – mówi Aleksander Fredro.

Forma: dwa opowiadania paralelne złączone w całość. Wydarzenia, reakcje na nie oraz ich konsekwencje. Główny nacisk na opis przeżyć Mohla w związku z wypełnianiem misji (zarys jego duchowej sylwetki). Temat: nawrócenie, gotowość do nawrócenia. Luźność całego układu; fragmentami gęstość. Brak wielu szczegółów oraz szczegóły podane w sposób ogólny; niektóre opisy bardzo szczegółowe, jak w midraszu.

Mohl: kret; falochron, tama ochronna, grobla; molekuła, drobina, cząsteczka; pomost; nabrzeże. Thorn: cierń, kolec, krzew ciernisty; bóg piorunów; brama; pancerz; jest „niekompletny”, „pusty”, a przez to całkowicie ludzki. Roth: zepsuty, zgniły, znajdujący się w stanie rozkładu, spróchniały, robaczywy, kiepski, marny, lichy, do niczego, obracający się w kółko; jest drobiazgowo i karykaturalnie kompletny, pieczołowicie zabudowany, obudowany; gruba ryba; kaleka (lekkko kuleje, dziwnie się porusza); powtarza myśli Thorna odwrócone albo ośmiesza je.

Styl mówiony, żywy, chropowaty (utrzymywać kontakt z czytelnikiem). Narrator mówi o czasie przeszłym, od początku zna zakończenie tej historii.

Rodzaje paralelizmu: synonimiczny (stych drugi lub trzeci powtarza treść stychu pierwszego), antytetyczny (stych drugi stanowi antytezę do stychu pierwszego), syntetyczny (stych drugi mówi co innego niż stych pierwszy,

ale go kontynuuje w jakiś sposób; tu: kontynuacja, następstwo, odpowiedź, motyw), klimaktyczny (stych drugi rozwija i powtarza stych pierwszy).

Logiczny układ opowiadania: jeden fakt wynika z drugiego, a wszystkie tworzą zwartą całość. Kulminacja: w domu matki. Antologiczny charakter utworu.

Układy: zgodnie niezgodne i niezgodnie zgodne.

Opuszczenia (elipsy) i przeskoki (zwartość). Powtarzanie się podobnych słów lub członów w stychu, w wersecie i w części.

Podstawą narracji jest werset w postaci prozaicznej, zbudowany z chemistychów (kolonów). Wersety zapisywane są po sobie lub z podziałami na akapity. Pomiedzy częściami podwójne lub potrójne odstępy. Proza zrytmizowana, rytm, bez ścisłych kryteriów, obecny jest w stychu, w wersecie, we fragmencie i w całości. Współistnienie dwóch sprzecznych tendencji: regularności charakterystycznych dla wiersza i nieregularności prozy nie podporządkowanej jakemukolwiek porządkowi, czyli istnienie między porządkiem a chaosem, między wierszem (nieregularny wiersz) a prozą (zrytmizowana proza). Dziewiętnaście węzłów narracji. Główną sprawą jest sens (myśl), a nie sposób wyrażania. Fragmenty ad libitum, („chaos”, rozproszenie – sceny w domu studenckim i u Rotha).

Tok mowy, tok opowiadania, tok rozmowy.

Krzysztof Myszkowski

Leszek Szaruga

Jazda (7)

20.

Jerzy Giedroyc wielokroć dawał do zrozumienia, że „na literaturze się nie zna”. Pomijając kokieterijność tej wypowiedzi, warto zauważyć, że jego wycucie literatury i smak literacki – a wycucie i smak to jeszcze nie profesjonalne „znawstwo”, ale zarazem też coś niż owo „znawstwo”

więcej – zdumiewają. Widać to na kilku płaszczyznach. Widać to przede wszystkim w jego przywiązaniu do Nurtu Berenta. Pisze: „Na pierwszych latach studiów przeżyłem okres, bardzo krótki, kiedy takie rzeczy jak Próchno mnie fascynowały, co łączyło się z czytaniem Nietzschego, też pewnie pod wpływem Berenta, który go tłumaczył. Wtedy bardzo mi się to podobało. Dziś byłbym bardziej krytyczny wobec tego nazbyt już młodopolskiego języka. Ale w Nurcie i Ozimie są sceny, które utkwiły mi w pamięci”. Jako redaktor serii Biblioteki „Orła Białego” wydaje Giedroyc w roku 1944 właśnie Nurt. Jak pisze Maria Danilewicz Zielińska: „Na poziom poważniejszych przemyśleń kierował następców legionistów Dąbrowskiego przedruk Nurtu Wacława Berenta. Po części I wydanej w Bibliotece «Orła Białego» jako jedno z jej pierwszych wydawnictw (drukowanych czcionkami różnego kroju) ukazało się na czasie wydanie Zmierzchu wodzów (Nurtu cz. II), jako wymownej lekcji historii przypomnianej przez pisarza-wizjonera w przededniu drugiej wojny światowej. Myślę, że to właśnie wydanie Nurtu – mimo najuboższej z ubogich szat graficznych (a może właśnie dlatego?) – byłoby dla autora najszczytniejszym pokwitowaniem jego trudów, przekreśleniem obojętności z okresu ukazania się książki i świadectwem, iż «umarł nie cały»”.

Po latach potwierdzeniem trafności tego właśnie wyboru stała się wyśmienita rozprawa Włodzimierza Boleckiego poświęcona „opowieściom biograficznym” Berenta. Być może język Berenta jest dziś trudno przyswajalny, nieczytelny – w powszechnym odbiorze – przez swą meandryczność i złożoność, wszakże mamy tu na dobrą sprawę do czynienia z pierwszym tak doskonale artystycznie realizowanym esejem historycznym stawiającym dramatyczne pytanie o polską tożsamość, o ciągłość doświadczenia. Przy czym jest to eseistyka stawiająca tzw. pytania istotne, więcej – stanowi ona intelektualne wyzwanie dla wszystkich współczesnych, czyli wszystkich aktualnych czytelników tych utworów. Tu wyczucie Giedroycia wydaje się niesłychanie trafne – w kierunku tych wyzwań podąży później historyczna eseistyka Pawła Jasienicy czy Mariana Brandysa – szczególnie w Końcu świata szwależerów.

Ale nie tylko o Berenta i esej historyczny tu chodzi. Jest bowiem rzeczą znamieną, iż od początku redagowania „Kultury” zwracał Giedroyc uwagę na znaczenie dziennika intelektualnego – niemal każdy numer pisma przynosi właśnie tego typu zapiski: począwszy od dzienników podróży Jerzego Stempowskiego, poprzez dziennikowe zapisy Andrzeja Bobkowskiego, Witolda Gombrowicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego,

po Tomasza Jastruna. Swoboda narracyjna, jaką wykształca dziennik jest tu zagadnieniem decydującym. I właśnie ta swoboda narracyjna – nie tylko w płaszczyźnie literackiej – stanowi dla Giedroycia wartość nieprzecenioną. Stąd taki nacisk na dziennik: wystarczy przewertować kolejne tomy korespondencji Redaktora, by zauważyć, jak był w tej kwestii nie tylko wymagający, ale też inspirujący. Bez wątpienia za jego sprawą powstały utwory tak wybitne, jak dzienniki podróży Stempowskiego czy dzienniki Gombrowicza, w moim przekonaniu najwybitniejsze dzieło tego pisarza, traktowane zresztą przez niego, przynajmniej w początkowym okresie, jako rodzaj daniny składanej „Kulturze” i jako wehikuł mający doprowadzić do publikacji jego powieści.

Może był Giedroyc przekonany, że „na literaturze się nie zna”, znał się natomiast na swobodzie myślenia, a tym samym – swobodzie narracji. Znał się też na narzucanej przez tą swobodę dyscyplinie pracy intelektualnej, tym samym też – pracy nad formą nawet tak nieforemną czy – by przywołać określenie Ryszarda Nycza – sylficzną, jaką jest „forma” dziennika. Literatura przezeń promowana, to przede wszystkim pisarstwo dające wyraz owej zdyscyplinowanej wolności. Może też warto zwrócić uwagę na punkt odniesienia wskazany przez Redaktora w jego Autobiografii na cztery ręce: „W szóstej klasie przeczytałem historię literatury polskiej Antoniego Potockiego, bardzo młodopolską; byłem pod dużym wrażeniem tej książki, która w znacznym stopniu uformowała moje poglądy na literaturę i moje zainteresowania w tej dziedzinie”. I warto skonfrontować tą uwagę z tym, co o Potockim pisze Nycz: „Polska literatura współczesna Antoniego Potockiego nie cieszyła się uznaniem ani współczesnych, ani późniejszych czytelników. (...) Książka Potockiego, acz nie pozbawiona wątpliwych ujęć, ryzykownych uogólnień i innych usterek chętnie podkreślanych przez recenzentów, pełna jest wielu bystrych, nieprzedawnionych, a wówczas prekursorskich spostrzeżeń”. I dalej: „O nowoczesności (...) koncepcji Potockiego przesądza, generalnie biorąc, powiązanie, kształtowanie się nowoczesnej literatury i sztuki z – jak powiada «stawaniem się narodu nowoczesną żywą społecznością»”. „Stawanie się narodu nowoczesną żywą społecznością” było też jednym z podstawowych wątków toczonych na łamach „Kultury” dyskusji i polemik, nie tylko literackich co prawda i na pewno nie głównie literackich, ale takich, dla których literatura stanowiła nieredukowalny punkt odniesienia.

21.

Książki panów Gontarczyka i Cenckiewicza o Lechu Wałęsie nie przeczytam – szkoda czasu, zwłaszcza, iż siłą rzeczy czytam komentarze i słucham telewizyjnych dyskusji, za sprawą których treść tego tekstu i tak muszę poznać. Poza tym w końcu historykiem jestem jedynie w tym stopniu, w jakim jest nim ktoś uprawiający od czasu do czasu historię literatury, nie mam zatem wystarczających kompetencji, by ocenić warsztat autorów, choć jeden z nich już swego czasu zdążył stać się obiektem mego zainteresowania.

W tym całym zamieszaniu i sporze o to czy Wałęsa był bądź nie był, a jeśli był, to jak długo, agentem bezpieki, nie chodzi – widać to coraz bardziej wyraźnie – o samego Wałęsę. Chodzi o to, by udowodnić tezę o tym, że do momentu heroicznej i raczej, na razie przynajmniej, nieudanej próby budowy IV Rzeczypospolitej, Polska jest cały czas krajem rządzonym i kształtowanym – także w sferze mentalnej – przez funkcjonariuszy służb komunistycznych. Ta błyskotliwa teza powraca od roku 1989 z nieustanną regularnością, a zakorzeniona jest w głoszonym – prawda, że niezbyt wówczas donośnie – jeszcze w latach 70. przekonaniem, iż „lewicowa” część opozycji demokratycznej okresu peerelu była w zмовie z reżimem represjonującym ją zapewne po to, by ją bardziej w oczach społeczeństwa uwiarygodnić (słynne wypowiedzi na temat „aksamitnego krzyża” dotyczące internowań i więzień po wprowadzeniu stanu wojennego).

Ja to nawet jestem w stanie zrozumieć. Płynność przejścia od rzeczywistości peerelowskiej do niepodległości wydawać się może podejrzana: wszak oczekiwaliśmy jakiejś katharsis, oczyszczającego wstrząsu, jakiegoś „wieszania” („A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”) i karnawału. A tu co? A tu nic. Co najwyżej Wieszanie Jarosława Marka Rymkiewicza: literatura (dobra zresztą) zamiast historii. Wszyscy dokładnie zapomnieli o „karnawale Solidarności” lat 1980–81. A przecież był to niewątpliwie wstrząs, rodzaj szokowej autoterapii społecznej: po wyborze Wojtyły na papieża i po powstaniu „Solidarności” Polska stała się innym krajem i choć władze się nie zmieniły, system zdawał się trwać nadal, to przecież wszyscy wiedzieli, iż nie jest to już i nigdy nie będzie to samo, co przedtem. I gdy sięgnąć po oficjalne i nieoficjalne publikacje z tamtego okresu, widać jasno, iż mieliśmy świadomość tej zmiany. Nie tylko my zresztą: tę zmianę widział cały świat, zaś jej charakter po dziś dzień jest przedmiotem mniej lub bardziej uczonych analiz – ale, oczywiście, nie u nas. U nas dominuje dążenie do autodestrukcji, która zdaje się stawać powoli podstawowym rysem naszej zbiorowej tożsa-

mości, a przynajmniej tożsamości pewnego – dość wciąż licznego – odłamu społeczeństwa. I choć doń nie należę, czuję wobec niego należyty respekt.

A zatem: przełomu nie było. Agenci esbecji i komuchów, szantażowani poukrywanymi sprytnie „kwitami”, które na nich zebrano, zainscenizowali przedstawienie pod tytułem Obrady Okrągłego Stołu. Przedstawienie było, owszem, bardzo sugestywne, ale nie wszyscy dali się tej maskaradzie zwieść. Ci, których nie oszukano, wiedzą, że Polską – z której wymaszerowały różne sowieckie wojska (ale czy wymaszerowały i czy różne to jeszcze nie do końca wiadomo...) – rządzi Układ, którego celem podstawowym jest zabezpieczenie interesów, przede wszystkim ekonomicznych, ale też przecież i politycznych, dawnej komunistycznej nomenklatury. Celem nadrzędnym polskiej polityki niepodległościowej jest zatem rozbicie owego Układu, jego demontaż – może nie tak widowiskowy jak „wieszanie”, ale oddający Polskę Polakom. Problem w tym, że zdemaskowanie Układu utrudnia smutna okoliczność – najważniejsze „kwity” są zdeponowane w Moskwie, a Moskwa, jak na razie swych archiwów nie ma zamiaru udostępniać. Póki co zatem, trzeba wycisnąć wszystko co się da, a jak się da, to jeszcze więcej, z tego, co znalazło się w zasobach Instytutu Pamięci Narodowej.

Podajrzewam, że podporządkowanych wspomnianej tezie publikacji namnoży się w najbliższym czasie bez liku. I w gruncie rzeczy nie mam nic przeciw temu. Ostatnio kwitnie u nas gatunek political fiction, w którym osobne miejsce zajmują powieści kreujące – jak w znakomitym *Lodzie* Jacka Dukaja – historie alternatywne. Autorzy obdarzeni mniejszym talentem literackim, lecz za to dysponujący nieco makabryczną wyobraźnią polityczną tworzą opowieści mające nas przestraszyć, nierzadko też tumanić. Dobiliśmy się przynajmniej tyle wolności, iż cenzura ich poczynań już nie krępuje – będziemy zatem czytać różne tego rodzaju wynalazki, jak fantastyka serwowana a to przez Rafała Ziemkiewicza, a to przez Marcina Wolskiego, a to przez historyków IPN-u. Przyznam, że wolę serię „kocich” kryminałów dodawanych ostatnio co tydzień do „Gazety Wyborczej”, ale to w końcu mój na razie wciąż swobodny wybór. Gdy mi ten wybór ktoś zacznie ograniczać, wtedy uwierzę, że rzeczywiście jakieś nieczne siły po kraju krążyć zaczynają. Jakież widma na przykład.

22.

I oto mamy kolejną książkę z serii XIX-wiecznych dywagacji dotyczących narodu: *Esej o duszy polskiej* Ryszarda Legutki. Byłbym może przeszedł nad

jej lekturą do porządku dziennego, gdyby nie fakt, że przed laty recenzowałem inną książkę z tego cyklu, a mianowicie *Myśli staroświeckiego Polaka* Piotra Wierzbickiego. Niedawno zresztą z okazji dysputy na temat polskiej tożsamości sięgnąłem po inne dzieło z tej serii, mianowicie po książkę Tadeusza Micińskiego *Do źródeł duszy polskiej*. I przyznam, że ta cała konstelacja tekstów – pewnie będzie się ona mnożyć, bo czas temu sprzyja – trochę mnie przeraża. A powodem owego przerażenia jest nie tyle konserwatyzm, do którego się Legutko odwołuje (wszak konserwatyzm sam w sobie niczym zdrożnym nie jest), ile anachroniczność tych tekstów.

Bo owszem, można się pochylać nad kwestią polskiej tożsamości – rzecz to skądinąd interesująca. Ale nie można tego czynić tak, jakby od czasów Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego świat się nie zmienił. Tym bardziej, iż w okresie, gdy Mickiewicz swe dzieło pisał, sprawa samego poczucia polskości wcale oczywistą nie była i dotyczyła jedynie elity, w żadnym wypadku mas ludowych, dla których takie sprawy równie były obojętne jak posługiwanie się nożem i widelcem. W żadnej mierze zresztą nie świadczy to przeciw owym masom, dla których sprawy egzystencjalne ważniejsze były niż wzgląd na narodową przynależność, nie mówiąc już o dumie z poczucia polskości.

Czym jest polskość? Otóż na to pytanie w książce Legutki próżno szukać odpowiedzi. A szkoda, bo gdyby autor jej zechciał udzielić, może łatwiej by było zrozumieć, o co mu chodzi. Tymczasem odnoszę wrażenie, że „polskość” jest dla krakowskiego filozofa czymś danym na zawsze w tej samej formie i definicji z tej racji nie podlega. Jakby było rzeczą oczywistą, że Polak, czym jest, każdy widzi. Problem w tym, że niemal każdy widzi inaczej, zaś nie sposób dyskutować z kimś, kto nie jest w stanie swego widzenia opisać.

Jedno nie ulega wątpliwości: polskość jest dla Ryszarda Legutki wartością nieredukowalną, niezależnie od tego, czym by być miała lub mogła. I owa polskość jest nie tylko zagrożona w swym jestestwie, ale wręcz owego jestestwa współcześnie pozbawiona. Pozbawienie jestestwa stało się skutkiem wojennej opresji i powojennej sowietyzacji – tak przynajmniej wynoszę z lektury dzieła. Odzyskanie jestestwa natomiast utrudnione jest przez nie sprzyjające mu postawy elit, które bądź się sprostytuowały, bądź też zaczęły dziwne z polskością eksperymenty, jak choćby Gombrowicz Witold (nie przywoływany przez autora, ale wiemy o co chodzi: w tej konwencji miał zapewne rację Roman Giertych wycinając utwory tego autora z programów szkolnych). Eksperymentować z polskością nie należy, gdyż jest ona jedna,

zawsze taka sama i niezmienna. Każda próba innego jej pojmowania niż to, jakie jej się należy – Legutko wszakże nie ujawnia jakie – jest w istocie zdradą narodową.

Przyznam, że już nie wiem, w jakiej „linii” utrzymany jest dyskurs Legutki. Mówi się w recepcji tej książki, iż jest to opowieść prawicowa. Ale co to znaczy dzisiaj? Czy oznacza to, że współczesna polska prawica za nieredukowalny punkt odniesienia swych myśli i działań czyni fantazmat „narodu”? Co by to mogło znaczyć w dzisiejszej Europie lub w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej? Bo nie sposób nie przyznać Legutce racji, gdy pisze: „Naród po drugiej wojnie był już innym narodem i to w sensie społeczno-biologicznym, a nie tylko psychologicznym związanym z doświadczeniem wojny”. Jak rozumiem, chodzi tu Legutce przede wszystkim o wyniszczenie przez komunistów całych grup społecznych, m.in. likwidację ziemiaństwa, owej „panatadeuszowej” ostoi polskości. To prawda. Ale już ziemiaństwo Dwudziestolecia nie było tym, które opisywał Mickiewicz. Zaś to ogólne zdanko z eseju Legutki można przecież rozumieć rozmaicie bardzo – choćby przez pryzmat doświadczenia Zagłady i likwidacji tej polskiej osobliwości, która w eseistyce Jerzego Stempowskiego (i nie tylko jego) nosi miano „narodu Żydów polskich”. Nie sądzę, by to akurat Legutkę interesowało, ale nie sposób tego dramatu w takich „historycznych” dywagacjach pomijać.

Owszem, nie sposób nie zauważyć, że Polacy po II wojnie światowej się zmienili. Zmienili się też Niemcy czy Francuzi, dla rozmaitych zresztą przyczyn: bunt młodzieży z roku 1968 w ich krajach był świadectwem tej zmiany. Bo w ogóle tak to już jest, że życie społeczne ma swoją dynamikę, której nie sposób przewidzieć, ale która zawsze oznacza zmianę. „Dopasowywanie” współczesnych Polaków do wzorców z XIX czy pierwszej połowy XX wieku jest przerażającym anachronizmem. Kategoria narodu, do której odwołuje się Legutko – a wraz z nim grupa publicystów określających się mianem „prawicowych” – jest kategorią zamierzchłą, współcześnie нефunkcjonalną, martwą. Takim językiem o współcześnie żyjących Polakach mówić sensownie nie sposób. I rzeczywiście miał rację w przywołanej wyżej książce Wierzbicki: prawica (jeśli to określenie jeszcze coś dziś znaczy) winna się pilnie dokształcać. Przynajmniej polska prawica, której odpowiednika poza Polską już odnaleźć się nie da. Na początek radzę poważną lekturę: Juliusza Słowackiego Króla-Ducha.

Piotr Szewc

Z powodu i bez powodu (12)

Listopadowa 45 (IV)

Wtedy w panu Pomarańskim widziałem staruszka, teraz jego ówczesnego nie mógłbym tak określić. Bo czy sześćdziesięcioletni – tak obecnie szacuję jego wiek – mężczyzna to staruszek? Był średniego wzrostu, chudy, siwowłosy, z twarzą bez emocji i z żółtawymi zębami. Uosobienie godności. Uprzejmy, małomówny, mówił i pytał nie więcej, niż to było konieczne. Typ angielskiego sługi z czarnobiałego filmu. W fartuchu krzątał się po niedużym sklepie: od lady z wagą, na której ważył cukierki i końską kiełbasę, do lady prostopadłej, naprzeciwko wejścia, na której stały szklanki i saturator z wodą sodową. Wypijałem jedną lub dwie szklanki wody sodowej z malinowym sokiem. Pan Pomarański płucał i odstawiał szklankę do góry dnem. Czy woda do płukania była bieżąca, czy też tworzyła obieg zamknięty? Nie wiem. Pani Pomarańska – sporo młodsza, niższa, gadatliwa i uśmiechnięta – polecała mężowi, aby coś zdjął z górnej półki, do której sama nie sięgała. W ich sklepie było „wszystko”. Od chleba, cukru, soli, masła, smalcu po papierosy, zapalki, butelkowe piwo, oranżadę, denaturat, kostki szarego mydła... Może i kawa bywała. Ale ziarnistą kawę Orient lub Super kupowało się gdzie indziej – w „Trzynastce” przy Lwowskiej, podówczas bodaj najlepiej zaopatrzonej. Czasami można było kupić u Pomarańskich chałwę, blok kakaowy, rodzynki. Pod butami ugięła się podłoga z desek. Gdy padał deszcz, była niemiłosiernie zabłocona. Oszklone drzwi latem otwierano na oścież. Sklep mieścił się w rynku na Nowym Mieście, nieopodal narożnej kaszarni. We czwartek – dzień targowy – na Nowym Mieście panował gwar. Pomarańscy mieszkali na piętrze nad sklepem.

Po drugiej stronie rynku, prawie *vis-à-vis*, mieścił się sklep mięsny. Ażeby w nim cokolwiek w tamtych latach kupić, dwie kolejki ustawiały się już w przeddzień: stały całą noc. W środku panował tłok i rwetes. Sprzedawczynie, panie Niderłowa i Kuraszkiewiczowa, były mistrzyniami ważenia: jeszcze poruszały się szalki, jeszcze nie ustaliła się dokładna waga boczku, słoniny czy kiełbasy zwyczajnej, a one już je zdejmowały i owijały w papier. Nikt nie ośmielił się protestować: waga orientacyjna była ostateczna,

a dokonywany w myślach rachunek musiał się zgadzać. Zapowiedź, że za, powiedzmy, trzydzieści lat w sklepie mięsnym prowadzona będzie sprzedaż obrączek, pierścionków i bransoletek, uznano by za kiepski żart. A jednak. Myję ręce przy pompie na rynku – która to już pompa? – idę na Lwowską, za szkołę, pod tuczarnię drobiu. W tuczarni pracowała matka Halinki, mojej koleżanki z klasy. Halinka miała starszą siostrę, Gienię. Mieszkały na Wierzbowej. Pewnego dnia Halinka dostała od matki 5 złotych. – To pięćset groszy! – powiedziała na przerwie. – Pięćset groszy! – wartość skromnej monety pomnażała w sposób najprostszy. Jej smutna twarz rozpromieniała się – pięćset groszy! – radością. Podobno w tuczarni produkowano proszek jajeczny. Ale proszek jajeczny nie obchodził mnie nic a nic. Za ogrodzeniem, w ciasnych kojcach tłoczyły się gęsi. Co chwila podnosił się wniebogłosy ich męczeński lament. Nie mogłem go słuchać, nie potrafiłem nie słyszeć. Tuczarnia przyciągała mnie, jak magnes przyciąga opłki metalu.

Brama do skupu butelek na Spadku zamknięta, powarkuje za nią pies. Z nylonową siatką wypełnioną butelkami przeciskam się przejściem między dwoma sąsiadującymi parterowymi domami. Za oknami rozmowy, gra radio. Nad głową prawie dotykają się okapy dachów bez rynien. Pod nogami ubita glina, tu i tam cegła, żeby po deszczu łatwiej było przejść. Na podwórku mieściły się szopy i komórki. Obok nich, pod gołym niebem, skrzynki i kontenery z butelkami. I butelki luzem – osobno po wódce, osobno po winie. Musztardówek nie przynosiłem, szkoda fatygi: skup płacił za nie grosze. Stukam w szybę, ktoś poruszył się za firanką. Starsza kobieta w zabrudzonym fartuchu sprawdza, czy butelki są czyste, bez metalowych obrączek, czy na pewno niewyszczerbione. Stale ten sam egzamin. Ulga: wszystko w porządku. Z puszki po landrynach bilon idzie prosto do mojej ręki. Interes legalny, a można by odnieść wrażenie, że pokątny, jak melina, na którą milicja przymyka oko. Za komórkami w ogrodzie rosły róże: kwiaćski interes najlepiej miał się na zakończenie roku szkolnego. „Tylko gdzie kupię celofan?” – martwiłem się na zapas. Nie mieściło mi się w głowie, że można dać nauczycielce kwiaty bez celofanu. Taki obowiązywał styl, taki szyk. Za elegantsze od ogrodowych róż uważałem gerbery i goździki. Wracając do butelek: znajdowałem je bez szukania. Wystarczyło schylić się i podnieść. Leżały w przydrożnych rowach, na przystankach, na budowach i na śmietnikach, pod płotem na targowicy.

Po latach kontury i drobiny zjawisk układają się w nierozdzielny całość. Czasami tylko – na krótko i bez przekonania, że naprawdę – udaje się z nich

wydobyć pojedyncze włókna... Łowię dawną energię miejsc, ludzi, przedmiotów. Ile jednak można złowić w sieć coraz bardziej dziurawą i o dużych okach?

styczeń 2007

Bez tytułu i daty (VII)

Poezja powstaje z braku lub z nadmiaru. Czyli służy jej nierównowaga. A jednak szuka równowagi.

Jest takie miejsce przed Krasnymstawem, które, gdy przejeżdżam, widzę zwykle rozświetlone. Dziś tonie w ciężkich, niskich chmurach.

Literaturę wzmacnia i uszlachetnia to, co stawia przed nią opór, co jest trudnością i przeszkodą. Co niekoniecznie jest związane z pisaniem jako takim.

Doświadczam korzystnego wpływu przeciwstawnych impulsów. Krytyka zmusza mnie do większego wysiłku, koncentracji uwagi, precyzji wypowiedzenia. Z kolei pochwała jest zachętą i uskrzydleniem.

To się nazywa niespodzianka: głos Amy Winehouse (utwór Rehab) w komórce Krzysztofa Myszkowskiego...

Umarła Babcia, magnes przestał przyciągać mnie w rodzinne strony.

Widziane z wydmy, morze jak po schodach falami przybliży się ku brzegowi. Uparcie szuka dla siebie więcej miejsca. Ale go nie znajduje.

Dziwić się zjawisku przemiany zdeklarowanych antywałęsistów w szlachetnych obrońców zagrożonego ich zdaniem (za sprawą opublikowania przez IPN książki poświęconej agentowi PRL-owskich służb specjalnych) autorytetu noblisty? Warto starać się zrozumieć dialektykę tej przemiany? Czy w ogóle nastąpiła jakaś przemiana?

Po lekturze wyboru wierszy Asortyment Tadeusza Pióry czuję się, jakbym uczestniczył w łapaniu po ciemku kotów w dużej stodole...

„Idzie o to, żeby szło. Miało wzięcie. Działo. Żyło. A o autorze czy kto wie coś – nazwisko, parę rzeczy – to po iluśset latach, po trzech tysiącach, po naprzekładaniu i tak na jedno wychodzi” – Miron Białoszewski w Mówieniu o pisaniu, którym opatrzył Poezje wybrane (1976), w 2008 przypomnianym w Sprawdzonym sobą.

Jeszcze raz Białoszewski: „Wszystko jest godne uwagi dla takiego pisania jak moje”.

Piotr Szewc



RECENZJE

Leszek Szaruga

Wor(e)k in Progress

Ostatnie wydanie wierszy zebranych Tadeusza Różewicza zamyka dość pozornie zaskakująca refleksja:

jakie pokusy czekają
na starego poetę?

żeby znaleźć się w piaskownicy
z dadaistami (...)

Sprawa wydaje się niepoważna, ale jest zasadnicza. Nie tylko dlatego, że wiersz ten jest swego rodzaju echem dziennikowych zapisów starszego brata poety, Janusza Różewicza, który w partyzanckich okolicznościach wybuchu nagle zachwytem dla dadaistów. Także dlatego, że prowokacja, jaką jest praktyka dadaistyczna – prowokacja nie tylko wobec publiczności, lecz także wobec samej istoty sztuki – jest żywiołem pisarstwa autora Kartoteki. Zabawa w piaskownicy – w dodatku akurat w towarzystwie dadaistów – jest dla starego poety pokusą. Co to znaczy?

Nie znaczy to oczywiście „powrotu” do dzieciństwa – Różewicz wie przecież, że żadnych powrotów nie ma. To znaczy raczej budzenie dziecka w sobie. To znaczy – budzenie bezinteresownego zainteresowania czy to światem, czy poezją: bawi się w końcu „stary poeta”, który z bycia poetą się nie wyzwolił: Różewicz, w odróżnieniu od Przybosia, poetą nie „bywa”, on poetą „jest”. I to jakim. I to takim, który potrafi wypowiedzieć słowo – będące tytułem ostatniego wiersza najnowszego zbioru Kup kota w worku – Àladerrida.

Cóż to za słowo? To słowo, które otwiera wielką przestrzeń interpretacji, którą w mojej lekturze otwiera pierwsze zdanie Elementarza Falskiego: „Ala ma kota” (przecież także rytmicznie wszystko tu jest w porządku). Gdyby zapis pozostał „zgodny” z regułami, musiałby Różewicz zatytułować ten utwór „À la Derrida” i wtedy oczywiście cała zabawa na nic. A tak mamy już na samym początku sygnał komentujący zdanie o tym, że „wszystko jest tekstem”. Przy czym ten akurat tekst Różewicza jest „wszystkim”: system nawiązań, aluzji, dygresji buduje wielką przestrzeń (auto)ironicznej parodii

Derridy, o którym powiada się (skąd akurat mi się to „się” tu wzięło?; nie chcę przecież Różewicza ubezosołowić...) tak oto: „Napisałem ten «kawałek», bo Derridę podziwiam, ale jego karkołomne interpretacje proszą się o parodię. Erudycja Derridy przerasta często obiekt przez niego obrabiany”. Rzecz w tym, iż erudycja Różewicza także przerasta... Nie tylko erudycja, ale także zdolności kreatywne, które sprawiają, iż w sferze „filozofii” pojawia się postać „Haj! Degerra” (swoją drogą warto tego „filozofia” zestawić z Heideggerem z wiersza *Der Tod ist ein Meister aus Deutschland*, w którym filozof spotyka się z Celanem).

Ten „kawałek” stanowiący „parodię” Derridy (autora eseju Szibbolet dla Paula Celana, co w tym kontekście nie jest bez znaczenia) kończy fragment, który wydaje się kolejną erudycyjną pułapką:

(...) – mohn – mohn
 dotykamy tu sprawy
 ciszy np. cicho jak makiem
 zasiał... czy jest ważne kto
 zasiał, nie! ważne jest
 kto zebrał...

No i tak: znów w tle Celan z jego debiutanckim tomem *Mohn und Gedächtnis* (Mak i pamięć).

Ten tom Różewicza, jak chyba niewiele wcześniejszych, wymaga nieustannej u-wagi, ale też ta u-waga nie powinna być podszyta wyłącznie po-wagą. Bo oczywiście mamy tu „poważne” odwołania do Kundery, lecz są one jednocześnie wzięte w nawias gry i zabawy, jak w poincie wiersza *Gdzie jest pies pogrzebany?*:

tak tylko odnajdziesz
 sens życia sens śmierci
 sens seksu znośną lekkość
 bytu odbytu i zbytu

Przy czym te kolejne „kawałki” ulokowane zostały na pograniczu pur-nonsensu, w przestrzeniach rzadko odwiedzanych przez polską poezję i raczej uznawanych za manowce niż za obszar, w którym moce kreacyjne zyskują dodatkowe impulsy. „Stary poeta” jednak ulega pokusie: bo czemu nie? Tyle, że owe „nonsensa”, tak miłe Słowackiemu, nie są przecież sensu pozbawione. Więcej: wydostając się z uniformu „poezji”, rozluźniając rygory formy – w poszukiwaniu „formy bardziej pojemnej”? – dokonuje interesującej diagnozy stanu naszej kultury. Przede wszystkim widoczne

jest to w warstwie językowej: uprawiane przezeń lingwistyczne zabawy, a także stosowane zwroty kierują ku dyskursowi stworzonemu przez reklamę czy – z drugiej strony – narracje postmodernistyczne. Dlatego też w Nowej dramaturgii w „wierszu” Gwóźdź do trumny (sztuka w jednym akcie) znajdziemy następującą pointę:

Uwaga dla Realizatorów:
róbta co chceta
autor

(Swoją drogą to irytujące, że mój komputer wie lepiej i gdy przepisuję „róbta” oraz „chceta” automatycznie mi poprawia na „rób ta” i „chce ta”.) Ale ta pointa nie dziwi w okolicznościach, w których wolność pojmowana jako swoboda poddana wewnętrznej dyscyplinie przekształca się w samowolę i dowolność. Konstatując ten stan rzeczy poeta – podmiot liryczny (!) – pozostaje wobec niego w ironicznym dystansie. Podtytuł tomu – work in progress (brzmi znajomo, prawda?) – dotyczy Wszystkiego. Ale dotyczy też stanu języka polskiego, jak w „kawałku” zatytułowanym przyj dziewczę przyj: „w suwerennym kraju który odzyskał wolność w roku 1989 a teraz ma odzyskać wolność równość niepodległość zaczął zanikać panujący język polan – przepowiedzieli to zresztą zakichani futurologi lingwiści którzy stwierdzili że będą zanikały kolejno języki mniejszych plemion i grup etnicznych – na rzecz języka angielskiego jako języka globalnego i superjęzyka amerykańskiego”.

Przy czym Różewicz bardzo świadomie zaciera granicę między „wysokim” i „niskim”, „elitarnym” i „masowym”. A nawet więcej: bierze w nawias te wszystkie określenia. Usuwa je z przestrzeni dyskursu o sztuce. Są nieważne. Ważny jest gest artysty, poety – jego „chcę”. Dzieło jest „kotem w worku”. Cat in progress. Każda Ala może z niego uczynić coś à la... Na wzór i podobieństwo. A wszystko to w gigantycznym zmieszaniu pojęć, obrazów, skojarzeń, w kosmosie przemijających chwil, jak w Kluskach:

zostaną kluski pluski
pamięci
i zamek krzyżacki
w Malborku z Zośką Loren

Można by, oczywiście, mieć do Różewicza pretensje o to, że używając pojęcia „kluski” zredukował i ośmieszył producentów makaronu: aktorka reklamowała makarony, a nie jakieś tam kluski. Lecz przecież Różewicz robi

to celowo – wie doskonale, że choć można traktować kluski jako synonim makaronu, to tak naprawdę tylko makaron jest godnym Sofii Loren „produktem”, kluski zaś jakoś nie bardzo do gwiazdy pasują. Lecz w poincie już wiemy dlaczego „kluski”: dlatego, że „pomniejszają” aktorkę, która się godzi na występ w ich reklamie: „PS/a tak ją uwielbiałem/przez 44 lata”. A zaraz potem niespodzianka: ilustracja – wierszyk Goethego Ślepa krowa (drukowany „gotykiem”, który z trudem odczytuję, nie mam w tym wprawy) i dopisany odręcznie „kawałek” zakończony wyznaniem: „plączę się w zeznaniach/jak każdy zakochany maniak/kocham wierszyk Goethego o/blinde Kuh/Ciuciubabka... Ufff!”.

I teraz problem: czytać to w całości „tekstu”, jakim jest ten tom ilustrowany (z małym wyjątkiem) przez samego autora? Traktować tę całość jako przemyślaną kompozycję? Pewnie tak, ja w każdym razie tak to traktuję. Tu zresztą otwiera się poważne pole „literaturoznawczych” odczytań dla tych zwłaszcza badaczy, którzy zwracają uwagę na związki tej poezji z plastyką. Te rysunki i odręczne zapisy to przecież swoiste „kaligrama”, a zatem już nie „ilustracje”, lecz coś więcej. Tym bardziej, że zarówno rysunki, jak charakter pisma mają w sobie coś „dziecinnego”, godnego Ali, która ma kota i dopiero uczy się czytać i pisać. Więcej nawet: jest w tym jakaś manifestacja „naiwności” dziecięcej, w której więcej jest powagi niż chcemy i potrafimy dostrzec. To bardzo interesująca zabawa „w piaskownicy z dadaistami”.

Leszek Szaruga

Tadeusz Różewicz, Kup kota w worku (work in progress), Biuro Literackie, Wrocław 2008

Zofia Król

Miseczka dla kota

„Prawdziwe życie jest nieobecne” – cytuje Julia Hartwig Rimbauda. Nieobecne? A czymże są Błyski, jeśli nie właśnie – wbrew temu zdaniu – ciężką pracą nad uobecnianiem życia? Nie tylko swojego. Bo jedną z wielkich zalet Błysków jest skromność ich autorki. Cudze zdania traktuje na równi z własnymi. Cytaty podaje jako inne wersje własnych myśli. I nie ukrywa, że niekiedy są to wersje lepsze. Jakże często przecież najcenniejsze fragmenty literatury, które towarzyszą nam potem przez całe życie, to właśnie lepsze

wersje naszych własnych myśli, wywołanych, wyklutych, przekształconych dzięki trafnym słowom pisarza. I tak na przykład autorka tomu przeczytała kiedyś u Miłosza: „Co po radości bez świadomości”. Myśl poniekąd oczywista, ale przez swoją lapidarność zaskakująco precyzyjna. I taką nową formę nienowych już i często w kulturze od dawna obecnych myśli świadoma jej znaczenia autorka próbuje dać także i swoim czytelnikom.

Doświadczony czytelnik literatury zachowuje jednak zwykle – poniekąd słusznie – pewien dystans do ksiąg gromadzących luźne zdania, aforyzmy, nieuporządkowane okruchy myślenia. Tym razem już sama autorka podkreśla, że jej intencją nie była księga „mądrych zdań”, a jedynie – ten sam doświadczony czytelnik będzie wiedział, że takie „jedynie” to raczej „aż” chwytnie tego, co „momentalne, nie do końca określone”. Uobecnianie życia. Niezгода na starość. Bo starość to właśnie wtedy, kiedy – jak pisze autorka – „pozwala przepływać obrazom i słowom, które kiedyś wydawały się cenne i warte zapisania”. Błyski są – jeśli je porównać do najnowszych form słowa – literacką odmianą „twittera” – internetowego micro-bloga, w którym dozwolone są tylko wpisy do stu czterdziestu znaków, zwykle prowokowane przez konkretne pytanie typu: „Co teraz robisz?”. Twitter Julii Hartwig także ma swoje pytanie.

Podobno – a wiemy to od kilku znanych wszystkim autorów albo z własnego doświadczenia – cała twórczość jednego człowieka bywa tylko próbą napisania jednego jedyne go trafnego zdania. A opasłe tomy niewarte są jednej dobrej linijki. Albo – jak Wat pisał o Prouście – cała twórczość to tylko komentarz do wiersza, który nigdy nie został napisany. W tym sensie próba odgadnięcia treści owego pytania, które stawia sobie poetka, nabiera dodatkowej powagi. Nie podejmę tutaj tej próby, wykracza ona poza możliwości krótkiego tekstu, ale być może samo podejrzenie, że takie pytanie – nie do końca sformułowane, nieuchwytne w słowach – gdzieś w tle jej twórczości istnieje, przybliży nas do trafnej interpretacji form odpowiedzi, którymi są przecież wiersze Julii Hartwig. A Błyski – to okruchy wierszy, nierozwinięte zawiązki i resztki pozostałe po przycięciu wierszy do form zamkniętych. „W gruncie rzeczy jeden jest tylko temat, jeden stały motyw, do którego wracamy bezustannie; jest on wyrazem naszej miłości do świata, naszej uwagi dla niego; nie umiemy bowiem i nie próbujemy nawet objąć całości z jej okrutnym bezładem” – potwierdza poetka.

Bliższa niż twierdzenie Rimbauda jest jej – cytowana zresztą w Błyskach trzy strony dalej – myśl Virginii Wolf z Dziennika: „Ogromny sukces naszego

życia polega, jak sądzę, na tym, że nasz skarb jest dobrze ukryty; a raczej zawiera się w tak zwykłych rzeczach, że nic nie jest w stanie go naruszyć". „Jak bliskie jest mi to zdanie” – wyznaje Julia Hartwig. „Błogosławiony, który umie powiedzieć: Jaki szczęśliwy dzień” – dodaje w innym „błysku”. Skarb i sukces życia zawiera się w drobnych rzeczach, a zatem i tajemnica drobnych „błysków”, które mają przecież owo życie uobecniać kryje się w zwyczajności. „Nigdy nie zniżaj się do złudy” – powtórzy Julia Hartwig za Kawafisem. „Na tarasie hotelu w samym środku Rzymu stoi pod ścianą miseczka z wodą. W razie gdyby przyszedł kot.” Wśród „błysków”-cytatów i „błysków”-myśli czytelnik z przyjemnością rozróżni najjaśniejsze, choć subtelne, „błyski” zwyczajności. Zwyczajności wspomianej nie z tęskną melancholią, ale ze spokojnym zamyśleniem, twórczą i stanowczą akceptacją. „Bez żalu, (...) ale wspominając” – zaznacza poetka. Podobnie to sformułował wiele lat wcześniej w ostatnim wersie wiersza o pewnym zajacu (Spotkanie) nie pierwszy raz wśród „błysków” obecny Czesław Miłosz: „(...) gdzieś są, dokąd idą/Błysk ręki, linia biegu, szelest grud –/Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia”.

Być może zatem przyjemność, jaką czerpie z lektury *Błysków* – podejrzliwy początkowo – czytelnik, polega w dużej mierze na upewnianiu się w niektórych własnych myślach na temat świata, i – co ważniejsze – na mozolnym uczeniu się języka, który potrafiłby je wyrazić. Przy okazji rozważań nad językiem wspomina Julia Hartwig ważną wątpliwość Barańczaka, czy wśród słów można rozróżnić odświętne i powszednie – czy zatem język poezji różni się – jako taki – od języka zwyczajności. Pojawia się tu także zmartwienie wszystkich poetów – liczne desygnaty bez nazwy, tragiczna niewystarczalność słów wobec złożoności świata.

Pracuje zatem autorka ciężko nad uobecnianiem (czy też u-obecnianiem, jak zapisałby Norwid) życia, ratując okruchy wierszy i drobne chwile od przeminięcia bez echa, a siebie od zwątpienia i starzenia się ducha. Wspólnie z czytelnikiem zatrzymuje się przy miseczce zostawionej dla kota; przy gęstwinie drzew, która „jest, bo jest, a nie dlatego, że ty jesteś i żeby cię tym uszczęśliwić”. I nagle, w jednym z najkrótszych „błysków” pyta: „Po co słońce wchodzi do pustego pokoju?”

Po co? Otóż po lekcji „błysków” wiemy już, że słońce w pokoju także „jest, bo jest, a nie dlatego, że ty jesteś i żeby cię tym uszczęśliwić”, a jednak jakoś – niejako przy okazji własnego istnienia – uszczęśliwić może, jeżeli tropem Virginii Wolf i Julii Hartwig czytelnik doceni ów dobrze ukryty

skarby zwykłych rzeczy. „Sztuka służy społeczeństwu, obalając jego konwencje i przeświadczenia”. Obalenie przeświadczeń może polegać przecież paradoksalnie także na przywracaniu należytej powagi codzienności.

Zofia Król

Julia Hartwig, Trzecie błyski, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2008

Krzysztof Myszkowski

Portret Miłosza
z Giedroyciem i z „Kulturą” w tle

Monumentalny, liczący prawie 800 stron tom listów Czesława Miłosza i Jerzego Giedroycia z lat 1952–1963 robi duże wrażenie. Przede wszystkim jednak wrażenie robi Miłosz, jego postawa i udział w ramach tego chyba największego dla kultury polskiej przedsięwzięcia po roku 1945. Nie uświadamiałem sobie tej roli Miłosza, ale teraz widzę wyraźnie, że bez niego „Kultura” nie byłaby tym, czym była, nie miałaby tak wielkiej skali i tak wielkiej siły. Nie umniejszam roli Giedroycia, chylę przed nim czoła, ale tu, w tych listach, widać jak na dłoni, że zasadniczy ton i kierunek całości nadał jednak Miłosz i że to on był głównym wykonawcą i inspiratorem spraw i rzeczy moim zdaniem w „Kulturze” najważniejszych. Wielkość Giedroycia polegała między innymi na tym, że prawie od razu wiedział, z kim ma do czynienia, a w przypadku Miłosza wiedział to aż nadto dobrze i przy wszystkich oporach i obawach i tak różnych punktach widzenia na wiele spraw, dzielnie go wspomagał i dawał mu w swoim piśmie szerokie pole do działania.

Widzimy, jak oni się w tym labiryncie, jakim była skomplikowana rzeczywistość lat pięćdziesiątych i początku lat sześćdziesiątych, sprawnie poruszają, jak są uważni, jak świetnie przygotowani i skuteczni, a jednocześnie jak bardzo oddani sprawie. Napięcie jest widoczne od początku: Giedroyc to zwierzę polityczne, o dosyć dziwnych jak na tamte czasy poglądach, bardzo oryginalnie ukształtowany, a Miłosz to zwierzę literackie, pisarz z krwi i kości i, co już wtedy było jasne, pisarz wybitny, z ogromnymi możliwościami i z wielkim ładunkiem w sobie. Trwają na przeciwnych biegunach, patrzą na rzeczywistość z dwóch różnych stron i muszą, jeżeli chcą ze sobą współ-

pracować, te dwa sprzeczne punkty widzenia godzić, chociaż jest to trudne jak godzenie wody i ognia.

Tom otwiera ważny list rozrachunkowy z marca 1952 roku, napisany przez Miłosza po opuszczeniu Maisons-Laffitte, gdzie przebywał trzynaście miesięcy po ucieczce z PRL-u. Nie czas i nie miejsce przypominać tu „sprawę Miłosza”, piekło, jakie wtedy przeżył i zachowanie Redaktora, który wykazał się odwagą ducha i najwyższą przenikliwością w sytuacji jakby podwójnie (czy potrójnie) zagmatwanej. Podziwiam wielką klasę ich obu – to jest bezcenne dziedzictwo szlachty polsko-litewskiej, z której obaj się wywodzą.

Gdy zapytałem Miłosza, jak mógł tak długo wytrzymać z Giedroyciem, jak to było możliwe, że przy tak wielkich różnicach między nimi, współpraca ich jednak układała się i utrzymywała, odpowiedział jednym słowem: Litwa. „Wszystko robili na Litwie ci szlachcice!” (Polacy – przypis mój. K.M.), pisze Miłosz w związku z wymianą uwag o Biblii po litewsku, którą chciał wydoستاć od Giedroycia i w innym miejscu dodaje: „A właściwie, to przecie Pan jest trochę od Wielkiego Księstwa, między innymi dlatego jest mi Pan bliski, przecie my to nie to samo co «miełkaja swołocz» z Królestwa”.

Miłosz był bezcennym skarbem dla Giedroycia. Pamiętamy korespondencję Redaktora z Gombrowiczem (tom omówiony w „Kwartalniku Artystycznym” 2007 nr 2 (54)), w której autor Ferdurke zajęty jest przede wszystkim sobą i promowaniem siebie. A Miłosz od początku jest jak lokomotywa: gdyby odciąć go od „Kultury”, to ta od razu straciłaby impet, a ponadto nie wiadomo, na jakie by wjechała tory. Giedroyc był jednak bardzo konserwatywny, a Miłosz go „liberalizował”, czynił bardziej giętkim: takie wtedy były znaki czasu i Miłosz to widział i umiejętnie całą rzecz prowadził, gdy Giedroyc był zanadto sztywny i mało mobilny. „Świat pędzi, zmienia się. Każdy rok i każdy miesiąc ma własną miarę. Nie trzeba nigdy podejmować przebrzmiałej pieśni, bo wtedy tracimy możliwość oddziaływania na innych, jak to należy do pisarza, piórem”, pisze Miłosz.

Giedroyc całe to przedsięwzięcie ciągnął w stronę polityki i po latach dobrze widać, jak większość z forsowanych przez niego tematów, podporządkowanych „celom doraźnym a wątpliwym”, już prawie nie istnieje. „Kultura” żyje tym, co jest w niej literackie, a więc na długą metę zakrojone i na o wiele szerszą skalę, niż polityczne strategie i taktyki. Miłosz od początku stawiał na literaturę, forsował ją w „Kulturze” i mocno ją tam ustanawiał, a potem pilnował i dbał o jej jak najwyższy poziom. Pisał: „Ma Pan tendencję do zbytniego ciągnięcia na stronę pism politycznych. «Kultura» tylko dlatego

ma znaczenie, że pisują do niej ludzie dobrzy literacko. Tę literacką stronę Pan często traktuje jako serwitut". „Nie uświadamia ona («Kultura» – przyp. mój. K.M.) wcale, co wydzwignęło ją do rzędu trwałych pozycji w dziejach kultury polskiej. Nie są to polityczne koncepcje ani mnożenie artykułów czy książek, które mają odpowiadać aktualnym politycznym potrzebom. «Kultura» ma istnienie nie tylko iluzoryczne dlatego, że drukowała pewną ilość dobrych polskich autorów. Rozgłos i sukcesy spowodowane polityczną sensacją mają znaczenie drugorzędne, jest to przemijająca piana." „Życzyłbym «Kulturze» żeby więcej poznała się «w jestestwie swoim», pisma problemów. Literackim: literatura jest błogosławieństwem, bo mieści w sobie wszystko, powie wszystko swoim językiem. Dlatego można zdobyć się na optymizm, patrząc z dystansu na Polskę: literaturze łba się nie ukręci, chyba że nowy Żdanow, co mało prawdopodobne. Ale «Kultura» ma tutaj duże zadania i dużo może pomóc." „Z całej piany doraźnych polemik, ideologii, skakań sobie do gardła, zostały tylko książki dobrych pisarzy i zawartość tołstych żurnalów. Ale oczywiście nigdy nie chciał Pan wydawać tołstego żurnala, tylko tygodnik polityczny w formie miesięcznika."

Giedroyc nie znał się dobrze na literaturze i jeżeli interesował go jakiś pisarz, to głównie z powodów politycznych i ideowych. Wierny był Żeromskiemu, zachwycał się na przykład prozą Sołżenicyna, chwalił Pasternaka, a Zniewolony umysł wyżej cenił od Ziemi Ulro. Wspólny był ich podziw dla pism Brzozowskiego.

Ale Miłosz od początku wiedział, o co mu chodzi i konsekwentnie robił swoje. Był zaangażowany i aktywny i „Kultura” raz po raz stawała się, jak to określał Redaktor, „zamiłoszona”. Przez długi czas obecny był w prawie każdym numerze i występował nie tylko jako czołowy autor-pisarz, ale wręcz jako redaktor prowadzący, dbający o całość i o szczegóły. Dawał Giedroyciowi wytyczne i kierował pismo na dobre drogi. Píše: „Ostatecznie interesy moje są w pewnym stopniu interesami «Kultury» i na odwrót, interesy «Kultury» są w pewnym stopniu moimi interesami". „W ciągu wielu lat dbałem o dobro «Kultury» jak o swoje własne; ściągając do niej, jeżeli nadarzyła się tylko okazja, ludzi, pomysły i idee."

Tłumaczy Giedroyciowi, jak trzeba przeprowadzać ankiety, że ważny jest stosunek do szczegółowych kwestii i trzeba zadawać konkretne pytania, a nie ogólne, wprowadzić odpowiadających w „krzyżowy ogień pytań”, a o ogólne wnioski niech troszczą się inni. Wyjaśnia pożytki wynikające z zestawienia w numerze kontrastowych do siebie pisarzy. Poucza, że przekładów nigdy

nie drukuje się przed wierszami. Ocenia i kwalifikuje do druku wiersze (Giedroyc niestety nie zawsze go słucha), przygotowuje do publikacji teksty innych pisarzy, robi przekłady. Pilnuje, żeby nie drukować w „Kulturze” grafomanów: „Grafomanów należy tępić, a nie im pobłażać, bo wyrządza się szkodę i im – rosną w dumę, i publiczności, która w tym chaosie już nic nie będzie mogła odróżnić, co literatura, co lipa. (...) Bieda z grafomanami na tym polega, że są niezwykle przebiegli, maskują się na wszystkie sposoby i dostosowują się do mody. Popieranie grafomanów jest słabym punktem «Kultury»”. Pisze sprawozdania, recenzje („Zresztą mnie pisanie recenzji bardzo szkodzi, bo odrywa od innego pisania.”), noty o książkach i o czasopismach („Noty o książkach i czasopismach wydają mi się pozycją konieczną dla «Kultury», bo właśnie ten drobny materiał nadaje czasopismu gęstość.” „Co do książek, to zainteresowania moje są specyficzne i rzadko sięgam po nowości.”), wstępy, noty biograficzne, a nawet sfingowane listy do redakcji jako B. Grodek i redaguje listy do prenumeratorów. Robi korekty i adiustacje, pilnuje nawet tego, żeby pisownia tytułów i nazw pism, była ujednoczona (kursywa czy cudzość), ostro walczy z niechlujstwem korekt i stylu w „Kulturze”. Robi projekty numerów monograficznych i tematycznych, prowokuje do wymiany zdań na różne ważne tematy i do dyskusji (na przykład inicjuje polemiczne starcia z Gombrowiczem), ostro krytykuje sposób prezentacji „Kultury” na jej XV-lecie. Projektuje zadania wydawnicze i różne akcje promocyjne, omawia ukazujące się numery, załatwia wiele bardzo ważnych dla redakcji spraw, także spraw finansowych. I żadnych dużych pieniędzy za tę harówkę nie oczekuje, chociaż przecież ma na utrzymaniu żonę i dwóch synów i jest naprawdę w fatalnej sytuacji finansowej.

Pisze: „Służę czymkolwiek Pan życzy do numeru. Chciałbym oczywiście, żeby był jak najbardziej literacki. Wie Pan, że chcę jak najlepiej i że nie o osobistą ambicję mi chodzi, tylko żeby numer wzbogacić, więc jak Pan chce, to mogę coś dać – wybrać, odrzucić, wszystko jedno”. A Giedroyc wykorzystuje i eksploatuje Miłosza jak tylko może, co rusz ma do niego jakieś redakcyjne interesy (i chwala mu za to), pisze: „Niech się Pan nie gniewa za tak interesowny list, ale to już mój genre być dokuczliwym, nudnym i nieprzyjemnym”. „Masę mam poza tym spraw do Pana.” Konsultuje z Miłoszem i uzgadnia różne poprawki, szczegółowo wyjaśnia, o co mu w danych sprawach chodzi, pisze o swoich kalkulacjach, kombinacjach, a nawet tajemnicach. Miłosz w tym czasie przeżywa bardzo trudny okres, niepewny jest jego byt materialny i jego dalszy los, a przecież, oprócz prac

dla „Kultury”, pisze ważne książki, wiersze i wiele tłumaczy. Rozwija się i pracuje jak żaden inny polski pisarz.

To Miłosz na łamach „Kultury” wprowadza do polszczyzny m.in. Simone Weil, Jeanne Hersch, Thomasa Mertona, Walta Whitmana, T.S. Eliota, Kawafisa, propaguje m.in. Oskara Miłosza, Stanisława Brzozowskiego, Stanisława Vincenza, Camusa, podkręca Gombrowicza, zachwyca i inspiruje Jeleńskiego etc. Giedroyc raz po raz pisze, że liczy na jego pomoc. Podpatrujemy działania Redaktora: jego zabiegi, taktykę, to, jak realizuje swoją wizję polityczną, jak zajęty jest tysiącem spraw szczegółowych, kontaktami z całą armią ludzi, jak panuje nad tym wirum wydawniczym i redakcyjnym, mając przecież tak małe środki i tak, wydawałoby się, niewielkie pole manewru.

Tak, chwała Giedroyciowi, ale dla mnie postacią pierwszoplanową jest tu Miłosz. Pisze: „Może zauważył Pan moją szczególną cechę, która polega na giętkości trzciny, na giętkości do pewnych granic i jest w tym pewna logika mojej chwiejności, która au fond chwiejnością nie jest, ale oznacza uwagę i ważenie argumentów z przyjęciem tych, co są słuszne. (...) Gdyż time marches on – czas idzie naprzód – i albo ktoś uchwyci nitkę czasu, albo powoli jest dystansowany”. Jest to konieczne, jeżeli chce się utrzymywać wysoki poziom pisma i jednocześnie kierować się w mimo wszystko dobrą stronę: „Niewątpliwie jesteśmy na jakimś zakręcie i chodzi o to, żeby nie zastygać i nie zostawać w tyle” – przestrzega Giedroycia.

Miłosz nie raz przypomina, żeby nie zastygać w kostiumach i tłach tylko patriotycznie pojmowanej „męczeńskiej Polski”, ale nadawać literaturze polskiej, a więc polskiemu myśleniu i duchowości I u d z k i c h wartości, co jest ważne dla naszego odbioru na świecie i ma w tej sprawie w Giedroyciu dobrego sprzymierzeńca. Nie chodzi o to, jak mówi w innym miejscu, żeby łowić wędka, ale żeby łowić siecią!

Przestrzega przed rutyną i doktrynerstwem: „Kiedy dosiegamy wieku i wyglądu starego pawiana, mamy w sobie płytę z nieźle odcisniętym repertuarem i biada nam, jeżeli co pewien czas nie zrzucimy ją energicznym kopnięciem (tylniej) nogi”. Jest ciągle w przemianach, ciągle nad sobą pracuje, zmienia się i rozwija i podkreśla to, jakby to była dla niego rzecz najważniejsza.

Inną ważną cechą Miłosza jest a p e t y t d o ś w i a t a. Pisze: „Nie jestem od bicia w wielki dzwon, moje wiersze niekoniecznie są optymistyczne, myślę tylko, że literatura ma jakąś moralną odpowiedzialność, sprowadzającą się do jednego, że ma podniecać w czytelniku a p e t y t d o ś w i a t a. Wszelka walka o coś, wszelki podziw, a nawet nieszczęście intensyfikują świat, czynią

go wartym życia". I uzupełnia: „Ciągła negacja i określenie siebie tylko przez to, przeciwko czemu się jest, nuży swoją monotonią i tu jest przyczyna – niechęci ludzi w Polsce do negacji, jako niepłodnej – bo ludzie w Polsce wiedzą przeciwko czemu są, ale nie wiedzą, za czym być można”.

W październiku 1960 roku Miłosz obejmuje profesurę w Berkeley („W ogóle Berkeley jest trochę jak Wilno i USB” – pisze), ma dużo nowych zajęć i zabezpieczony byt finansowy, ale współpraca z „Kulturą”, rozumiana jako służba Polsce i polskiej literaturze, jest dla niego przez cały czas najważniejsza, nie rezygnuje z niej i nadal chce być w niej aktywny. W 1963 roku pisze do Giedroycia: „Niech więc nie posądza mnie Pan o wycofywanie się w wieżę z kości słoniowej, bo tak nie jest, to tylko czas się zmienia i zainteresowanie problemami mniej doraźnymi obejmuje coraz większą ilość ludzi. A «Kultura» drepce na miejscu. (...) Jest tyle zagadnień, które muszą być zrozumiane na nowo, tyle ocen i opinii, które muszą być przewartościowane, że trudno dziwić się współczesnemu człowiekowi, Polakowi, że doraźna publicystyka go nudzi”. Raz jeszcze pyta, co w piśmie powinno być *piece de resistance* (franc. danie główne) i dodaje: „Chcę być zupełnie szczery i mam nadzieję, że nie obrazi się Pan na mnie. Jak Pan wie, uparcie zawsze trzymałem się swojej linii, stosunki nasze powinny być oparte na zrozumieniu, że na litewski upór obaj cierpimy”.

Ale nie zawsze było tak ostro między nimi. Nieraz Miłosz rozładowywał napięcia humorem i żartem; tak na przykład kończy list z lipca 1960 roku: „Kreślę się pokorny sługa (ta gombrowiczowska formuła bardzo mi się podoba) Czesław”, na co Redaktor odpowiada tak, jakby Gombrowicz pisał listy tylko do niego: „Gombrowicz nigdy nie pisze «pokorny sługa». Kończy listy: «Kłaniam się i pozdrawiam», «uszanowanie i podziękowanie», «Nisko kłaniam» lub «kłaniam, życzę, pozdrawiam». Jerzy Giedroyc”. Trudno było żartować z Redaktorem.

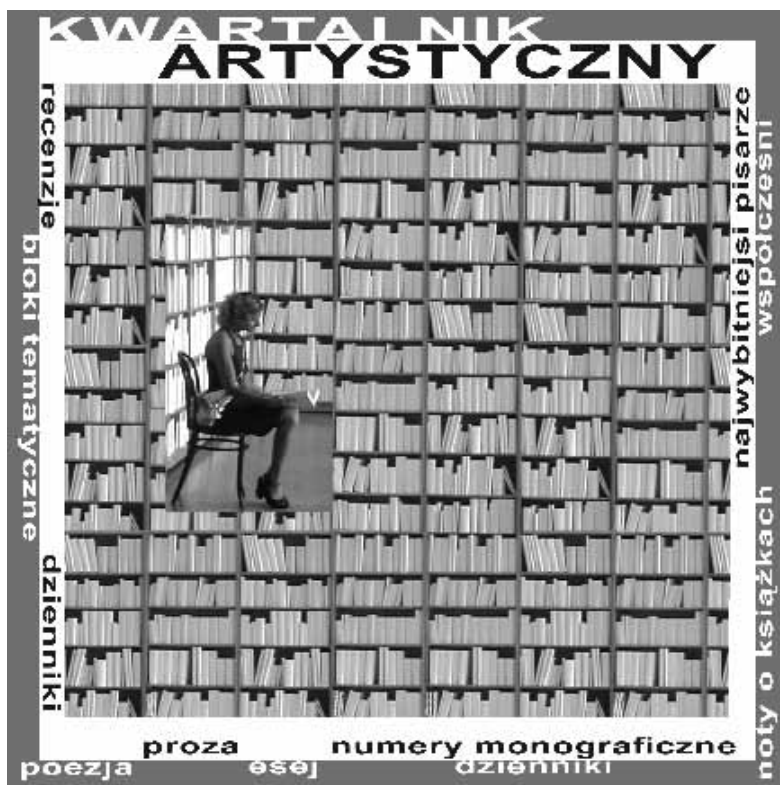
Zwieńczeniem tego tomu jest Aneks, w którym znajdują się bardzo ważne dla zrozumienia tej całości teksty Miłosza: głośny artykuł pt. Nie z maja 1951 roku, zaczynający się od słów: „To, o czym opowiem, można nazwać historią pewnego samobójstwa”, odpowiedź na komentarze do artykułu Nie, w której raz jeszcze wyjaśnia powody swojego postępowania, list Drodzy Rodacy – tekst pisany na krótko przed oficjalnym ujawnieniem się po zerwaniu z reżimem, kończący się pamiętnym akapitem: „Zostać wygnancom jest dla mnie większą tragedią, niż ktoś może sądzić. Lepiej jest jednak zostać poetą na wygnaniu, niż ulegać i szukać uczonych argumentów, aby wobec siebie

usprawiedliwić własną hańbę, jak to robi tylu pisarzy w Warszawie”, list do Redaktora i artykuł z 1959 roku pt. List do polskich komunistów, w którym pisze: „Cokolwiek żywotnego powstało w myśli i w literaturze dwudziestego wieku, zawdzięcza swój byt przede wszystkim «małym magazynom», utrzymującym się na powierzchni dzięki energii paru zapaleńców oraz prywatnej pomocy czytelników i sympatyków”, a także teksty Kajetana Morawskiego, Jerzego Giedroycia, Józefa Czapskiego, pisarzy polskich na emigracji, redakcji „Kultury” i Ireny Szymańskiej.

Przed nami dwa kolejne tomy tej korespondencji z lat 1964–2000, które są w przygotowaniu i na które czekamy.

Krzysztof Myszkowski

Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, Listy 1952–1963, opracował i wstępem opatrzył Marek Kornat, Archiwum „Kultury” pod redakcją Piotra Kłoczowskiego, tom 10, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2008



Noty o ksi¹żkach

*

Psalmy, natchnione pieśni religijne, należą do najwyższych osiągnięć literatury wszystkich czasów. To te teksty istniejące od ponad trzech tysięcy lat ustanawiają wzór kontaktu człowieka z Bogiem, są wiecznym wołaniem do Najwyższego o pomoc, o zmiłowanie się, o ukojenie ludzkiego serca. Tysiące i dziesiątki tysięcy ksiązek powstało o ich wielorakim fenomenie, a tłumaczenie tej Księgi jest każdorazowo próbą ogniową każdego języka. Żyjemy w środku potężnego bełkotu, który nas zalewa i niszczy i który jest świetnie, bardzo profesjonalnie zorganizowany. Ratunkiem jest zwięzłość, lapidarność i szacunek do słowa takiego, jakim ono jest w swojej istocie, czyli takiego właśnie, jakie spotykamy w Psalmach.

Na rabina dr. Izaaka Cylkowa trafiłem dzięki Czesławowi Miłoszowi. W Przedmowie do swojego tłumaczenia Psalmów Miłosz tak pisze o przekładzie Cylkowa: „Jest to przekład poetycko piękny, a jak następnie mogłem się przekonać, bardzo wierny, i przez to jeszcze szczególnie użyteczny, że Cylkow stara się zachować kolejność słów oryginału. Wrażliwy na modulację hebrajskiej frazy, nieco inaczej kształtuje werset, niż to czynią Biblie zarówno katolickie, jak i protestanckie, zawsze, niezależnie od źródła, ulegające wpływowi składni łacińskiej (a Biblia brzeska być może wpływowi kalwińskiej Biblii francuskiej). Polszczyzna Cylkowa jest bogata, niestety, nosi znamię okresu niezbyt dla niej pomyślnego. Niemniej jego następca nie może nie odwoływać się stale do jego rozwiązań – często bardzo szczęśliwych – i praca polega jakby na ciągłej z nim rozmowie”.

Jak podaje Polski słownik biograficzny Izaak Cylkow (1841–1908) to rabin, kaznodzieja synagogi warszawskiej, doktor filozofii i języków semickich. „Największą jego zasługą jest jego piękny i wzorowy przekład Pisma Świętego na język polski. Jest pierwszym Żydem, który podjął się tej pracy i wykonał ją według wszelkich zasad nauki. Każdą księgę opatrzył wstępem i komentarzem, przy czym trzymał się drogi pośredniej między skrajną krytyką protestancką a tradycyjną nauką żydowską.”

Przekład Psalmów Dawidowych ukazał się w 1883 roku jako pierwszy zeszyt wydawanej w Warszawie, a potem w Krakowie Biblii dwujęzycznej, hebrajsko-polskiej. Po Psalmach Cylkow przełożył Pięcioksiąg, którego reprint

Tora. Pięcioksiąg Mojżesza Wydawnictwo Austeria wydało w 2006 roku (został omówiony w „Kwartalniku Artystycznym” 2006 nr 3–4 (51–52)). Teraz w Austerii ukazują się kolejne tomy, a w zapowiedzi są następne i chociaż mało kto się tym interesuje, dla nas jest to wielkiej wagi wydarzenie.

Pięć Ksiąg Psalmów zestawionych jest na podobieństwo Pięciu Ksiąg Tory i, jak mówi Szimusz Tehilim (Posługiwanie się Psalmami): „zawiera w sobie straszliwe i cudowne tajemnice, [przeznaczone do tego], by bronić i ratować człowieka od nieszczęść”. W Przedmowie zamieszczona jest lista przypisująca każdemu psalmowi sytuacje, w których jest pomocny.

Sławny rabi Nachman z Braclawia, znany z Opowieści chasydów i innych ksiązek w opracowaniu Martina Bubera, ustanowił zwyczaj odmawiania tzw. Tikun haklali – modlitwy składającej się z Psalmów: 16, 32, 41, 42, 59, 77, 90, 105, 137 i 150 – zaręczając swoim uczniom, że odmawianie tych dziesięciu psalmów każdego dnia zapewnia duchowe uzdrowienie, sprowadza wewnętrzne oczyszczenie, radość oraz inne dobrodziejstwa, a ten, kto odmawia Tikun haklali, zostanie poprowadzony prawdziwą, przeznaczoną mu drogą, nie zaznając na niej przeszkód duchowych. Jak dodaje: „Jest wielkim dobrodziejstwem ze strony Boga, że pozwala nam zwracać się do Niego na ludzki sposób”.

W krótkim, ale bardzo treściwym wprowadzeniu Cyłkow mówi: „W tłumaczeniu starałem się zachować żywość i barwność oryginału, przede wszystkim jednak szło mi o ścisłe i dokładne oddanie znaczenia wyrazu. W komentarzach zwracałem szczególną uwagę na sytuację historyczną, na wyjaśnienie okoliczności, w których każdy autor pieśń swą ułożył, bez dokładnego zbadania których starożytne utwory, a zwłaszcza utwory poetyczne stają się ciemnym zbiorowiskiem zdań, bez związku i treści. Nie mniejszą uwagę zwracałem na etymologię, wyjaśnienie figur retorycznych i trudniejszych zwrotów mowy, aby ułatwić początkującym zrozumienie właściwości ducha języka hebrajskiego. W ogóle starałem się, o ile być może, rzucić światło na odrębny i mało u nas znany świat literatury biblijnej, która oprócz znakomitej, wewnętrznej swej wartości przedstawia najwyższy interes pod względem religijnym”.

W Uwagach wstępnych omawia Cyłkow podział psalmów, ich styl: „Styl psalmów ścisły i zwięzły, odznacza się wyborem wyrazów dobitnych i malujących, a w szczególności przenośnikami z życia i natury uchwyconymi”, właściwy im rodzaj poezji, ich muzykę i rytm oraz kształty rytmu, strofy,

napisy, autorów, a także: chóry, nazwy chórów, znak Sela, wyraz Lamnaceach, melodie, redakcję i czas powstania.

Cenna Księga, która może wiele zmienić w życiu każdego z nas, bylebyśmy tylko tego chcieli. Ta Księga czeka na nas.

K.M.

Psalmcy, tłumaczenie Izaak Cylkow, reprint wykonany z oryginalnego egzemplarza, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt 2008

✱

W tym wypadku należy zaufać „człowiekowi, który lubi symbole”, subtelnie ukrytemu za wizualizacjami amorficznej, czasem rozmytej przez deszcz, a czasem nakreślonej wyrazistym konturem rzeczywistości. Utwory Janusza Stycznia z tomu Zamarznięty łabędź sytuują swój świat przedstawiony gdzieś między realnością a tym, co można nazwać tajemnicą ukrytą w psyche. Nakładające się na siebie obrazy, tworzące serię potworniejących widokówek z fotoplastykonu, zdradzają tak charakterystyczną dla poetyki Stycznia wyobraźnię penetrującą te obszary, które nie poddają się logicznej interpretacji, które nie funkcjonują w świecie czasoprzestrzennych zależności. Wykorzystywanie narzędzi nadrealizmu to differentiam specificam twórczości Stycznia już od czasu Lustru-sofista z 1969 roku. Zamarznięty łabędź konsekwentnie nawiązuje do wcześniej stworzonej mapy słów-kluczy, surrealistycznych motywów, ulegających transformacji przedmiotów, a jednocześnie rozwija je i uzupełnia. Również i tutaj dostrzec można kpinę z mimetyzmu – prozaiczne czynności, to, co zwykłe, staje się pierwszym planem, najbardziej widocznym, rzucającym się w oczy. Tak, w oczy, bo ta poezja jest żywołem oka właśnie. Oddziałuje na ten zmysł, a jednocześnie tworzy przestrzenie, których spojrzeniem nie można objąć. Tu wszystko widać, a bardzo rzadko słyhać, choć paradoksalnie opisywane jest to, co bez krzyku obejść się nie może. Drugi plan zaś to transcendencja – trudne do uchwycenia lęki przed życiem i śmiercią, wyczuwalna obecność Parek, ból dojrzewania, samotność, niszcząca rola rodziców, erotyzm, a jednocześnie gra zbiorową nieświadomością. Styczeń bowiem opowiada baśń. Dzięki zastosowanej liryce „cudzego głosu” prowadzi przez labirynt myśli swych dziecięcych bohaterów, przeżywających i poznających świat według zasad, jakimi rządzi się nadrealistyczna wyobraźnia. Brak indywidualizacji

natomiast włącza mechanizm mityzowania, dzięki któremu poeta zbliża się do wspólnych skojarzeń. Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że mimo ahistoryczności i ageograficzności dziewczynka biegnąca przez las (Skakan-ka) czy chłopiec patrzący na pole (Na ścierniskach czasu) to dziewczynka i chłopiec zanurzeni we współczesności, samotni na „rumowisku pięknych przedmiotów”. Styczeń jakby wbrew powierzchownej estetyce dzisiejszej kawiarni (Dziewczynka z chryzantemami) wprowadza w sfery egzystencjalnych rozterek, które się nie dezaktualizują – co więcej – tworzą możliwość dialogu w sferze kultury, obecnego w wielu utworach tomu. Jego przykładem jest choćby poetycka interpretacja płótna de la Tour’a w utworze Kobieta z czaszką na kolanach. Dialog ów zapewnia to, co u Stycznia urasta do rangi *spiritus movens* – symbol. Do jego odkrywania poeta zaprasza w autotematycznym utworze rozpoczynającym tom. *Artes poeticae* Stycznia zamyka się bowiem w jednym zdaniu: „człowiek, który lubi symbole, kruszy lód koło łabędzia, jakby sprawdzał wytrzymałość symbolu (...) i trzeba wytyczyć mu [symbolowi] mniejszy obszar, taki do wytrzymania”.

J.K.

Janusz Styczeń, *Zamarznięty łabędź*, Biblioteka Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Wrocław 2007

✱

Odnawianie znaczeń, nieustający dialog z tym, co było, lecz sytuuje się gdzieś ponad mijającym czasem, sprzeciw wobec lenistwa intelektualnego skazującego na banalizację odczytań, a wreszcie wskazywanie kontekstów, dzięki którym dzieła Szekspira mogą być wciąż stwarzane mimo niezmienności tekstu – to twórczość Bolesława Taborskiego mająca swe źródła w Warszawie i Krakowie, a dojrzewająca w Bristolu i Londynie. Nieustannie jej przedmiotem jest Łabędź Avonu, jak za rodakami Szekspira nazywa Taborski, dzięki któremu ów powojenny emigrant zdołał przełamać poczucie wyobcowania i wykorzystał to, że przyszło mu żyć w dwu kontekstach kulturowych. Nie dziwi wobec tego tytuł zbioru wierszy pisanych od 1963 do 2003 roku – *Mój przyjaciel Szekspir...* – sam poeta w swych autobiograficznych refleksjach, które poprzedzają każdą część zbioru, podkreśla osobistą więź, jaka go łączy ze Stratfordczykiem jakby na przekór dyskusjom o autorstwie sztuk legendarnego dramaturga. Poza tym Taborski to przyjaciel Szekspira

nie jedyny – tę samą deklarację złożył już wcześniej Słowacki w *Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu*. Aluzyjność tytułowego wyznania trafia w samo sedno charakteru działalności twórczej, kulturalnej i badawczej autora – mediacja między kulturami, pośrednictwo. Taborski bowiem odczytuje dzieła Szekspira jako człowiek pamiętający rozmaite koszmary XX wieku, jako tłumacz samych dzieł, a także opracowań krytycznoliterackich, recenzent teatralny, autor Nowego Teatru Elżbietańskiego z 1967 roku, reporter BBC – twórca programu *Sztuka nad Tamizą*, a wreszcie jako Słowianin, który nawiązuje do Norwida, Słowackiego, Wyspiańskiego... W utworach poświęconych Szekspirowi, inspirowanych jego sonetami, tragediami, komediami i tzw. sztukami późnymi obecne są reminiscencje wielkich przedstawień teatralnych i filmowych, jak choćby *Makbeta* japońskiego reżysera Ninagawy, filmu Petera Greenaway'a *Księgi Prospera*, opartego na *Burzy*, interpretacji Henryka V reżyserów Oliviera i Branagha, słynnych kreacji aktorskich, np. samego Laurence'a Oliviera jako *Otella*, a także esejów i prac o Szekspirze, przede wszystkim Szekspira współczesnego i „*Króla Leara*” czyli *Końcówki* Jana Kotta. Ta mnogość kontekstów budzi szacunek i respekt wobec poety, nie wywołuje jednak poczucia dystansu, bo owa przyjaźń z Szekspirem jest wyczuwalna w każdym liryku. Tę szczególną więź budują ponadto prozatorskie wstępy, w których Taborski rekonstruuje historię swych odczytań Szekspira, a także staje się swoistym przewodnikiem, bo każdy jego utwór ma swoją historię, związany jest z konkretnym doświadczeniem.

J.K.

Bolesław Taborski, *Mój przyjaciel Szekspir...*, Oficyna Konfraterni Poetów, Towarzystwo Słowaków w Polsce, wydanie II uzupełnione, Kraków 2007

*

W.G. Sebald (1944–2001) – przedwcześnie, tragicznie zmarły pisarz niemiecki, od 1965 roku mieszkający w Anglii; dotychczas wydano u nas trzy jego powieści: *Czuję. Zawrót głowy*, *Wyjechali* i *Austerlitz*. Znam kilku jego niezłomnych wyznawców, z misyjną wręcz żarliwością nawracających topniejące grono poszukiwaczy prawdziwej literatury na twórczość Sebalda. Tym samym daję do zrozumienia, że i ja znalazłem się w gronie owych nawracanych, ale jest ze mną różnie – w dni parzyste jestem na tak, w nieparzyste na nie, w niedziele odpoczywam od tych dylematów. Nie mogę

natrafić na Czuję. Zawrót głowy, dwukrotnie przeczytałem Wyjechali (silna jest presja „misjonarzy“!), od paru miesięcy zastanawiam się nad Austerlitz i chyba do ostatecznego rozstrzygnięcia poczekam na zapowiadane przez Wydawnictwo W.A.B. Pierścienie Saturna.

Już tytuł powieści jest zwodniczy, nasuwający jednoznaczne skojarzenie, ale tak po prostu nazywa się jej bohater – Jacques Austerlitz, którego narrator spotyka na dworcu w Antwerpii. To spotkanie jest początkiem nitki, którą snuje pisarz, by po wielu literackich meandrach (czasami monotonnych, na granicy nudy, ale to jedna z premedytacji Sebalda) dojść do kłębka jeszcze jednego dramatycznego człowieczego losu, jaki stał się udziałem żyjących w XX wieku, a konkretnie w jednym z jego koszmarnych okresów, jakim była II wojna światowa, czyli Zagłada. Bo Sebald jest zapisywaczem losów utraczonych, i losów odzyskiwanych. Stąd w jego prozie znalazło się wiele zdjęć, wspomnień nie wiadomo czy do końca prawdziwych, dzienników podróży – jednym słowem jego powieści to pomieszanie gatunków, posiłkowanie się Nieliterackimi chwytami, jak np. fotografie. Dopiero czując zawrót głowy po lekturze zaczyna się rozumieć (albo i nie) sens takich zabiegów. Sebald jest pisarzem, który odgrzebuje pamięć – tę pojedynczą, i tę zbiorową. I robi to z wystudzonymi, czy też powstrzymywanymi za wszelką cenę emocjami. Jakby jego bohaterowie nie byli żywymi postaciami, ale cieniami postaci, i to cieniami wypranymi z ciała, ubrań, otoczenia. Nawet jeżeli są żywi, obecni, to już nie ma w nich szans na odzyskanie życia, jakie wiedli przed zagładą i złączenia z życiem po ocaleniu.

W jednym ze swoich Notatników Albert Camus, rozważając jakiś swój pisarski zamysł, napisał: „mam jeszcze porachunki z tym pejzażem”. Chyba nieprzypadkowo przypomniało mi się to zdanie, kiedy myślałem o Sebaldzie. Byłoby zbyt proste powiedzieć, że pisarz-Niemiec chce wystawić (i to mieszkając z dala od kraju) rachunek za niemieckie zbrodnie wojenne. Po części coś może być na rzeczy, ale jest coś, co dotyczy samego Sebalda, że jego książki mogą być autopokutą. Pokutą nie za popełnione czyny, ale za to, że o całej hańbie Niemców dowiedział się dopiero, gdy miał 16–17 lat. W wywiadzie, niedługo przed śmiercią na autostradzie, dla „The Guardian” wyznał: „Aż do ukończenia 16. czy 17. roku życia nie wiedziałem niemal nic o historii przed rokiem 1945”. To brzmi tak nieprawdopodobnie, że chętnie przyjąłbym to wyznanie za jakąś mitologiczną figurę pisarską – korektę do prawdziwej biografii autora Wyjechali. Ta obsesja niewiedzy i nieświadomości przerodziła się w obsesję pisarską, w takie a nie inne książki. Być może

poprzez inne „losy utracone” Sebald chce także odzyskać swój los – tak jak Austerlitz z jego powieści.

A.J.

Winfried Georg Sebald, Austerlitz, przełożyła Małgorzata Łukasiewicz, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2007

*

Jest to książka, której nagłówek wybity na okładce nad tytułem głosi: „Literatura skandynawska”, a w gruncie rzeczy książka głęboko polska; sądzę nawet, że mało mamy akurat teraz w księgarniach powieści, które można by opatrzyć równie trafnie przylegającym do nich nadtytułem: „literatura polska”. Napisała ją co prawda emigrantka „marcowa”, więc z długim już stażem zagranicznym, pisząca dziś po duńsku – także poetka i ceniona w Skandynawii tłumaczka na duński polskiej literatury – ale przez cały czas od swego niechcianego i niezastężonego wyjazdu z Peerelu po 1968 roku kontynuująca swój zawiedziony romans z ojczyzną, co przejawia się nie tylko w podtrzymywaniu kontaktów z rodzinnymi miejscami i bliskimi w kraju, ale co Janinę Katz przede wszystkim pobudza, inspiruje i obchodzi najmocniej jako autorkę prozy.

Jest to książka, która jak niewiele publikowanych w ostatnich latach w Polsce powieści dotyka celnie, w sposób niezawołowany i można powiedzieć bez autocenzury, drażliwych wątków naszej powojennej historii, wchodzi w samo jądro dość typowego polskiego losu (mimo że z żydowskimi powikłaniami – ale o Polskę idzie tu gra) w latach zniewolenia i zniewolenia, w jego – jakby to nazwał Witkacy, który nie dożył czasów tu opisywanych, lecz profetycznie wyczuwał je w swojej twórczości – głątwę. W oczach analizującej swą przeszłość bohaterki powieści Poli Reches, dla przyjaciół Pucki, perypetie jej życia nabierają w pewnym momencie jakby witkacowskich rysów „gigantycznego i tragicznego żartu historii”; tej uwagi nie należy interpretować dosłownie, merytorycznie, a przenośnie – gdyż gustująca raczej w realistycznych rewitalizacjach zdarzeń, sumienna w opisach, dosadna w konkluzjach proza autorki lokuje się na antypodach poetyki autora Nienasycenia.

Genealogia „gigantycznego żartu” sięga w fabule powieściowej samych rudymetów funkcjonowania wschodniej satrapii, jaka miała objąć na długie lata rządy dusz w naszym regionie świata – i która zdaniem narratorki była

splotem awanturnicznych dziejowych procesów i indywidualnych ludzkich inicjatyw, słabości, idiosynkrazji etc.; zaczyna się ona od pobudzającego wyobraźnię narratorki zasłyszanego w rodzinnych opowieściach epizodu młodziutkiej Żydówki Fani Kapłan, która miała być zapomnianą przez historyków, nieudokumentowaną a właściwą autorką zamachu na Lenina „Wszyscy pamiętają zamach, nikt nie pamięta Fani...”, i którą przy tym łączyły niewyjaśnione do końca związki rodzinne z Vladimirem Nabokovem; rozwija dalej poprzez przewijającą się w odległym tle akcji powieściowej biografię wysokiego urzędnika stalinowskiej delegatury w Polsce ojca Poli Salomona Mechesa, którego w związku z jego bezwzględną służbistością wobec aparatu bierutowskiego wykreśla ze swojej pamięci i ukrywa przed wiedzą córki jej matka Sonia; a kończy na zasadniczej w fabule relacji z życia samej Poli-Pucki, niepokornej indywidualistki, odrzucającej wszelkie „układowe”, typowo peerelowskie oferty, nie znoszącej zakłamanych związków między ludźmi, nie cierpiącej wszelakiej protekcji, pragnącej samej sobie zawdzięczać swą ewentualną karierę – co oczywiście w tamtych warunkach okazuje się nie do spełnienia – a przy tym pięknej dziewczyny, wzbudzającej zainteresowanie mężczyzn, zmieniającej atrakcyjnych kochanków, ale nie umiejącej zadbać o wymarzonego stałego partnera. Zresztą jeśli idzie o tego partnera, nie ze swojej winy: rozkochujący ją w sobie i sam zakochany w niej Szymon przyznaje się w apogeum związku do swojego rzeczywistego zajęcia, mianowicie profesji agenta peerelowskiego kontrwywiadu, co więcej, do tego, że pierwsza jego wizyta wynikała z inspiracji ojca Pucki („Martwi się o was. Kocha Puckę, tęskni za nią. Być może i ciebie też kocha... Ale ty nigdy nie dałaś mu szansy” – powiada w momencie o Salomonie Szymon, kiedy Sonia wyrzuca go z domu jako „naślanego superszpiega”), co jednak nie powstrzymuje go przed tym, by proponować Pucce małżeństwo, oczywiście z wielu powodów niemożliwe. Następny z wybranych partnerów „życiowych” Pucki, młody wybitny dramaturg i reżyser teatrów alternatywnych Jan, z którym wiąże się ona po fiasku przygody z Szymonem, mimo swego zauroczenia jej osobą, nie umie się zdecydować na bliższy związek, co więcej po wyjeździe z Karkowa do Warszawy wdaje się w różne koniunkturalne, nie aprobowane przez Puckę, układy i podejrzone stołeczne znajomości. Postępuje podobnie jak wielu cenionych przez Puckę bohaterów owego przeżywanego przez dziewczynę na własnej skórze „gigantycznego żartu historii”, na przykład podobnie jak dwaj poznani wcześniej na akademii artystycznej malarze, którzy krytykowali władzę jak i ile się da, a cały czas z nią co najmniej „flirtowali”, zapewniając

sobie odpowiednie apanaże; podobnie jak wysoko ceniony przez Puckę – studentkę dziekan, który mimo swojego wybitnego dorobku malarskiego i dramatycznej przeszłości osoby ocalałej cudem pod zwałem trupów po jednej z masowych hitlerowskich egzekucji (opisanej, o czym znajdziemy tu informację, przez znanego krakowskiego autora w opowiadaniu Krajobraz, który przeżył śmierć – notabene wiele spośród postaci otaczających Puckę ma swoje pierwowzory w prominentach polskiego życia artystycznego lat 60. i 70.), z przekonaniem i oddaniem pełni obowiązki administratora uczelni poddanej regulaminowi komunistycznej władzy.

To, co wydaje się szczególnie cenne w tym spektrum psychologicznym młodej, wartościowej, ambitnej dziewczyny pragnącej godnie i ciekawie wejść w życie, a potem choćby uratować swą tożsamość w niesprzyjających warunkach systemu – który ze zbiorowości ludzkiej czyni poddańcze i zakłamanie społeczeństwo – to szczególnie jego wszechstronność, wnikliwe i sumienne rozpoznanie układów panujących między jednostką a regułami porządku ustrojowego, przedstawienie osobistej drogi życia bohaterki w kontekście dotykającej świat – jednak – grozy mimo jej farsowego wydzwiku. Nie mogąc dopasować się do ram zgotowanego dla niej losu, Pucka pozostawia jako artystka kończąca studia swoją diagnozę rzeczywistości peerelowskiej uwiecznioną na płótnie – oczywiście odrzucaną przez galerie, jest na nim „cipa otoczona pawimi piórami, ze scyzorykiem wbitym w wargi sromowe, na prawo żółta gwiazda Dawida”.

Naturalnie Pucka to nie Janina, aczkolwiek stanowi ideowo i charakterologicznie bliską literacką ekstrapolację autorki, chodzi jej szlakami – szczególnie po Krakowie, w którym znawcy środowiska podwawelskiego odkrywają, jak zauważyłem, sporo znajomych osobistości. O specyfice i konkretach zależności między autorką a jej postacią dowiadujemy się tym razem bezpośrednio (iluz autorów prozy unika takiego położenia kropki nad „i”) w dołączonym do książki Epilogu podanym w formie listu do zmarłego przedwcześnie Jana, tłumaczącym zakres i przesłanki niektórych konfabulacji, ubarwień czy wręcz mistyfikacji w fabule powieściowej – i tylko tu w dramatycznym, pełnym ekspresji wywodzie wypowiedziana jest bezpośrednio brzemienna prawda perypetii życiowych samej Janiny Katz. Jednak to w usta swojej bohaterki wkłada autorka ową fundamentalną refleksję dotyczącą przecież jej samej – pisarki weryfikującej i sprawdzającej niejako w żywiole fikcji to, czego nie da się wyrazić w bezpośrednich, bezradnych często wobec pamięci słowach: „Minie czas goryczy, zapamięta młodość jako czas zaczarowany, owe

lata przeżyte w kraju, którego losy były gigantycznym, tragicznym żartem historii". Sama autorka we wspomnianym Epilogu nie mówi o żarciu, skarży się, wyrzuca z siebie pełne goryczy zdania: „Wtedy rzeczywiście sądziłam, że całe moje życie było jedną wielką pomyłką. Zastanawiałam się często, gdzie i kiedy popełniłam pierwszy, decydujący błąd. Czego mi brakowało? Odwagi? Umiaru? Współczucia?”. Opcję „gigantycznego i tragicznego żartu” dokumentuje więc, udanie, sama powieść. Koleje życia Pucki to nie historia drobnych indywidualnych porażek, krzywd i żalów, to charakterystyczny przykład losu jednostki w warunkach uwłaczających z dzisiejszego punktu widzenia wszelkim kodeksom etycznym i w ogóle rozsądkowi, przypadek życia niepokornego, nie poddającego się układom, protekcjom i szantażom, ani ze strony pieczeniarczy systemu, ani ze strony fanatyków opozycji. Czy Pucka więc popełniła błąd, czy popełniała błędy? Ona, nie pojmująca owych starszych kolegów malarzy z ASP, którzy odsądzając od czci władzę, równocześnie z nią flirtowali, odrzucająca oferty zarówno działaczy legionów ZMP-owskich czy ZMS-owskich, jak późniejszych bardów opozycji (a często okazywało się i nadal okazuje się, że to te same przefarbowane typy); zmuszona do ciągłych decyzji niekorzystnych, niedorzecznych z jej punktu widzenia, do wyborów między miłością a wiernością swoim ideałom i zasadom – kiedy ukochany przedstawia się jako agent i kiedy mało tego, poznaje ją z inicjatywy tajemniczego „nadubeka” Warszawy, czyli nieznanego ojca – czy Pucka popełniała błędy? Czy ponieważ twardo odmawiała ścigającej ją parze esbeków współpracy, a została w '68 roku wpisana na listę słynnych dziś TW – jakim to wpisem zresztą ta para esbeków ją szantażuje, po czym rozpuszcza tę wiedzę w stosownym środowisku, tak że dziś pozostając w kraju, stałaby się stosownym łatwym łupem instytucji IPN-u – czy Pucka popełniała błędy? Nie, z pewnością nie popełniała, a jeśli to na tyle, na ile każdy z nas żyjący „tu i wtedy” mógł je popełniać. Pucka, można powiedzieć, zdobywając doświadczenie w warunkach ustroju i systemu eufemistycznie zwanego socjalistycznym, nabywając wiedzę o otoczeniu i miotając się w „głątwie” bytu, na jaki skazał ją czas życia, znajdowała się na jakiejś pustyni błędowskiej, z której nie ma wyjścia i na której nie można się schronić w jakiegokolwiek oazie samotności. W końcu znajdzie to wyjście – jakże niesatysfakcjonujące i upokarzające dla niej – dopiero zmuszona do banicji, przed którą nie uchroni jej tym razem czuwający w ukryciu, w tajemnicy przed nią samą nad jej rozwojem wspomniany wyżej pryncypał owego Szymona, dygnitarz partyjny

Walenty Nowak, vel Salomon Reches, sam przegnany w tym 68 roku przez moczarowców gdzieś daleko do Ameryki Południowej.

M.O.

Janina Katz, Pucka, przełożyła Bogusława Sochańska, Wydawnictwo Jacek Santorski & Co, Warszawa 2008

✱

Trzy wielkie księgi Józefa Flawiusza: Wojna żydowska i dwa tomy Dawnych dziejów Izraela nadają odpowiednie miary wydarzeniom współczesności. Józef Flawiusz (ok. 37–103) to kapłan świątyni jerozolimskiej, faryzeusz i chyba największy historyk żydowski, dowódca powstania przeciw Rzymianom, w którym zginęli jego rodzice i żona, a następnie zwolennik cesarza Wespazjana i czynny wojownik rzymski, okrzyknięty przez Żydów podłym zdrajcą, tchórzem i oportunistą.

Wojna żydowska (*De bello Judaico*) to powstała ok. 77 roku jedna z najważniejszych ksiąg w historiografii światowej, opisująca przegraną wojnę Żydów z Rzymianami, która trwała od 66 do 70 roku i była wielkim pogromem narodu żydowskiego i końcem żydowskiego państwa. Pod piórem Flawiusza jest to przyjęta przez Rzymian z wdzięcznością barwna, w siedmiu księgach żywo napisana i pełna dramatycznej treści opowieść o zagładzie Żydów, ich świętego miasta i świątyni; opowieść ta zajmuje wysokie miejsce w literaturze światowej jako dzieło sztuki. Jak napisał w Przedmowie tłumacz Jan Radożycki: „Dzieło zawiera bogatą treść, która pociąga czytelnika i porusza jego uczucia i wyobraźnię. Znajdujemy w nim liczne przykłady desperackiej odwagi i podziwu godnego męstwa, jak również zdrady, lekkomyślności i tchórzostwa, poznajemy karne legiony rzymskie w akcji i w obozie, ich metody walki, zwycięstwa i porażki, zdumiewamy się bezgranicznym poświęceniem i prerażamy zwierzęcym egoizmem, przestępstwami królów, władców i zarządców, fanatyzmem powstańców, wzajemnym wyniszczaniem się rywalizujących ze sobą stronnictw w obozie żydowskim, przejmujemy się losem jeńców rozpinanych na krzyżu lub rzucanych zwierzętom na pożarcie, a przede wszystkim bezmiernymi cierpieniami narodu wyczerpanego długotrwałym oblężeniem, dziesiątkowanego straszliwym głodem i skazanego na zagładę”. W ostatniej księdze Flawiusz przedstawia skutki

wojny żydowskiej w Judei i poza jej granicami, opisuje zdobycie Masady i zdławienie powstania w Cyrenie.

Największym dziełem Józefa Flawiusza są *Dawne dzieje Izraela* (*Antiquitates Judaicae*) powstałe na przełomie 93 i 94 roku, a przygotowywane przez prawie dwadzieścia lat, kiedy to Józef zrywa dawne rzymskie więzy i jakby naprawiając błędy z przeszłości staje się gloryfikatorem własnego narodu. Dzieje obejmują historię Izraela od stworzenia świata do 12 roku panowania Nerona, tj. do roku 66 po Chrystusie i w ten sposób stanowią uzupełnienie do *Wojny żydowskiej*, zawierają całą historię narodu, której *Wojna* jest tylko ostatnim rozdziałem.

Dzieje składają się z dwudziestu ksiąg: w pierwszych dziesięciu opisana jest historia Izraela od stworzenia świata do końca niewoli babilońskiej, a druga połowa dzieła poświęcona jest zdarzeniom od niewoli babilońskiej do wybuchu wojny z Rzymianami. Zamiarem Józefa, o czym mówi we *Wstępie*, było przedstawienie „według tego, co zawarte jest w pismach hebrajskich”, całości „naszych dawnych dziejów i ustroju państwowego” i zamiar ten zostaje wypełniony. Pomimo licznych uchybień, a nawet jaskrawych błędów są *Dzieje* cennym dziełem, jedynym źródłem do poznania ważnej epoki w historii Izraela, którą oświetlają jedynie apokryfy. To tu znajduje się sławne świadectwo Józefa o Chrystusie tzw. *Testimonium Flavianum* (w księdze 18, 63–64), są więc one także ważnym, nieocenionym źródłem w badaniach nad genezą i powstaniem chrześcijaństwa.

Całość zaopatrzona jest we wstępy dotyczące autora i jego dzieł, a także recepcji tych dzieł w Polsce oraz w aneksy, skorowidze, tabele genealogiczne i mapy.

M.W.

Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, z języka greckiego przełożył oraz wstępem i komentarzem opatrzył Jan Radożycki, *Dawne dzieje Izraela*, tom I i II z języka greckiego przełożyli Zygmunt Kubiak, Jan Radożycki, wstęp ks. Eugeniusz Dąbrowski, ks. Witold Malej, komentarzem opatrzył Jan Radożycki, Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 2007

*

Jako trzeci w edycji *Pism zebranych* Witolda Gombrowicza w opracowaniu krytycznym ukazał się tom VII – napisana w latach trzydziestych i ogłoszona w 1938 roku w „*Skamandrze*” debiutancka sztuka Iwona, księżniczka Burgunda, którą sam autor uważał za swój słaby, jeżeli nie najslabszy utwór.

Wydanie to oparte jest na pamiętnej PIW-owskiej edycji Iwony z 1958 roku, którą ozdabiały ilustracje Tadeusza Kantora.

Milcząca i mało ciekawa tytułowa bohaterka Iwona Copek wypowiada tylko kilka zdań, a i tak ogniskuje wokół siebie całą akcję. W niej to zakochuje się Książę Filip, filantrop, lekceważąc przestrożę Królowej matki: „Filipie, trzeba zawsze wzwyż, a nigdy w dół!”. A tu trafiło na kogo? Kim jest Iwona? Jakaś dziwna żalobnica, skaranie boże, flądra, koczokodan, kozioł ofiarny, klępa, szelma i potwora, Cimcirymski i masło maślane – tak mówią o niej inni.

I właśnie ktoś taki ogniskuje wokół siebie akcję: to jakby wokół niej wszystko się kręci i nakręca, i coraz bardziej komplikuje się i komplikuje. „Jest w tym jakaś piekielna kombinacja. Jest w tym jakaś specyficzna, piekielna dialektyka”, mówi Książę. Co widzimy i w czym chcąc, nie chcąc bierzemy udział? W komedii, czy nie w komedii? Co to za komedia, która kończy się śmiercią bohaterki? Komedia tragedią podszyta lub na odwrót: tragedia podszyta komedią albo, jak mówi Jan Błoński: pół groteski i pół satyry, jakaś „parodia mroczna i niewyraźna”.

Miłość i nienawiść, dezynwoltura i strach, nowość i rutyna, szyk i rozmamłanie, zrozumienie i niezrozumienie i jeszcze kilka różnych sprzeczności wirujących w dialektycznym kołowrotku. „To tak w kółko. W kółko”, jak sama mówi księżniczka nie księżniczka, Iwona.

W ostatnim akcie następuje jej „likwidacja”, morderstwo z premedytacją – Iwona dławi się ością podsuniętego jej karasia (ość karasia!). I tak oni – dwór, zabijając Iwonę, zabijają samych siebie, bo przecież ona ma ich w sobie, w sobie ich więzi i używa, co chce z nimi wyrabia i wyprawia. I kto tu jest anormalny czy amoralny? Oni, cały ten dwór, czy ona, Iwona, księżniczka od siedmiu boleści?

„Trudno – umarła” – mówi Król. I wszyscy klękają. Cała akcja kończy się klęceniem. Iwona nie żyje, a oni są na klęczkach. Trudno.

Na stronie osiemdziesiątej trzeciej kończy się literatura, a od strony osiemdziesiątej czwartej zaczyna się polonistyka – dwieście stron Przypisów i Dodatku krytycznego, a w nim: Nota edytorska, Poprawki i Odmiany tekstu, Ostatnie retusze i skreślenia, Posłowie wydawcy, fotografie, osiemdziesięciostronicowa Bibliografia i Spis ilustracji.

Dowiadujemy się, że Iwonę nie tylko trzeba zestawiać z Biblią i z polską dramaturgią romantyczną, z powieściami Fiodora Dostojewskiego, sztukami Stanisława Ignacego Witkiewicza i z Moralnością pani Dulskiej Zapolskiej, ale że ta debiutancka sztuka Gombrowicza aż jeży się od odwołań i aluzji

do teatru Szekspirowskiego („Pisarz bowiem, odwołując się do Szekspira, nie mianuje go bynajmniej gwarantem sensów swej sztuki. Przeciwnie – umieszcza go «w kadrze» innego odwołania i z tej perspektywy jakby ogląda szekspirowskość Szekspira” – czytamy). Aż strach dalej cytować, bo dalej jest jeszcze mądrzej i mądrzej, na przykład: „W tej konwencji bowiem Gombrowicz mógł aranżować układy interpersonalne, w których spełniała się ludzka psychomachia. Z drugiej jednak strony specyficzne dla autora Iwony ujęcie relacji międzyludzkich wymagało skrajnie spersonalizowanego dyskursu, który najlepiej brzmiał w monologu narracyjnym i w rozmaitych formach dramatu subiektywnego, o ile bowiem myśl o świecie i człowieku nieuchronnie kierowała jego uwagę w stronę dramatu i teatru, o tyle sposób ujęcia tej myśli ciążył ku powieści i noweli”. Uff.

Wyobrażam, jakie by miał Gombrowicz używanie, gdyby to czytał, te i inne polonistyczne naciągania i banialuki (na przykład: „Tak oto artystyczna autoekspresja wikała pisarza w nieusuwalny paradoks...” itd. itp. i na zdrowie!).

Rzeczywiście, jak mówią komentatorzy, Gombrowicz „postawił komentatorów Iwony, a także innych swoich utworów (czego w przyszłości na pewno jeszcze doświadczymy! – przyp. mój – K.M.), w trudnej sytuacji”. W następnych tomach proponuję, w ślad za mistrzem Gombrowiczem, egzegezę w stylu tradycji interpretacyjnej związanej z czytaniem Pisma Świętego – to dopiero będzie ciekawe! Zobaczymy, na co jeszcze stać naszych dzielnych krytyków, tłumaczy komentatorów i polonistów! W każdym razie radujmy się, że mamy nowe wydanie tej śmieszno-smutnej sztuki Gombrowicza w czasach, w których dramaturgii polskiej prawie nie ma, a krytyka jest, jaka jest.

K.M.

Witold Gombrowicz, Iwona, księżniczka Burgunda, Pisma zebrane, tom VII, opracował Janusz Margański, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008

✱

Pomimo że żył tylko czterdzieści siedem lat, George Orwell (1903–1950) pozostawił po sobie bogaty dorobek literacki, składający się – bagatelą! – z dwudziestu tomów dzieł zebranych. W historii światowej literatury pozostanie autorem Folwarku zwierzęcego i przede wszystkim powieści Rok

1984. W kulturze światowej przechowa się jako autor terminu „kultura popularna”. Nie przewidział, że kiedyś stanie się „ofiara” tejże kultury w postaci idiotycznych telewizyjnych reality-show „Big Brother”...

W Polsce jest pisarzem często wydawanym, wszedł nawet do kanonu lektur szkolnych (czy jeszcze pozostał po tych wszystkich zawirowaniach wokół szkolnych lektur? – nie wiem, bo trudno za tym nadążyć). W pewnym okresie naszej historii był autorem wręcz kultowym dzięki istnieniu tzw. drugiego obiegu. Wielu z nas ma jakieś osobiste doświadczenia psychiczne związane z lekturą Roku 1984. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Orwell żywo interesował się sprawami polskimi (powstanie warszawskie czy „proces szesnastu”), wbrew tendencjom w brytyjskich kręgach intelektualnych. Podobno planował napisanie powieści o Katyniu – zamiast Roku 1984!

Literatura poświęcona Orwellowi jest ogromna, powstało też kilka jego biografii. Podobno biografia autorstwa D.J. Taylora (przygotowywał się do niej dwadzieścia lat) jest z nich najlepsza, co nie wyklucza, że nie powstaną jeszcze lepsze. Jako nałogowy czytelnik pisarskich biografii, chociaż już trochę odczuwający przesyć, oceniam książkę Taylora wysoko – przede wszystkim za jej wnikliwość, nie tylko w sferze życia Orwella, ale jego działalności literacko-publicystycznej. Są w niej dobrze wyważone proporcje między życiem a dziełem, a nie jest Orwell łatwym do portretowania. Jest on w nieustannym ruchu, czyli pełen sprzeczności: lewicowiec i surowy krytyk lewicowości, angielski dżentelmen i jednocześnie nie gardzący społecznymi wyrzutkami, naiwny w życiu i twardo trzymający się zasad, wielbiciel kobiet i nieszczęśliwy w miłościach, a przede wszystkim wciąż niepewny, czy potrafi pisać.

Nad tym wszystkim – niczym dyrygent odczytujący życiową partyturę pisarza – biograf potrafił dobrze zapanować, miał do czynienia z nieschematyczną osobowością.

W przypadku wydanej niedawno u nas biografii George’a Orwella spotkało się dwóch pasjonatów, co dało naprawdę świetny rezultat – jej autor i polski tłumacz książki Taylora Bartłomiej Zborski, który, co udowodnił, od lat zajmował się Orwellem. Oryginalny tekst został bowiem wzbogacony o obszerne przypisy tłumacza (komu by się dzisiaj chciało?) i ciekawostki związane z autorem Folwarku... Naprawdę, dobra robota, zasłużenie należąca się Orwellowi.

A.J.

*

„...bo znam dalszy ciąg, bo patrzę od końca...” – tłumaczy Bogusław Kierc, przydając nowych, nieznanych sensów utworom Rafała Wojaczka. Twórczość autora *Sanatorium* wciąż stanowi obiekt jego badań i fascynacji, tak jakby chciał wypełnić brak... brak rozmów i spotkań. Jak sam wspomina były to rozmowy szczególne, bo nawet jeśli miały charakter intymnych zwierzeń, dotyczyły poezji i Wojaczka w niej, takiego Wojaczka, który potrafił o sobie mówić „on”/ „ona”. W tym kontekście w pełni usprawiedliwione wydaje się opatrzenie przez Kierca biografii o mikołowskim poecie podtytułem *Prawdziwe życie bohatera*. Nie jest on wyrazem uzurpowania sobie ostatecznej wiedzy o autorze Innej bajki. W toku narracji zresztą odnaleźć można wiele stwierdzeń wskazujących na dystans autora do własnych opinii, próbę dotarcia do odczytań pierwotnych, jak najbliższych intencjom, nawet tym nieuświadomionym, twórcy. Kierc czyni to tak, jakby rozmowa o tomie wierszy *Którego nie było* toczyła się nadal gdzieś w jego wrocławskim mieszkaniu. Uruchamia dlatego wszystkie swoje kompetencje czytelnicze, wprowadza konteksty nieznane w latach 70., przypomina takie wydarzenia z życia poety, obok których biograf przeszedłby mimo, a które budowały niezwykle zawiły kosmos wewnętrzny Wojaczka. A wszystko po to, by czynnie obcować z tą poezją. Katartyczny cel został zresztą wyraźnie zaznaczony w końcowych fragmentach biografii. Amen... Kierc zamyka ostatnią szufladę, bo to szuflady właśnie z utworu *Pewna komoda*, czyli: „Ile śmierć ma szuflad!” stanowią oś kompozycyjną owej szczególnej biografii, która uzupełnia dotychczasową wiedzę o Rafale Wojaczku o nieznane szkice wierszy, jak choćby utwór o biblijnej Judith, listy i zdjęcia.

J.K.

Bogusław Kierc, Rafał Wojaczek. *Prawdziwe życie bohatera*, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2007

*

Pierwsze polskie wydanie *Dzienników filozoficznych* George’a Berkeleya (1683–1753), irlandzkiego filozofa i duchownego, wykładowcy w Trinity College w Dublinie, jednego z wielkich empiryków angielskich. Są to młodzieńcze notatniki autora *Trzech dialogów*, odkryte ponad sto lat po jego śmierci i wiele lat później starannie opracowane i wydane przez Luce’a, wiernie oddające

treść rękopisu: zachowane zostały wszystkie skreślenia Berkeleya, jego własnoręczne korekty, wstawki oraz komentarze, co jest bardzo ciekawe i cenne i właśnie na tej edycji Luce'a zostało oparte polskie wydanie. Niecodzienna kolejność zeszytów (Zeszyt B przed Zeszytem A) stanowi pozostałość oryginalnego układu manuskryptu odnalezionego przez Fräsera.

Liczne odwołania i odniesienia do m.in. Johna Locke'a, Nicolasa Melebranche'a, Isaaca Newtona i Rene Descartesa obszernie omówione są w Przypisach. Wiele tu zapisów lapidarnych, przedstawionych w skrótovej formie, co wzmacnia styl, wymaga uwagi i skupionej lektury. Oto kilka próbek, do zachęty:

„Trwanie nie jest różne od istnienia”. „Czyms dziwacznym jest kontemplowanie świata opróżnionego z inteligencji.” „Niepostrzegalne spostrzeżenie [jest] sprzecznością.” „To, co widzialne nie może być utworzone z rzeczy niewidzialnych.” „Moc nie jest żadną ideą prostą. [Słowo to] nie oznacza nic prócz relacji między przyczyną a skutkiem.” „Nie wińcie mnie, jeśli niekiedy posługuję się słowami z pewną dowolnością. Na to nie ma rady. To język winny jest temu, że nie zawsze możecie uchwycić jasne i określone znaczenie moich słów.” „Rzeczy są dwojakiego rodzaju: aktywne i nieaktywne. Istnienie rzeczy aktywnych polega na działaniu, nieaktywnych – na byciu postrzeganyimi”. „Innych umysłów, poza naszym własnym, nie jesteśmy w stanie pojmować inaczej, niż jako zwielokrotnione «ja» (as so many selves). Przedstawiamy sobie nas samych, doznających takich to a takich myśli i takich to a takich wrażeń.” „Niemало błędu i zamętu powstało za przyczyną tego, iż ludzie nie wiedzieli, co rozumie się przez «realność» (reality).”

M.W.

George Berkeley, Dzienniki filozoficzne, przełożył i opracował Bartosz Żukowski, Minerwa. Biblioteka Filozofii i Historii Filozofii, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2007

✱

Zapiski Witolda Lutosławskiego, jednego z największych kompozytorów współczesnych, prowadzone od października 1958 do stycznia 1984 roku, w pierwszej części mają charakter użytkowy, warsztatowy i są rodzajem szkicownika kompozytorskiego, a w drugiej części są rodzajem dziennika artystycznego, notatnikiem muzyczno-ideowym, wykładnią poglądów estetycznych autora Muzyki żałobnej. Jest to niezwykle ważna książka w czasach,

w których dominuje sensacyjno-medialny sposób podejścia do sztuki i do jej różnych rodzajów dzieł, prymitywizm w odbiorze, w krytyce, w reagowaniu i we wzajemnym obcowaniu artystów i odbiorców.

Lutosławski zaczyna od spraw technicznych, warsztatowych: mówi o różnych stopniach koncentracji materiału, o rozkładaniu „gęstości” i „rozrzedzeń” (miejsc „odpoczynku”) treści muzycznej, ale świetnie można to odnieść także do literatury, co pokazuje zapis z 1962 roku: „Uderzające podobieństwo między wierszem i prozą a «pulssem» i «ad lib.». To nasza epoka – połowa XX w. odkrywa po raz drugi «prozę» (tu: napięcie pomiędzy ad libitum a a battuta). Mówi o codzie, jako wyczerpywaniu „końcowości” w ramach ograniczonego zespołu środków i o użyciu wstępnego sola jako końcówki (bardzo to jest beckettowskie). Ważne są rozważania dotyczące formy (tu: rola reprzy i elementu, który jest refrenem reprzy), kontrapunktu nietypowego, zmiany charakteru ekspresyjnego w obrębie jednego zdania i inne.

Lutosławski dzieli dzieła na: 1) „ponadczasowe”, które mają wartość „bezwzględną” i na 2) kierunkowe, rozwojowe, mające znaczenie dla następnych dzieł, następnych autorów, pokoleń etc. i jest to, można powiedzieć, zasadniczy, podstawowy podział (nasuwa się pytanie: co w takim razie zrobić z utworami, które nie należą do żadnego z tych rodzajów?). „W każdym języku, w każdym momencie rozwoju hist. mogą powstać dzieła wartościowe”, stwierdza i jest to dla nas bardzo optymistyczne przesłanie.

I dalej mówi: „«Powtarzać» po kimś warto tylko wtedy, kiedy robi się to samo lepiej niż model. Przykłady oczywiste: Mozart i mannheimczycy, Bach – Pachelbel, Vivaldi etc. Trzeba dużej pewności siebie, żeby «powtarzać». Jeśli się jej nie ma, trzeba wynajdywać rzeczy jeszcze niewynalezione. Dziś nie ma wielkich «syntetyków», «zlewaczy», nie ma materiału do powtarzania. To, co wynajdują szperacze, «szpica», «spadochroniarze» – to jest wiotka materia, z której niewiele da się zrobić. Każdy musi sam sobie szukać pokarmu, skazany jest na «nędzę awangardowości». Musi sam być «spadochroniarzem», a później również sam «obsadzać teren». To jest dziś podstawa, fundament, na którym można i trzeba budować.

Podstawami konstrukcji są dwa elementy: „statyka” i „ruch”, czyli „wszystko” i „część”, czyli „bezkontrastowość” i „kontrastowość”. Lutosławski podaje przykład monologu Pozzo z Czekając na Godota, jako wielkiego monologu współczesnej dramaturgii i daje następujące przykazania: nie komponuje się, jeżeli nie odczuwa się ku temu potrzeby; aby dojść do czegoś sensownego, trzeba być całkiem niezależnym od życia zewnętrznego;

zaangażowanie się w ustawiczny dialog z opinią jest rodzajem niewoli; nowość w dziele sztuki starzeje się najszybciej. I nie trzeba zrażać się, jeżeli nie wychodzi tak, jakby się chciało: „nie mając w tej chwili wypracowanych środków na to, aby pisać tak, jakbym chciał, piszę tak, jak teraz potrafię”. Ale trzeba być bardzo uważnym: „Okres, który od dłuższego już czasu przeżywam (parę lat) jest nieciekawym. Jest to okres wzmożonych poszukiwań odpowiednich dla mnie środków wyrazu. Prowadzi to nieuchronnie do stanu, w którym operuje się w dużym procencie środkami źle opanowanymi, mało znanymi. Gubi się w tym stanie pewność ręki, gubi się celność, gubi się równowagę, gubi się autorytatywność i pełnię odpowiedzialności za dzieło. Do tego dodać należy, że te poszukiwania postępują wolno, że niewiele przynoszą trwałych zdobyczy”. „Często widzę w moich zrealizowanych utworach tylko nędzne karykatury tego, czym były w swoim czasie ich pierwsze wyobrażenia.”

Rozważania o głębszej wartości (warstwie?) utworu, czyli o tym, co jest poza samym stylem, językiem czy techniką, a co decyduje o naszej pozytywnej lub negatywnej reakcji na dane dzieło i o cesze artysty autentycznego, jaką jest „zdolność wzięcia na siebie części odpowiedzialności za fizjonomię i losy sztuki jego epoki, będą dla niektórych jak objawienie. Tylko tą drogą można dojść do czegoś. Każdy nawet najskromniejszy talent, jeśli potrafi choć odrobinę tej odpowiedzialności wziąć na siebie – ma swoje miejsce w historii sztuki. Reszta to pasożyty, mąciciele, uprzykrzona hałastra”. Czyż tak nie jest i czy nie widzimy tego?

„Technika w sztuce polega m.in. na tym, aby najtrudniejsze do zrealizowania zadania potrafić za pomocą szeregu znanych sobie operacji sprowadzić do zupełnie prostych, w których decyzja nie następuje żadnych trudności”, mówi Lutosławski i dodaje, że technika jest dziełem natchnienia. Mówi o „negatywności” i „pozytywności” i o celu twórczości, jakim jest danie możliwie najwierniejszego wyrazu temu wszystkiemu, co narzuca się wyobraźni i co odpowiada osobistym pragnieniom i gustom. „Żarliwe pragnienie łączności z ludźmi poprzez sztukę stale mi towarzyszy. Moje wysiłki jednak nie mają na celu zjednanie sobie jak największej ilości słuchaczy i zwolenników. Nie pragnę zjednywać, natomiast pragnę odnajdywać. Odnajdywać tych, którzy w najgłębszych warstwach duszy czują tak samo jak ja. Jak dążyć do tak postawionego celu? Tylko poprzez maksymalną szczerłość artystycznej wypowiedzi na wszystkich jej szczeblach od technicznego detalu aż do najtajniejszej, najintymniejszej głębi. Zdaję sobie sprawę, że taka postawa

eliminuje od razu dużą ilość potencjalnych słuchaczy mych utworów. Ci, którzy zostają, stanowią za to skarb nieoceniony. Są ludźmi bliskimi, mimo że mogą być nieznanymi osobie. Twórczość artystyczna może więc stanowić między innymi swoiste łowy dusz ludzkich, zaś wyniki takich łowów przynoszą lekarstwo na jedno z najdotkliwszych cierpień człowieka: uczucie samotności."

Ta książka jakby właśnie w tym czasie miała do nas trafić. I trafiła!

K.M.

Witold Lutosławski, *Zapiski*, opracował Zbigniew Skowron, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Towarzystwo im. WITOLDA LUTOSŁAWSKIEGO, Warszawa 2008

✱

Odrzucony obraz C.S. Lewisa, książka oparta na serii wykładów wygłoszonych kilkakrotnie w Oksfordzie, to ciekawy zarys dziejów średniowiecznej i renesansowej nauki o świecie i człowieku do czasów Kopernika i Galileusza. C.S. Lewis wprowadza w mało u nas znaną i dostępną literaturę i kulturę przełomu starożytności i średniowiecza i ukazuje, jaka była ciągłość między tymi epokami. Liczne cytaty od Cyserona do romantyków angielskich dokumentują wygłaszane tezy i myśli. Autor *Kronik Narnii*, to świetny pisarz, zadziwiający bogactwem i precyzją języka i stylu, różnorodnością tonów i tonacji. Jego dzieło, jak stwierdza w przedmowie tłumacz: „jest pracą na wskroś filologiczną, książką o słowach, ich znaczeniach, realiach, do których kiedyś te słowa się odnosiły oraz o stopniowych przemianach tych znaczeń”.

Już Arystoteles twierdził, że wszechświat dzieli się na dwa regiony: niższy – zmiany i nieregularności, który nazwał Naturą (*physis*) i górny, zwany Niebem (*ouranós*), w którym znajduje się eter, obejmujący „ciała boskie”. Natura, dziedzina zmiany i nieregularności, składa się z czterech żywiołów: ziemi, wody, ognia i powietrza. Człowiek średniowiecza chciał to jakoś skodyfikować, zbudować system, który wszystko pomieści. I w największych osiągnięciach dokonał tego, doprowadzając ogromne masy niejednorodnego materiału do jedności: tak na przykład dzieje się w *Summie św. Tomasza z Akwinu*, czy w *Boskiej Komедii Dantego*, które zjednoczone i uporządkowane są jak Partenon lub Król Edyp. Obok tych dwóch możemy postawić jeszcze trzecie dzieło, które jest średniowieczną syntezą: Model, który składa

się z myśli teologicznej, naukowej i historycznej, jest sam w sobie dziełem sztuki, według C.S. Lewisa – najwyższym średniowiecznym dziełem sztuki, w pewnym sensie dziełem centralnym, w którym najbardziej szczegółowe dzieła zostały osadzone, do którego nawiązywały i z którego brały swoje siły. W arcydziele Dantego pełna zachwytu kontemplacja Modelu stapia się z intensywnym uczuciem religijnym.

C.S. Lewis przedstawia źródła, z jakich wywodzi się Model: najważniejsze z nich to Biblia, Wergiliusz i Owidiusz, ale kieruje naszą uwagę także na inne źródła, jakby mniej ważne, chociaż przecież także pierwszorzędne: pisma Platona, Cyserona, Lukana, Stacjusza, Klaudiana, czy Apulejusza (tu: zasada triady i zasada pełni), a po starożytności pogańskiej następuje okres przejściowy (zarodkowy): od Plotyna (205) do Pseudo-Dionizego (533), w którym mieszczą się dzieła m.in. Chalcydiusza, Makrobiusza i Boecjusza.

Osobny rozdział to Pseudo-Dionizy Areopagita, którego pisma włączają do tradycji zachodniej teologię negatywną, a więc teologię tych, którzy przyjmują w ściślejszym sensie i podkreślają bardziej uporczywie od innych niepojętość Boga. U Pseudo-Dionizego cały wszechświat staje się fugą, której triada: działający – środek – podległy oddziaływaniu, jest głównym tematem.

W następnych rozdziałach C.S. Lewis malowniczo opisuje cały ten tak świetnie uporządkowany średniowieczny kosmos: części wszechświata, ich ruch i działania, ich mieszkańców, a także tych mieszkańców (longaevi – długowieczni), którzy zagadkowo bytują między powietrzem a ziemią, wreszcie – ziemię i jej mieszkańców, ludzi i zwierzęta. Osobne podrozdziały poświęcone są m.in. duszy ludzkiej, ludzkiemu ciału, przeszłości i siedmiu sztukom wyzwolonym.

Niektóre cechy literatury średniowiecznej, takie jak wyobraźnia realizująca, uwaga na treść, czysta przejrzystość, retuszowanie czegoś już istniejącego (ale tak robił i Shakespeare), służenie rzeczom pożytecznym, czcigodnym i zachwycającym, są lub powinny być bardzo aktualne, ale trzeba pamiętać, że, jak mówi Schelling: „Punkt wyjścia (Entwicklungsgrund) jest zawsze niższy od tego, co się rozwinie”.

C.S. Lewis nie zaleca powrotu do średniowiecznego Modelu. Mówi, że w każdej epoce umysł ludzki podlega głębokim wpływom przyjętego modelu wszechświata, ale model podlega wpływom panującego stanu umysłu i jest bardzo prawdopodobne, że i nasz model zostanie kiedyś bezlitośnie rozbity

przez atak nowych faktów. Jakie to będą fakty i jaki będzie nowy model? Książka C.S. Lewisa zachęca do takich pytań i do podobnych dociekań.

M.W.

Clive Staples Lewis, *Odrzucony obraz. Wprowadzenie do literatury średniowiecznej i renesansowej*, tłumaczenie, przedmowa i Mały słownik autorów brytyjskich: Witold Ostrowski, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008

✱

Utwory Różewicza w świecie. Bibliografia do 2007 roku Ireny Burkot i Małgorzaty Biedy w ponad tysiąc pięciuset notach opisuje sześćdziesiąt lat wędrówki utworów Tadeusza Różewicza po świecie, rezultat benedyktyńskiej pracy, poszukiwań, często niemal detektywistycznych.

Jeśli stosunkowo łatwo jest zgromadzić noty o książkach, to dotarcie do różnego typu antologii, a szczególnie czasopism sprzed półwiecza, jest często niemożliwe.

Czytać Bibliografię można na różne sposoby: można sprawdzać zasięg geograficzny recepcji, popularność poszczególnych utworów, ich obecność w różnych obszarach językowych w konkretnych latach. Ja czytam tę książkę rzeczowo i emocjonalnie. Rzeczowo, kiedy szukam nieznanymi mi przekładów; emocjonalnie, kiedy ulegam wrażeniu, że spoza zapisów wychylają się twarze tłumaczy. Poznałam ich wielu. Bywali na wrocławskich festiwalach polskich sztuk współczesnych, spotykałam ich na krajowych i zagranicznych imprezach teatralnych. Kiedy przed dwudziestu laty zajęłam się na dobre recepcją twórczości Tadeusza Różewicza, spotykaliśmy się częściej, a nasze kontakty stały się po prostu robocze. Niektóre znajomości przekształcały się w przyjaźnię. Poznawaliśmy nasze rodziny, pomagaliśmy sobie w zawodowych i życiowych sprawach. Miewaliśmy sekrety i opracowywaliśmy strategię postępowania z „naszym poetą”. Indeksy zamieszczone w książce Burkot i Biedy odnotowują pięćset dwadzieścia trzy nazwiska tłumaczy. Są to przedstawiciele trzech pokoleń.

Pierwsze zagraniczne przekłady Różewicza ukazały się wkrótce po jego poetyckim debiucie, czyli w końcu lat czterdziestych, kolejno w językach: czeskim, węgierskim, niemieckim. I do tych krajów poeta odbył swoje pierwsze zagraniczne podróże.

Jednym z pierwszych znajomych Różewicza był Erich Sojka z Pragi (1922–1997), tłumacz wierszy z Niepokoju i Czerwonej rękawiczki. Erich przyjaźnił się i współpracował z Jaroslavem Simonidesem (1915–1996). Razem pracowali, między innymi, nad bibliofilskim wydaniem Wesela. Jaroslav, wielce zasłużony dla polskiej kultury, organizator festiwali chopinowskich w Mariańskich Łaźniach, prezes czeskiego Towarzystwa Chopinowskiego, zadebiutował jako tłumacz z języka polskiego przekładem Lata w Nohant Iwaszkiewicza. Dla mnie jest przede wszystkim tłumaczem Pułapki, który pokazał mi Pragę Kafki. O tym mieście wiedział prawie wszystko. Jego rodzina sprowadziła się do Pragi z Moraw w 1934 roku. Pierwsze opowiadanie Kafki Jaroslav przeczytał... po polsku. Dla kompozytorki Joanny Bruzdowicz napisał libretto do opery Kolonia karna. Utwór zamówiła Praska Opera w 1968 roku. Do premiery nie doszło. Kafka był wtedy źle widziany. Żał, że Jaroslav nie mógł już zobaczyć premiery warszawskiej (1995), ani tegorocznej w Operze Wrocławskiej.

Dzięki Jaroslawowi poznałam Vlastę Dvořáčkovą (1924), wybitną tłumaczkę czeską, osobę o rzadko spotykanej skromności. Ona, podobnie jak Sojka, także w końcu lat czterdziestych, zaczęła tłumaczyć poezję Różewicza. Jej przekłady publikowały „Literární Noviny”, „Světová Literatura”, „Mladá Fronta”, „Kveten”. Jako pierwsza wydała wiersze Różewicza w osobnym tomie, pod zaczerpniętym z cyklu *Poemat otwarty*, tytułem wiersza *W środku życia* (*U postřed života*, 1958). Ciekawe, że dwa lata później tytuł tego samego wiersza otrzymał, wydany w Belgradzie (*U središtu života*, 1960), tom przekładów Petara Vujičića (1924–1993), przyjaciela i dożgonnego tłumacza Różewicza.

Jaroslav sporo podróżował. Dość regularnie bywał na wrocławskich festiwalach. W 1988 roku, kiedy prezentowałam wystawę o dziejach scenicznych Pułapki, poznał tłumaczkę węgierską Jolan Cservenits (1935–1992). Tłumaczyła przede wszystkim prozę i sztuki Różewicza. Pracowała wtedy nad pierwszą, roboczą wersją Pułapki dla Teatru Narodowego w Budapeszcie i, jak mi pisała, dokształcała się w „kafkologii” u Jaroslava. On ją namówił na przekład *Przerwanej rozmowy*, żeby Pułapka miała Epilog. I choć z przyczyn najpierw politycznych, a potem losowych do premiery w Budapeszcie nie doszło, to węgierski reżyser Gábor Zsámbéki wystawił w końcu sztukę w Stuttgarcie, a Jaroslav pojechał, zobaczył i nawet napisał krótką recenzję. Jolan natomiast pisała o sukcesach teatru w Egerze, który wystawiał *Białe małżeństwo* i ciągle pytała o Pułapkę. Bardzo chciała zobaczyć inscenizację Jerzego Grzegorzewskiego. W jednym z listów prosiła o załatwienie zaproszenia na sesję Róże-

wiczowską na uniwersytecie w Poznaniu (listopad 1991), gdyż „zaproszenie z Polski robi na urzędnikach dobre wrażenie”.

Jaroslavowi przywiozłam z Węgier Różewiczowski numer miesięcznika teatralnego „Szinhasz”, przygotowany w całości przez Jolan. Nasze ostatnie spotkanie, zimą 1995 roku na wieczorze autorskim w Polskim Instytucie Kultury, było smutne. Jaroslav wyszedł właśnie ze szpitala, nie miał kondycji, uśmiechał się blade. Umarł pół roku później, tydzień po 81 urodzinach (21 maja 1996).

W obszernym liście Erich Sojka opisał likwidację mieszkania Jaroslava na Bubencu. Ileż tam było książek, obrazów, polskich pamiątek! Simonidesowie, żona Jitka umarła dwa tygodnie przed Jaroslavem, nie mieli rodziny. Papierami po nich miały się zająć wyspecjalizowane instytucje. Erich obiecał, że razem wybierzemy się na grób Simonidesów na cmentarzu przy Vinohradskiej i wyrysował mi drogę dwoma kolorowymi długopisami. To był ostatni list od Ericha.

Spośród tłumaczy Różewicza najdłużej znałam Henryka Bereskę (1926–2005). Poznaliśmy się w połowie lat siedemdziesiątych na wrocławskim festiwalu. Oglądał sztuki dramaturgów, których tłumaczył: Mrożka, Grochowiaka, Broszkiewicza, Redlińskiego, Drozdowskiego. Wydał tom dramatów Różewicza Stücke (1974), czym znacznie przyczynił się do popularności dramaturgii Różewicza w Niemczech. Po pierwszych inscenizacjach sztuk Różewicza w teatrach Berlina Zachodniego na początku lat sześćdziesiątych, teraz miała nadejść druga fala, w obu państwach niemieckich.

W dawnym berlińskim mieszkaniu Beresków przy Scharnhorststrasse 8, przez które stale przewijali się goście z Polski, miałam i ja swoje miejsce. Symbolem gościnności był długi dębowy stół w salonie. Atrakcją – widok z okna. Z czwartego piętra można było popatrzeć w stronę Zachodu, bo kamienica stała blisko Muru. Żona Henryka, Gilda, ustawiała przetłumaczone przez niego książki chronologicznie na niższej półce domowej biblioteki. Gdy ilość tomów przekroczyła setkę, ułożyła je alfabetycznie według nazwisk polskich autorów. Gilda miała talent opowiadania i dar obserwacji. Henryk był tak zwanym „berlińskim łązikiem”. Kiedy skończył codzienną harówkę, koło dziewiętej wieczorem wyruszał na obchód Museumsinsel, wyspy muzeów. „Ty mu nie wierz, mówiła Gilda, on łązi od knajpy do knajpy.” Zaglądał do małych piwiarni, gdzie miał swoich znajomych i słuchał zachłannie ich berlińskiej mowy. Zasluchania trafiały potem do jego wierszy.

Bereska i Różewicz mieli ze sobą dobry kontakt. Lubili się i szanowali. Łączył ich podobny rodzaj ironii, dystans do własnych osiągnięć, uwielbienie Mickiewicza. Dobrze udawały się im wieczory literackie, najlepiej te z impro-

wizowanym scenariuszem. „Mieliśmy tak zwany sukces – mówili – można już iść na piwo.”

Cieszę się, że udało mi się urządzić Henrykowi piękny wieczór autorski w Teatrze Polskim we Wrocławiu, kiedy Uniwersytet Wrocławski nadał mu doktorat honoris causa (2002). Byliśmy wtedy wszyscy razem; jego żona, córka, niemieccy wydawcy, polscy przyjaciele. Bereska był pierwszym laureatem nagrody Transatlantyk, nadawanej wybitnym tłumaczom literatury polskiej. Towarzyszyłam mu podczas uroczystości w Teatrze Słowackiego w Krakowie w maju 2005 roku. Był po wypadku, źle chodził. Wygłosił piękne podziękowanie, opowiedział o życiu zatopionym w polskiej poezji. Na zorganizowanym wtedy wielkim kongresie tłumaczy spotkał wielu przyjaciół. Myślę, że był szczęśliwy.

Wkrótce po powrocie do Berlina, trafił do szpitala. Już z niego nie wyszedł. O Jego śmierci dowiedziałam się 11 września 2005. Byłam wtedy na moskiewskim lotnisku w drodze powrotnej z Targów Książki. Gilda powiedziała: „umarł dziś bardzo rano”. Nie zdążył odbyć kilku planowanych podróży. Mówił mi, że jako „były ernerdowiec” ma duże opóźnienia w poznawaniu świata.

Przed laty, po ciężkiej operacji Tadeusza Różewicza, Henryk poświęcił mu wiersz *Ocalony*. Tadeusz pożegnał Bereskę wierszem *Wrota śmierci*. Utwór ma już wiele tłumaczeń. Znalazł się, między innymi, w amerykańskim, nagrodzonym w tym roku tomie wierszy Różewicza *New Poems*, w przekładzie Billa Johnstona.

Autorki objęły zapisami bibliograficznymi pięćdziesiąt języków. Być może jest ich jeszcze więcej. Gdzie zakwalifikować wydane drukiem w 1985 roku w czasopiśmie szkockim przekłady Christophera (Crisdeana) Whyte na język celtycki?

W książce znalazł się dodatek Różewicz w sieci. Zawiera wybrane adresy stron internetowych w ponad dwudziestu językach. Są to internetowe wersje zagranicznych czasopism, ale również czasopisma istniejące wyłącznie w wersji elektronicznej. Jeśli wydany w Hanoi w 2001 roku tomik wierszy zawiera trzydzieści osiem utworów, to w wersji elektronicznej jest ich trzy razy tyle. Przykładową część adresów „w sieci” autorki zamknęły między amerykańskim Księżycem z Alabamy a Ławką poetów spod Władystoku.

Swoista kariera przekładowa Kartoteki uświadamia, że powinno powstać omówienie i kalendarium zagranicznych realizacji teatralnych. A teatr Różewicza za granicą zaczął się niespełna rok po jego debiucie dramaturgicznym,

czyli prapremierze Kartoteki w Teatrze Dramatycznym w Warszawie 25 marca 1960 roku. Drogę na zagraniczne sceny uTORowała mu sława poety, a otwarta struktura dramatu stała się inspiracją dla reżyserów poszukujących nowych form teatralnej wypowiedzi.

Twórczość Różewicza jest w ciągłym ruchu. W Berlinie grają jego sztukę *Stara kobieta wysiaduje*, na Litwie – *Białe małżeństwo*. Wkrótce pojawi się tom wierszy w Korei Południowej. Do holenderskiej antologii o sprawach anielskich „*idzie*” wiersz *Domowe ćwiczenia* na temat aniołów; do izraelskiej o wojnie, wiersze: *Ocalony*, *Warkoczyk* i *Mars*. Późną jesienią ukaże się w Austrii *Matka* odchodzi w tłumaczeniu Aloisa Woldana (1954) i Bernharda Hartmanna (1972). Gotowy do druku jest tom chorwacki w tłumaczeniu Pero Mioča (1942). Hendrik Lindepuu (1958), po świetnych recenzjach z *Alati fragment* (*Zawsze fragment*), pracuje nad wyborem, obejmującym całą twórczość poetycką Różewicza. Profesorowie Silvano de Fanti i Luigi Marinelli będą promowali włoski tom wierszy *Le parole sgomente* w Rzymie. Trzecie pokolenie tłumaczy pochyla się nad utworami Tadeusza Różewicza.

Autorki Bibliografii kontynuują pracę. Irena Burkot przesyła mi drogą majlową kolejne znaleziska, na przykład spisy utworów muzycznych, albo opisy nowych książek, które ukazały się już po zamknięciu bibliografii, jak wydany w tym roku w Wenezueli tom wierszy *Siempre fragmentos*.

M.D.

Irena Burkot, Małgorzata Bieda, *Utwory Różewicza w świecie. Bibliografia przekładów do 2007 roku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2007

*

Tom tekstów papieskich Benedykta XVI z pielgrzymek apostolskich z lat 2005–2007. Na początek – Niemcy: Kolonia i XX Światowy Dzień Młodzieży. Szeroka tematyka wystąpień Ojca Świętego skoncentrowana jest na Jezusie i na Ewangelii oraz na teraźniejszości i na przyszłości Kościoła. W pielgrzymce do Hiszpanii dominują tematy dotyczące rodziny chrześcijańskiej. Szczególna była pielgrzymka do Bawarii – rodzinnej krainy Ratzingera. Mamy tu m.in. wywiad z Papieżem i wykład na uniwersytecie w Ratyzbonie, który wywołał tyle kontrowersji wśród muzułmanów oraz teksty wyjaśnień Stolicy Apostolskiej. Te wątki kontynuowane i rozszerzane są podczas pielgrzymki do Turcji, m.in. przy spotkaniu z Patriarchą Bartłomiejem I i we wspólnej ich deklaracji. Tematy

dotyczące Kościoła dominują w pielgrzymce do Brazylii, a w pielgrzymce do Austrii prym wiodą tematy dotyczące Maryi i służby Bożej.

Benedykt XVI to jeden z najwybitniejszych teologów naszych czasów, niezwykle precyzyjny i jasny w swoich przecież niełatwych dla zwykłego człowieka wywodach, które ogniskują najważniejsze problemy współczesnego świata i na które człowiek musi szukać najlepszych odpowiedzi. Znajdziemy tu wskazówki przybliżające do odpowiedzi na tak zasadnicze, podstawowe pytania jak na przykład: jak wierzyć? jak żyć? jak zbliżyć się do Boga? Nie wiem, czy w dzisiejszym świecie znajdziemy bardziej proste i bardziej jasne odpowiedzi na te podstawowe pytania.

M.W.

Pielgrzymki apostolskie Ojca Świętego Benedykta XVI 2005–2007, przedmowa Arcybiskup Kazimierz Nycz, opracował Adam Wieczorek, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2008

✱

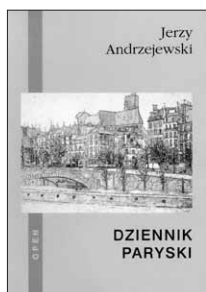
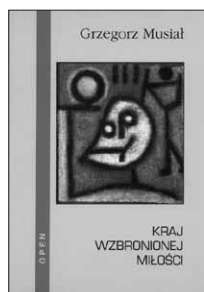
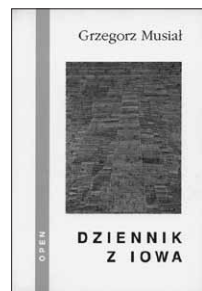
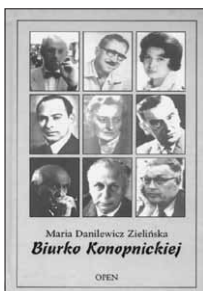
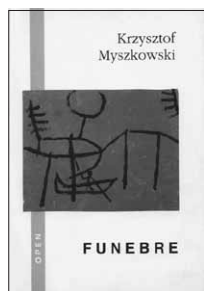
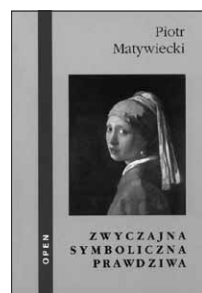
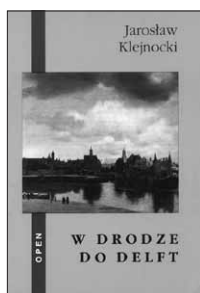
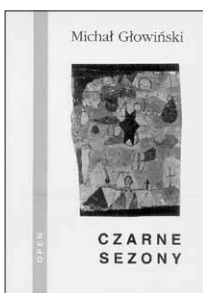
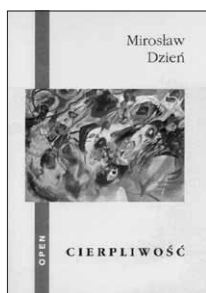
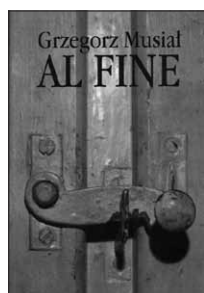
Trzynasty rok pontyfikatu Jana Pawła II przebiegł pod znakiem dwuczęściowej, czwartej, a pierwszej już do wolnej Polski pielgrzymki, której mottem był Dekalog, jakby na przypieczątowanie tego wielkiego daru. Był to także rok Synodu Biskupów, pielgrzymek apostolskich do Włoch, Portugalii, w tym oczywiście do Fatimy, na Węgry i do Brazylii. Mamy tu piękne fotografie papieża m.in. w Grotach Watykańskich modlącego się przy grobach swoich poprzedników, z obchodów Wielkiego Tygodnia, ze spotkań z Polakami, z kardynałem Ratzingerem, a także przypomniane są pamiętne listy do Husajna i Busha – przeciw wojnie i za pokojem.

Rok czternasty to pielgrzymki apostolskie m.in. do Włoch, Brazylii, Angoli, Luandy, na wyspy świętego Tomasza i Książęcą, do Republiki Dominikany; spotkania z trędowatymi, chorymi, cierpiącymi i ubogimi. W Rzymie, w Watykanie kanonizacje i beatyfikacje m.in. błogosławionego Rafała Kalinowskiego; skupione celebracje liturgii Wielkiego Tygodnia; zgromadzenie Synodu Biskupów; zatwierdzenie Katechizmu Kościoła; pobyt w klinice Gemellogo.

M.W.

Rok 13. Fotokronika. Dekalog dla Europy; Rok 14. Fotokronika. Poczestyciel cierpiących, słowo Jan Paweł II, fotografie Arturo Mari, redakcja serii, wybór i grafika Leszek Sosnowski, Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2008

BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO



Grzegorz Musiał³, Al Fine, Gdańsk 1997

Mirosław Dzień, Cierpliwość, Warszawa 1998

Michał Głowiński, Czarne sezony, Warszawa 1998

Jarosław Klejnocki, W drodze do Delft, Warszawa 1998

Piotr Matywiecki, Zwyczajna symboliczna prawdziwa, Warszawa 1998

Krzysztof Myszkowski, Funebre, Warszawa 1998

Bożena Keff, Nie jest gotowy, Warszawa 2000

Maria Danilewicz Zielińska, Biurko Konopnickiej, Warszawa 2000

Janina Kościakowska, Bih me!, Warszawa 2000

Grzegorz Musiał³, Dziennik z Iowa, Warszawa 2000

Grzegorz Musiał³, Kraj wzbронionej miłosci, Warszawa 2001

Jerzy Andrzejewski, Dziennik paryski, Warszawa 2003

Mieczysław Orski, Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji, Warszawa 2003

Tadeusz Nowakowski, Obóz Wszystkich Świętych, Warszawa 2003

Kazimierz Hoffman, Znaki, Bydgoszcz 2008

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze,

Mój tekst w Herbertowkim numerze (2/58), został zniekształcony. Załączyłem do niego zeskanowaną dedykację, nad którą widniał tytuł Pan Cogito i rok wydania 1974. W „Kwartalniku” dedykację powiększono, pomijając tytuł i rok wydania. W rezultacie moje objaśnienie w tekście, że dedykację otrzymałem „zaraz po ukazaniu się tego przełomowego zbioru (zamknął nim buzie przeciwnikom)” zostało pozbawione sensu lub odnosi się do wspomnianego wcześniej tomiku Napis z 1969 roku, co też jest gorszym błędem merytorycznym.

Bardzo proszę o zamieszczenie niniejszego listu w najbliższym numerze „Kwartalnika”.

Z wyrazami szacunku

Henryk Grynberg

Od Redakcji

Tekst Henryka Grynberga opublikowany w „Kwartalniku Artystycznym” 2008 nr 2(58) nie został zniekształcony. Z ostatniego akapitu tekstu, naszym zdaniem, jasno wynika, do których tomików dedykacje zostały wpisane.

Jacek Łukasiewicz

Harmonie

1.

Im starszy jest ten poeta, tym jego wiersze bardziej są scedzone. Utwory są niedługie, wersy krótkie. Przerzutnie znaczące. Tak łowi się Znaki; daje nam je świat, inni ludzie, Bóg. Trzeba usłyszeć i zapisać. Ani jedno, ani drugie nie jest łatwe.

Świat opiera się słowu poety, tak, jak opiera się barwnej plamie kładzonej przez malarza, kresce rysownika, dźwiękom wprowadzanym przez kompozytora. Usłyszeć (ujrzeć) znak świata to odnaleźć (wybrać) właściwe słowo, zwrot, barwę, pauzę.

Znaki dawane przez świat, przez innych ludzi, wchodzą w nasze egzystencje, odbijają się w nich – w plastycznej materii ciał i dusz. Odebrane właściwie, wyłowione czułymi receptorami z chaosu komunikatów – nadają sens życiu.